

HISTORIA O

PAULINE REAGE

Pewnego dnia kochanek zabiera O na przechadzkę do dzielnicy, gdzie nigdy dotąd razem nie byli - do parku Montsouris, a może Morceau. W zakątku parku, tuż przy narożniku alejki, gdzie nie spotyka się nigdy taksówek, gdy zmęczeni spacerem przysiedli na ławce opodal trawnika, dostrzegają samochód z licznikiem, wyglądający na taksówkę.

- Wsiądź - - mówi kochanek.

O wsiada. Pora jest przedwieczorna, a rzecz dzieje się jesienią.

Ubrana jest jak zwykle: pantofle na wysokich obcasach, kostium z plisowaną spódnicą, jedwabna bluzka, nie ma kapelusza. Ma za to długie rękawiczki zachodzące na rękawy kostiumu, a także skórzaną torebkę, w której nosi puder i róż. Taksówka rusza wolno, choć nikt nie powiedział słowa kierowcy. Kochanek natomiast opuszcza rolety w oknach i na tylnej szybie. O zdejmuje rękawiczki przekonana, że chce ją objąć i pocałować lub może oczekuje tego od niej. Słyszy jednak jego słowa:

- Torebka ci przeszkadza, daj mi ją.

Oddaje, on zaś odstawia ją gdzieś i mówi dalej:

- Masz na sobie zbyt wiele rzeczy. Odepnij pończochy i spuść je prawie do kolan: tu masz podwiązki.

Nie jest to dla niej łatwe, gdyż taksówka jedzie zbyt szybko, poza tym boi się, żeby kierowca się nie odwrócił. W końcu udaje się jej opuścić pończochy, czuje się trochę dziwnie dotykając gołymi nogami jedwabiu spódnicy. Luźne zapinki od pończoch ślizgają się na udach.

- Odepnij pas i zdejmij majtki.

To jest na szczęście łatwe, wystarczy tylko nieco się pochylić i zrobić niewielki ruch rękoma poniżej pleców. On odbiera od niej pas i majtki i chowa je do jej torebki, potem zaś mówi:

- Nie powinnaś siedzieć na spódnicy, unieś ją i usiądź wprost na siedzeniu.

Siedzenia auta obite są moleskinem, który jest gładki i zimny, a przy tym klei się do ciała.

- A teraz włóż z powrotem rękawiczki - słyszy. Taksówka mknie bez przerwy, ona zaś nie ma śmiałości zapytać, dlaczego Renę nie rusza się i nic nie mówi, ani jakie może mieć to dla niego znaczenie, żeby siedziała tak bez ruchu i w milczeniu, półrozebrana i gotowa, za to w starannie wciągniętych rękawiczkach, w tym ciemnym samochodzie mknącym nie wiadomo dokąd. Nie żądał tego od niej ani nie zabronił, nie śmiała jednak również skrzyżować nóg, ani nawet złączyć kolan. Siedziała, opierając się z dwóch stron rękoma o fotel auta.

-Jesteśmy na miejscu - mówi naraz Renę.

Taksówka zatrzymuje się oto w pięknej alei, pod drzewem - rosną tam platany - przed wejściem do niewielkiego pałacyku, za którym znajduje się pewnie dziedziniec i ogród - takie domy spotyka się na starych przedmieściach Saint-Germain. Latarnie są dość daleko, w dodatku w samochodzie panuje ciemność, a na zewnątrz pada.

- Nie ruszaj się - mówi Renę. - Nie ruszaj się zupełnie.

Wyciąga rękę w stronę kołnierzyka jej bluzki, rozwiązuje kokardę u szyi, a potem rozpiną guzik po guziku. O pochyla się odrobinę, sądzi, że Renę chce pieścić jej piersi. Bynajmniej. Renę wkłada rękę pod bluzkę tylko po to, by odszukać ramiączka jej biustonosza, które przecina nożykiem,

potem zaś zdejmuje biustonosz i chowa. Teraz jej piersi pod bluzką, którą na powrót zapiął, są swobodne i obnażone, tak samo swobodne i obnażone jak jej pośladki i brzuch - jest naga od pasa do kolan.

- Posłuchaj - mówi. - Teraz już jesteś gotowa. Zostawiam cię samą. Wejdiesz teraz po tych schodkach i zadzwonisz do drzwi. Pójdiesz za osobą, która ci je otworzy i zrobisz wszystko, co rozkaże. Jeśli nie wejdiesz od razu, zostaniesz tam zaprowadzona siłą. Twoja torebka? Nie, nie, torebka nie będzie ci już potrzebna. Ja jedynie dostarczam dziewczynę. Tak, tak, ja też tam będę. Idź już.

Według innej wersji, tenże sam początek miał znacznie brutalniejszy i prostszy przebieg: młoda kobieta w podobnym do opisanego stroju została uprowadzona samochodem przez swego kochanka i jego przyjaciela, którego wcześniej nie знаła. Nieznajomy prowadził, a kochanek usiadł obok owej kobiety i to właśnie jego przyjaciel, ów nieznajomy, wyjaśnił kobiecie, że jej kochanek ma za zadanie odpowiednio ją przygotować, i że zaraz zwiąże jej ręce na plecach, w miejscu gdzie kończą się rękawiczki, następnie ściągnie jej pas od pończoch, majtki i biustonosz, i zwiąże oczy. Potem odstawiona zostanie do pałacu, gdzie dowie się co ma robić. Po prawie półgodzinnej jeździe, związaną i rozebraną wyprowadzono z samochodu, kazano wejść po schodkach, następnie przejść przez jedne, drugie drzwi - cały czas w przepasce na oczach - aż wreszcie zostawili ją samą, już bez przepaski, w jakimś ciemnym pokoju, gdzie musiała czekać pół godziny, a może nawet godzinę lub dwie, tak, czy tak, trwało to wieki. Później, gdy otworzyły się drzwi, okazało się, że był to całkiem zwykły, jakkolwiek komfortowy pokój, którego osobliwością był brak jakichkolwiek mebli, jeśli nie liczyć ściennych szaf dokoła. Podłogę wyścielał gruby, miękki dywan. Drzwi otworzyły dwie kobiety: dwie młode i śliczne kobiety wyglądające jak urocze pokojóweczki z dziewiętnastego stulecia: w długich do kostek lekkich i marszczonych spódnicach, obcisłych gorsetach uwydatniających piersi, zapinanych na haftki i sznurowanych na przodzie, ozdobionych przy szyi koronką, z rękawami do łokci. Oczy i usta miały mocno umalowane. Na szyi nosiły ciasne obroże, a na nadgarstkach coś, co przypominało bransolety. No więc wiem jeszcze, że rozwiązały ręce O, które do tej pory miała cały czas związane z tyłu na plecach i powiedziały jej, że musi się rozebrać, gdyż za chwilę ją wykapiają i zrobią makijaż. Kiedy już była naga, schowały jej ubranie do jednej ze ściennych szaf. Nie pozwoliły, żeby wykapała się sama, a potem zajęły się jej włosami niczym w prawdziwym salonie fryzjerskim, usadziwszy ją uprzednio w pochylonym fotelu, który opuszcza się do mycia głowy i podnosi przy układaniu i suszeniu włosów. Trwa to zwykle co najmniej godzinę. Tutaj trwało to jeszcze dłużej, O zaś siedziała na fotelu zupełnie naga i nie wolno jej było skrzyżować ani nawet złączyć nóg. Ponieważ naprzeciw niej znajdowało się wielkie na całą ścianę lustro, którego nie przesłaniał żaden stolik, O widziała siebie rozwartą w ten sposób, ilekroć jej wzrok natrafiał na taflę zwierciadła. Kiedy wreszcie skończyły, oczy miała lekko podcienione, usta jaskrawoczerwone, koniuszki i otoczki piersi różowe, wargi łonowe pociągnięte czerwoną szminką, obficie wyperfumowane futerko pod pachami i na podbrzuszu, jak również wnętrze ud, dołek pomiędzy piersiami i wnętrze obu dłoni - wtedy kazano jej przejść do innego pomieszczenia, gdzie naprzeciwko siebie znajdowały się dwa lustra - jedno przymocowane było do ściany, drugie, potrójnie łamane stało na wprost pierwszego, dzięki czemu ktoś stojący pomiędzy nimi mógł oglądać się z każdej możliwej strony. Usadzono ją na pufie pomiędzy lustrami i kazano czekać. Puf pokryty był czarnym filtrem, które § trochę ją kłuło, czarny był też dywan, ściany zaś czerwone. Na nogach miała czerwone pantofelki. W jednej ze ścian tego niewielkiego buduaru znajdowało się duże okno wychodzące na wspaniały cienisty park. Przestało już padać, wiatr poruszał drzewami, wysoko, pomiędzy chmurami, mknął księżyc. Nie wiem jak długo siedziała sama w tym czerwonym buduarze, ani czy była naprawdę sama, tak jak sądziła, czy też może ktoś obserwował ją przez otwór ukryty w ścianie. Wiem natomiast, że kiedy powróciły dwie kobiety, jedna z nich niosła centymetr krawiecki, a druga koszyk. Towarzyszył im mężczyzna ubrany w długą, fioletową szatę z szerokimi rękawami zwążającymi się ku nadgarstkom, która rozchyłała się poniżej pasa przy każdym jego kroku. Można było wówczas dostrzec, że pod spodem nosi on coś w rodzaju obcisłych

pludrów zakrywających wprawdzie nogi i pośladki, wyciętych za to w miejscu, gdzie znajduje się męskość. To była pierwsza rzecz, którą spostrzegła O, kiedy mężczyzna wszedł, drugą był rzemienny bicz zatknięty za pasem, potem zaś zobaczyła, że twarz mężczyzny ukryta jest pod czarnym kapturem, z otworem na oczy zasłoniętym czarnym tiulem, wreszcie na koniec to, że na rękach ma rękawiczki również z czarnego szewra. Zwracając się do niej przez "ty", powiedział, żeby się nie ruszała, kobietom zaś kazał się pospieszyć. Ta, która miała ze sobą centymetr zmierzyła najpierw szyję, a potem nadgarstki O. Rozmiary te, jakkolwiek małe, nie odbiegały od normy. Nietrudno było odszukać w koszyku przyniesionym przez drugą z kobiet odpowiedniej obroży i bransolet. Wykonane były z wielu warstw skóry (każda warstwa była dość cienka, lecz razem osiągały grubość palca), zamykały się na zamki zatraskowe, i, tak jak niektóre kłódki, dawały się otworzyć jedynie za pomocą kluczyka. Po przeciwnej niż zamek stronie, pomiędzy warstwami skóry przymocowane było metalowe kółko, do którego można było przypinać bransolety, przy czym zarówno obroża jak bransolety przylegały bardzo ściśle, na tyle, że chociaż nie raniły zupełnie skóry, nie sposób byłoby przeciągnąć pod nimi cienkiego sznurka. Kiedy założono jej już obrożę i bransolety, mężczyzna kazał jej wstać. Sam zajął miejsce na pufie, gdzie siedziała wcześniej, rozkazał jej przybliżyć się do swych kolan, dłonią ubraną w rękawiczkę prześlizgnął się pomiędzy jej udami, obmacał jej piersi, a następnie powiedział, że jeszcze tego wieczoru zostanie przedstawiona, stanie się to jednak dopiero po obiedzie, który zresztą zje w samotności. I rzeczywiście jadła go samotnie, naga, w małej celce, do której czyjaś niewidoczna ręka wstawiła talerze przez otwór w ścianie. Kiedy skończyła, ponownie zjawiły się po nią dwie kobiety. W buduarze, dokąd wróciły, znów zapięły kółka bransolet, wysoko na łopatkach krępując ręce O. Do obroży przypięły czerwony płaszcz otulający ją wprawdzie całkowicie, lecz jednocześnie rozchylający się od dołu przy każdym kroku, na co nic nie mogła poradzić, mając ręce skrępowane na plecach. Jedna z pokojówek szła przodem otwierając przed nią drzwi, druga postępowała z tyłu i zamykała je za nimi. Minawszy westybul i dwa kolejne salony weszły do biblioteki, gdzie czterech mężczyzn piło właśnie kawę. Wszyscy przyodziani byli w takie same szaty jak ów pierwszy, twarze ich jednak nie były zamaskowane. O nie zdążyła jednakże ich rozpoznać i nie umiała stwierdzić czy znajduje się pośród nich jej kochanek, gdyż jeden z czwórki skierował w jej stronę silną jak reflektor lampę, która zupełnie ją oślepiła. Wszyscy stali nieruchomo: kobiety po obu jej bokach i mężczyźni naprzeciw niej. Potem światło zgasło, kobiety zniknęły gdzieś. Za to oczy zawiązano jej przepaską. Rozkazano jej się zbliżyć, co zrobiła nieco niepewnym krokiem i poczuła, że stoi przed rozpalonym kominkiem, gdzie zasiadło czterech mężczyzn: czuła żar i słyszała syk płonących polan. Stała naprzeciw ognia. Czyjeś ręce podniosły jej okrycie, dwie inne przesunęły się w dół, wzdłuż jej łądźwi, sprawdziwszy uprzednio czy bransolety trzymają się mocno: te dłonie nie były odziane w rękawiczki, a jedna z nich zagłębiła się naraz w obydwie jej otwory tak gwałtownie, że krzyknęła. Ktoś zaśmiał się. Ktoś inny powiedział:

- Odwróćcie ją, żeby można było zobaczyć piersi i brzuch.

Odwrócono ją i teraz żar kominka ogrzewał jej pośladki. Jakaś ręka ujęła jedną jej pierś, czyjeś usta chwyciły koniuszek drugiej. I wtedy nagle straciła równowagę, przechyliła się niebezpiecznie do tyłu, prosto w czyjeś ramiona, podczas gdy ktoś inny rozwarł jej nogi i rozchylił delikatne wargi otoczone wianuszkami włosów. Usłyszała, że trzeba ją sprowadzić na klęczki. Zaraz też to zrobiono. Na kolanach było jej bardzo niewygodnie, tym bardziej, że zabroniono jej złączyć nogi, a z powodu skrępowanych na plecach rąk jej ciało pochylało się mocno do przodu. Pozwolono jej odchylić się nieco w tył, tak, że znajdowała się w półprzysiadzie, opierając się na własnych obcasach, niczym niektórzy modlący się.

- Nigdy jej pan nie wiązał?

- Nie, nigdy jeszcze.

- Ani nie chłostał?

- Nie, również nie, lecz właśnie...

Tym, który odpowiadał, był jej kochanek.

- Właśnie - odezwał się kolejny głos. - Niech ją pan parę razy zwiąże, trochę wychłoscze, a ona niech czerpie z tego przyjemność. Nie, nie. Należy właśnie przekroczyć ten moment, kiedy zaczną odczuwać przyjemność i wycisnąć z niej łzy.

Wówczas podniesiono O z klęczek i zaczęto prowadzić zapewne po to, by ją przywiązać do jakiegoś słupa czy też do ściany, gdy jeden z mężczyzn sprzeciwił się, mówiąc, że najpierw chciałby ją wziąć i zaraz też sprowadzono ją na powrót na kolana, lecz tym razem biust miała oparty o puf, ręce w dalszym ciągu związane, a jej pośladki znajdowały się teraz wyżej niż reszta ciała, natomiast któryś z nich przytrzymał ją oburącz za biodra i wszedł w nią. Za chwilę ustąpił miejsca innemu. Trzeci postanowił skorzystać z innej, ciaśniejszej drogi, a wdarłwszy się tam gwałtownie sprawił, że O krzyknęła. Kiedy ją zostawił, jęczącą i mokną od łez pod przepaską na oczach, osunęła się na ziemię po to, by poczuć przy swojej twarzy czyjeś nogi i żeby również jej usta nie zostały oszczędzone. Na koniec zostawiono ją związaną, leżącą na wznak na sponiewieranym czerwonym płaszczu niedaleko kominka. Słyszała jak napełniają kieliszki, piją, przesuwają jakieś siedzenia. Ktoś dorzucił drzewa do ognia. Nagle zdjęto jej przepaskę. Duży pokój ze ścianami pełnymi książek oświetlony był słabym światłem lampy stojącej na konsoli i blaskiem kominka, który teraz ożywił się trochę. Dwóch mężczyzn stało i paliło papierosy. Inny siedział trzymając szpicrutę na kolanach, tym zaś, który pochylał się właśnie nad nią i pieścił jej pierś, był jej kochanek. Posiedli ją jednak wszyscy czterej, ona zaś nie zdołała go odróżnić od pozostałych. Wyjaśniono jej, że jak długo pozostawać będzie w tym pałacyku, będzie mogła oglądać twarze tych, którzy będą ją gwałcić lub zadawać ból, lecz nigdy nocą nie będzie wiedzieć, kto jest odpowiedzialny za najgorsze. Podobnie, gdy będą ją chłostać, z wyjątkiem sytuacji, gdy będą chcieli, żeby mogła się oglądać podczas chłosty. Powiedzieli jej jeszcze, że za pierwszym razem nie będzie miała przepaski na oczach, lecz oni założą maski, tak więc nie zdoła ich odróżnić. Kochanek uniósł ją i usadził, ubraną w czerwony płaszcz, na poręczy fotela opodal narożnika kominka, żeby posłuchała tego, co jej powiedzą i obejrzała to, co mają jej do pokazania. Cały czas ręce miała związane na plecach. Pokazano jej szpicrutę, która była czarna, długa i cienka, z cienkiego bambusu obciągniętego skórą, taką, jaką można zobaczyć na wystawie eleganckiego sklepu siodlarskiego. Skórzany bicz, jaki pierwszy z ujranych przez nią mężczyzn nosił zatknięty za pasem, był również długi i składał się z sześciu rzemieni zakończonych supłami. Był jeszcze trzeci przyrząd z dość cienkich sznurków z licznymi supelkami, które okazały się całkiem twarde, gdyż specjalnie moczono je w wodzie, o czym mogła się sama przekonać, bowiem pocierali nim o jej łono, a następnie rozwarli jej uda, żeby na wrażliwej skórze ich wnętrza mogła lepiej poczuć jak są mokre i zimne. Pozostały jeszcze klucze i łańcuchy leżące na konsoli. Wzdłuż jednej ze ścian biblioteki, mniej więcej w połowie wysokości, biegła galeryjka podtrzymywana przez dwa słupy. W jednym z nich tkwił hak, tak wysoko, że mężczyzna zdołał go osiągnąć dopiero wspiąwszy się na palce. Kiedy kochanek wziął ją na ręce, w ten sposób, że jedną ujął ją poniżej ramion, drugą zaś wsunął pomiędzy jej uda, co sprawiło, że omal nie zemdląła z bólu, powiedziano jej, że za chwilę rozwiążą jej ręce, lecz po to tylko, żeby przypiąć ją, za te same bransolety i z pomocą stalowego łańcuszka do wspomnianego słupa. Bowiem z wyjątkiem rąk, które będzie miała unieruchomione ponad głową, będzie mogła się ruszać i patrzeć, skąd padają razy. Przede wszystkim chłostać będą pośladki i uda, krótko mówiąc od pasa do kolan, tak jak została wcześniej przygotowana w samochodzie, którym tu przyjechała, kiedy to kazano jej zasiać obnażonej na siedzeniu. Jednakże jeden z mężczyzn będzie zapewne chciał naznaczyć jej uda za pomocą szpicruty, która pozostawia niezerwane, podłużne i głębokie pręgi, które długo nie znikają. Wszystko to odbędzie się stopniowo, będzie miała czas by krzyczeć, szamotać się i płakać. Pozwolą jej trochę odetchnąć, ale kiedy tylko trochę odsapnie, zaczną na nowo, oceniając rezultat nie na podstawie krzyków i łez, lecz odpowiednio wyrazistych i trwałych śladów bicia na jej skórze. Będzie się mogła przekonać, że taka ocena skuteczności chłosty nie tylko jest najszlachetniejsza i udaremnia wszelkie usiłowania ofiary, która krzycząc przesadnie pragnie wzbudzić litość, lecz ponadto pozwala wymierzać ją poza murami tego pałacu, w parku, gdzie często zaglądają, lub w jakimkolwiek mieszkaniu lub nawet w pokoju

hotelowym, pod warunkiem posłużenia się solidnym kneblem (zaraz też jej go pokazali), który nie przepuszcza nic oprócz łez, tłumi wszelki krzyk i pozwala jedynie na ciche stękanie. Dzisiejszego wieczoru nie ma potrzeby go użyć, wręcz przeciwnie. Wszyscy pragną usłyszeć O krzyczącą i to jak najprędzej. Pycha każąca jej zacisnąć zęby i milczeć szybko minie: usłyszą za chwilę błagania by ją odwiązali, by przestali choć na chwilę, na chwileczkę. Wiła się w takim szaleństwie, by uniknąć ukąszeń rzemienia, że kręciła się niemal wokół własnej osi, gdyż łańcuch, którym przymocowana była do słupa był dość długi i luźny, jakkolwiek bardzo mocny. Skutkiem tego brzuch, przednia część ud i boki ucierpiały tyleż co pośladki. Postanowiono zatem, kiedy przyszła wreszcie chwila przerwy, żeby zacząć na nowo dopiero po przywiązaniu jej sznurem do słupa. Ponieważ sznur ścisnął ją mocno w pasie, żeby lepiej przylegać do słupa, tułów musiał przechylić się nieco na jedną stronę, co sprawiło, że z drugiej strony wystawała jej pupa. Od tej chwili razy już nie chybiały, jeśli oczywiście ktoś nie robił tego rozmyślnie. Zmuszona znosić taki sposób chłosty jaki narzucił jej kochanek, O pomyślała, że błaganie go o litość byłoby najlepszym środkiem, żeby zdwoić jeszcze jego okrucieństwo, tak wielką rozkosz sprawiło mu wymuszanie na niej tych niezaprzeczalnych świadectw jego siły i władzy. I w końcu to on pierwszy zauważył, że skórzany bicz, pod którego razami jęczała na początku, zostawia zbyt słabe ślady (zmieniło się to trochę gdy użyto bicia maczanego w wodzie, a już całkiem zdecydowanie od pierwszego razu zadanego pejczem), co było dla niego pretekstem by przedłużyć czas tortury i zaczynać niemal natychmiast po każdej przerwie. Na dodatek zażądał, żeby odtąd używać wyłącznie ostatniego przyrządu. W międzyczasie jeden z czwórki, ten który lubił w kobietach jedynie to, co mają wspólnego z mężczyznami, zwabiony jej wystawionym tyłkiem (który ilekroć chciała im umknąć wypinał się jeszcze mocniej, wymykając się spod ścisnącego ją powrozu) zażądał przerwy, by móc z niego skorzystać, po czym rozchyliwszy dwie jego połówki, piekące niemiłosiernie pod dotykiem brutalnych rąk, zagłębił się w nim, powtarzając przy tym kilkakrotnie, że trzeba uczynić to wejście bardziej wygodnym. Pozostali zgodzili się z nim i przyrzekli przedsięwziąć odpowiednie ku temu środki. Kiedy ją wreszcie odwiązali, słaniając się i niemal bez czucia, okrytą czerwonym płaszczem, posadzili w fotelu przy kominku, gdzie miała wysłuchać szczegółowego regulaminu, jaki będzie ją obowiązywał podczas pobytu w pałacu, jak również potem, w normalnym życiu, kiedy opuści już jego progi (nie odzyskując jednak tym samym prawdziwej wolności). Kiedy już siedziała, zadzwoniono. Dwie młode kobiety, które przyjmowały ją na wstępie, przyniosły jej ubranie. Do ich zadań należało również zapoznanie jej z mieszkańcami pałacu, zarówno tymi, którzy byli tu przed jej przybyciem, jak i nowymi, którzy przybędą kiedy sama będzie już jego częścią. Kostium jaki przyniosły, przypominał ich własne: gorset na fiszbinach, mocno ściągnięty w tali, halka z krochmalonego, lnianego batystu, na to suknia, luźna i szeroka dołem, ze stanikiem nie zakrywającym w ogóle piersi, które uniesione wysoko przez gorset byłyby zupełnie na wierzchu, gdyby nie okrywała ich cienka koronka. Halka była biała, podobnie jak koronka, gorset zaś i suknia w kolorze toni. Gdy O ubrana zasiadła ponownie w fotelu, jeszcze bledsza w jasnozielonej sukni, dwie kobiety nie mówiąc słowa oddaliły się. Jeden z mężczyzn schwycił po drodze pierwszą z nich, drugiej dał znak by zaczekała, po czym zbliżywszy się do O z tą, którą zatrzymał, obrócił ją jedną ręką ujął ją w pasie, drugą zaś zadarł do góry suknię i halkę, żeby zademonstrować O jak praktycznie został pomyślany ów strój. Powiedział jeszcze, że spódnice można przytrzymać na stałe za pomocą zwykłego paska, co pozwala swobodnie korzystać z tego, co zostało odsłonięte. Często zresztą każe się tu chodzić po pałacu lub po parku kobietom podkasanym w ten sposób, bądź też od przodu, w każdym razie do pasa. Potem kobieta musiała pokazać O jak należy przytrzymać suknię: zwijało się ją wielokrotnie niczym włosy na lokówce i zatykało za pasek na brzuchu, jeśli chciało się odsłonić łono, lub na plecach, jeśli odsłonięte miały być pośladki. W obu przypadkach spódnica opadała w dół kaskadą ukośnych fałd. Tak samo jak O, kobieta miała z tyłu na ciele świeże ślady pejcza. Wreszcie i ona odeszła. A oto czego jeszcze musiała wysłuchać O.

- Jest tu pani po to, by służyć swym panom i mistrzom. W ciągu dnia będzie pani wykonywać różne powierzone jej prace domowe, jak sprzątanie, porządkowanie książek, układanie kwiatów albo usługiwanie do stołu. Żadnych cięższych prac. Lecz na jedno słowo, jeden znak tego, kto panią

zawoła, musi pani rzucić każdą pracę po to, by wypełnić swój rzeczywisty obowiązek, którym jest oddawanie się. Pani ręce nie należą do pani, ani też pani piersi, a w szczególności żaden z otworów pani ciała, który możemy penetrować i zgłębiać, gdzie możemy wchodzić bez żadnych przeszkód. Na znak, że jest pani w stałej gotowości, baczna i czujna jak to tylko możliwe, że straciła pani prawo odmowy, nie wolno pani w naszej obecności trzymać ust zamkniętych, krzyżować nóg, a nawet trzymać przy sobie kolana (poznała to już pani na samym wstępie), co zarówno dla pani jak dla nas ma oznaczać, że jej usta, łono i tyłek są dla nas wiecznie otwarte. Przy nas również ma pani nigdy nie dotykać piersi: są specjalnie uwydatnione gorsetem, do naszej dyspozycji. Zatem w ciągu dnia będzie pani chodzić w swoim stroju i na każde żądanie unosić suknię, by każdy kto tego zechce, mógł się panią posłużyć, nie zasłaniając przy tym twarzy, na taki sposób na jaki mu przyjdzie ochota, z wyjątkiem chłosty. Ta wymierzana będzie jedynie w porze od położenia się spać do wschodu słońca. Oprócz tego może pani zostać ukarana biciem wieczorem, a to za uchybienia wobec regulaminu, jakich dopuści się pani w ciągu dnia, to jest za brak natychmiastowej gotowości, za podniesienie wzroku na jednego z nas, kiedy będzie się do pani zwracał, bądź korzystał akurat z jej ciała - to również jest zabronione. W tym stroju, który zawsze przywdziewamy w nocy i w którym stoję teraz przed panią, przyrodzenie odkryte jest nie tylko dla wygody, choć i ta jest nie bez znaczenia, lecz po to, by przykuwać pani wzrok, żeby patrzyła pani tu i nigdzie indziej, pamiętając cały czas, że to jest jej rzeczywisty pan i władca, któremu służyć mają jej wargi. W dzień ubieramy się zwyczajnie, pani zaś tak jak w tej chwili, jedynym pani zmartwieniem jest to, by na pierwszy dany znak zdrzeć suknię i opuścić ją, kiedy będzie po wszystkim. W nocy będzie nam pani mogła służyć jedynie wargami i rozchylając uda, gdyż ręce będzie pani miała związane na plecach, poza tym będąc całkowicie naga, tak jak już zresztą wkrótce. Oczy będziemy pani zawiązywać tylko podczas chłosty, gdyż widziała już pani jak to przebiega oraz zadając jej inne uderunki. Należy tu wyjaśnić, że to, iż powinna pani przywyknąć do bicia, a będzie on w użyciu codziennie, ma na celu nie tyle naszą rozkosz, co pani naukę. To jest najważniejsze i kiedy żaden z nas nie będzie miał akurat na panią ochoty, może pani oczekiwać, że lokaj specjalnie przeznaczony do tej roboty odwiedzi pani celę, żeby wymierzyć to, czego my zaniedbamy. Ostatecznie bowiem środek ten, jak również zaczepiony przy obroży na szyi łańcuch, którym będzie pani przykuta do łóżka, służyć ma w dużo mniejszym stopniu pani cierpieniom, krzykom i płaczom - chodzi o to, aby poprzez te cierpienia odczuła pani, że jest zniewolona, całkowicie poświęcona czemuś, co znajduje się poza nią samą. Kiedy stąd pani wyjdzie, nosić pani będzie na palcu żelazny pierścień, znak rozpoznawczy: odtąd będzie pani winna posłuszeństwo tym, którzy nosić będą ten sam znak - widząc go u pani będą wiedzieć, że pod zwyczajnym ubraniem jest pani zawsze obnażona, jeśli ktoś stwierdzi pani nieposłuszeństwo, przyprowadzi ją tu z powrotem. Teraz zostanie pani odprowadzona do swojej celi. Podczas tej przemowy, dwie kobiety, które przyniosły O ubranie, stały po obu stronach słupa, gdzie ją wcześniej chłostano, nie dotykając jej jednak, tak jakby się go bały, albo jakby to było zabronione (i to było bardziej prawdopodobne); kiedy mężczyzna skończył mówić podeszły w stronę O, ona zaś zrozumiała, że ma wstać i pójść za nimi. Podniosła się zatem, unosząc oburącz do góry spódnice, żeby się nie potknąć, nie była bowiem przyzwyczajona do chodzenia w długich sukniach, a poza tym trudno jej było utrzymać równowagę w pantoflach z grubą podeszwą i bardzo wysokimi obcasami, które trzymały się nóg jedynie za pomocą atlasowej tasiemki, tak samo zielonej jak jej suknia, pochyliła się nieco i odwróciła głowę. Kobiety czekały, mężczyźni nie zwracali na nią uwagi. Jej kochanek, siedząc na ziemi, oparty plecami O pufę, na którą przewrócono ją na początku, z łokciami na kolanach, zabawiał się skórzanym biczem. Przy pierwszym kroku jaki zrobiła chcąc dogonić kobiety, jej suknia musnęła go lekko. Uniósł głowę i uśmiechnął się do niej, po czym wypowiedział jej imię i wstał z ziemi. Delikatnie dotknął jej włosów, koniuszkiem palca pogładził brwi, czule ucałował ją w usta. Głośno, jak gdyby nigdy nic, powiedział, że ją kocha. O, trzęsąc się cała, spostrzegła ze zgrozą, że odpowiada mu tym samym: "kocham cię" i że jest to prawda. Przycisnął ją do siebie, powiedział: "moja ukochana, najdroższa", objął i przytulił jej szyję i policzki, ona zaś oparła głowę na jego ramieniu okrytym fioletową szatą. Całkiem cicho powtórzył, że ją kocha a potem, równie cicho, dodał:

- Teraz uklęknieś i będziesz mnie pieścić - i odepchnął ją od siebie, dając znak kobietom, żeby się odsunęły, i żeby mógł oprzeć się o konsolę.

Był wysoki, konsola zaś dosyć niska, przez co nogi miał ugięte. Rozchylona szata zwisała niczym draperia, a blat konsoli uniósł odrobinę jego ciężką męskość okoloną jasnym runem. Trzej mężczyźni podeszli bliżej. O uklękła na dywanie, a suknia rozłożyła się wokół niej na kształt kwiatu. Koniuszki odkrytych piersi wytryskających z ciasnego gorsetu miała na wysokości kolan swego kochanka.

- Trochę więcej światła - powiedział jeden z mężczyzn.

Kiedy skierowano lampę tak, by jej światło padało wprost na jego męskość i na twarz jego kochanki znajdującej się tuż obok, oraz jej ręce pieszczące go jednocześnie poniżej, Renę rozkazał nagle:

- Powtórz: kocham pana.

O powtórzyła: "kocham pana" z taką rozkoszą, że zaledwie ośmieliła się musnąć koniuszek jego członka, który na razie osłaniał dłonią odzianą w rękawiczkę z delikatnej skórki. Trzej mężczyźni paląc papierosy, komentowali każdy jej gest, poruszenia jej ust zaciśniętych teraz na jego członku, wzdłuż którego ślizgały się w tę i na powrót, jej bladą twarz zalewającą się łzami ilekroć nabrzmiały członek wbijał się do samego dna jej gardła, wpychając w głąb język i omal nie powodując wymiotów. Ustami na wpół zakneblowanymi jego zeszywniałą męskością usiłowała jeszcze powtarzać: "kocham pana". Dwie kobiety stały po obu jego bokach, on zaś wspierał się oburącz na ich ramionach. O słyszała uwagi przyglądających się mężczyźni, lecz nie zważała na nie, czujna na westchnienia i jęki swego kochanka, pieściła go z nieskończonym oddaniem, uważnie i powoli, wiedząc, że sprawia mu tym rozkosz. O czuła, że jej usta są piękne, gdyż jej kochanek raczył się w nich pograżyć, gdyż raczył pokazać te pieszczoty widzom, gdyż raczył na koniec wytrysnąć w nich. Przyjęła to od niego tak, jak mogła przyjąć jedynie od boga, słyszała jego krzyk, śmiech innych, a kiedy odebrała już wszystko, runęła na ziemię. Dwie kobiety podniosły ją i tym razem wyprowadziły z biblioteki.

Pantofelki stukwały o czerwoną posadzkę korytarza, z rzędem drzwi, jednakowych i dyskretnych, zamykanych na maleńkie zameczki i wyglądających jak drzwi pokoi hotelowych. O nie śmiała zapytać czy w każdym z tych pokoi ktoś mieszka, ani kto, kiedy naraz jedna z towarzyszących jej kobiet, której głosu jeszcze dotąd nie słyszała, powiedziała do niej:

- Mieszka pani w czerwonym skrzydle, a pani lokaj ma na imię Pierre.

- Jaki lokaj? - zapytała O ujęta słodczą głosu. - A pani jak ma na imię?

- Nazywam się Andrée.

- A ja Jeanne - odpowiedziała druga. Pierwsza odezwała się znów:

- To lokaj, który ma klucze i będzie panią przypinał i odpinał z łańcucha, chłostał panią za karę albo wtedy, kiedy inni nie będą mieli na to czasu

- Mieszkałam w czerwonym skrzydle w ubiegłym roku - powiedziała Jeanne. - Pierre już tam był. Przychodził często w nocy; lokaje mają klucze i w pokojach należących do ich rewiru mają prawo posługiwać się nami.

O miała już zapytać jaki jest ów Pierre, lecz nie zdążyła. Na zakręcie korytarza kazano się jej zatrzymać przed jednymi z drzwi, niczym nie różniącymi się od pozostałych: na ławeczce pomiędzy tymi a następnymi drzwiami ujrzała indywidualum o twarzy rumianego wieśniaka, przysadzistego, z głową wygoloną niemal na zero, małymi, głęboko osadzonymi, parnymi oczkami

i ze zwałami fałd na karku. Ów ktoś ubrany był niczym lokaj z operetki: koszula z koronkowym żabotem wystawała spod czarnej kamizelki, którą okrywał czerwony kaftan. Na nogach miał czarne spodnie do kolan, białe pończochy i lakierki. On również miał zatknięty za pasem skórzany bicz. Ręce obrośnięte miał rudymi włosami. Wyjął klucz z kieszeni kamizelki, otworzył nim drzwi i wpuścił wszystkie trzy, mówiąc:

- Zamykam, zadzwonię kiedy skończycie.

Cela była maleńka, w rzeczywistości składała się z dwu części. Za drzwiami wejściowymi znajdował się przedpokój, z którego wchodziło się do właściwej celi. W ścianie pokoju były inne drzwi, do łazienki. Naprzeciw drzwi znajdowało się okno. Przy ścianie po lewej stronie, pomiędzy drzwiami a oknem, stało oparte wezglowiem, duże kwadratowe łóżko, niskie i pokryte czarnym futrem. Nie było żadnych innych mebli, ani nawet lustra. Ściany były jaskrawoczerwone, dywan czarny. Andrée zwróciła uwagę O, że łóżko to jest nie tyle łóżkiem, co raczej rodzajem materaca, powleczonego czarną tkaniną o długim włosiu, imitującą futro. Płaska i twarda poduszeczka pod głowę była z tego samego materiału, podobnie jak przykrycie po obu stronach. Jedyną rzeczą na ścianie było, znajdujące się mniej więcej na tej samej wysokości nad ziemią co hak wbity w słup w bibliotece, błyszczące, stalowe kółko, przez które przewleczony był długi, stalowy łańcuch, który opadał na łóżko. Spiętrzone ogniwa tworzyły niewielki stos, przeciwny zaś koniec przymocowany był do haka zakończonego karabinkiem - sposób, w jaki się układał, przypominał upiętą draperię.

- Mamy obowiązek zająć się pani kąpielą. Teraz zdejmę pani suknię. Jedynymi osobliwościami w łazience były niski turecki sedes w rogu przy drzwiach oraz fakt, że ściany w całości pokryte były lustrami. Andrée i Jeanne pozwoliły się jej rozejrzeć gdy była już całkiem naga. Schowały jej suknię do ściennej szafki przy umywalce, gdzie wcześniej włożyły już pantofelki i płaszcz, i zostały z nią również wtedy, kiedy zmuszona potrzebą przykucnęła na porcelanowym sedesie, otoczona dziesiątkami odbić swojej postaci, równie bezbronna i wystawiona na widok publiczny jak wówczas w bibliotece, gdy szarpały ją czyjeś nieznane ręce.

- Niech no pani poczeka jak będzie tu Pierre - powiedziała Jeanne - a wtedy pani zobaczy.

- Dlaczego Pierre?.

- Kiedy przyjdzie skuć panią łańcuchem może również kazać pani przykucnąć.

O poczuła, że blednie.

- Ale dlaczego? - spytała.

- No cóż, będzie pani zmuszona - odparła Jeanne. - Ależ ma pani szczęście.

-Ja mam szczęście, dlaczego?

- To pani kochanek przyprowadził tu panią?

- Tak - odrzekła O.

- Będą tu się z panią obchodzić brutalniej.

- Nie rozumiem...

- Prędko pani zrozumie. Dzwonię na Pierre'a. Przyjdziemy po panią jutro rano.

Andrée uśmiechnęła się wychodząc, a Jeanne, zanim poszła za nią, dotknęła pieszczotliwie koniuszka piersi O, która stała w nogach łóżka kompletnie zbita z tropu. Poza obrożę i bransoletami ze skóry, które pod wpływem kąpieli stały się twarde i jeszcze mocniej ją uciskały, była całkiem naga.

- To mi piękna dama - powiedział Pierre wchodząc do jej celi.

Zaraz potem chwycił obie jej ręce. Przełożył jedno przez drugie kółka przymocowane do bransolet, przez co miała złączone oba nadgarstki, potem zaś przewlekł obydwa kółka przez ogniwo przy obroży. W ten sposób dłonie znalazły się wysoko przy szyi, jak gdyby się modliła. Wystarczyło już tylko przykuć ją do ściany łańcuchem spoczywającym na łóżku i przewleczonym przez stalowe

kółko na ścianie. Odpiął jeden koniec z haka zakończonego karabinkiem i pociągnął, aby go skrócić. O musiała się teraz przesunąć w stronę wezglowia, gdzie Pierre kazał się jej położyć. Łańcuch podzwaniał o stalowe kółko i był na tyle krótki, że O mogła poruszać się jedynie na szerokość łóżka, chcąc zaś znaleźć się w drugim jego końcu musiałyby stanąć. Ponieważ łańcuch ścigał ją za szyję do tyłu, ręce natomiast naturalnie ciągnęły ku przodowi, ułożyła się tak, iż obie ręce miała na lewym ramieniu, w którą to stronę odchyliła również głowę. Lokaj nakrył O czarną kołdrą, zanim to jednak zrobił, podciągnął jej na chwilę nogi na wysokość piersi, żeby przyjrzeć się szparce pomiędzy jej udami. Więcej jej już nie dotknął, bez słowa zgasił światło wyłącznikiem znajdującym się pomiędzy drzwiami i wyszedł. ||Leżąc na lewym boku, sama w ciemności i ciszy, rozgrzana pomiędzy dwiema warstwami futrzanej materii i siłą unieruchomiona, rozmyślała nad tym, dlaczego tyle słodczy miesza się w niej z uczuciem strachu, też może, dlaczego strach jest dla niej taki słodki. Zauważyła, że jedną z najbardziej dotkliwych rzeczy jest to, że odebrano jej możliwość posługiwania się rękami. To nie dlatego, że mogłyby ją może obronić (czy zresztą pragnęła się bronić!), lecz wolne mogłyby uczynić jakiś gest, mogłyby usiłować odepchnąć inne ręce, które ją tarposiły, inne ciało wpychające się w głąb jej własnego, mogłyby osłonić jej lędźwie przed razami bicia. Pozbawiono ją jej własnych rąk; jej ciało pod futrzastym okryciem było niedostępne jej samej, jakże dziwne było nie móc dotknąć własnych kolan, ani własnego łona. Te wargi pomiędzy nogami, które piekły ją teraz, były jej zakazane, piekły zaś może dlatego, iż wiedziała, że stoją otworem dla tego, kto chce, dla lokaja Pierre'a, jeśli będzie miał ochotę wejść. Zdziwiła się, że wspomnienie chłosty nie w niej spokoju, podczas gdy myśl o tym, że nigdy nie dowie się z czterech mężczyzn dwukrotnie sforsował ją od tyłu, czy był to sam mężczyzna, i czy nie był to jej kochanek, przerażała ją. Przekreśliła odrobinę na brzuch, rozmyślając o tym, że jej kochanek lubi rowek między jej pośladkami i że do dzisiejszego wieczoru (jeśli to był on) 5Jy tam nie wchodził. Chciała, żeby to był on. Czy go o to spyta? Ach e, nigdy! Przypomniała sobie rękę, która w samochodzie wzięła od jej pas i majtki, ściągnęła podwiązki, żeby mogła zwinąć pończochy ~> wysokości kolan. Obraz ten był tak żywy, że zapomniała na moment o związanych rękach, aż zazgrzytał łańcuch. I dlatego, skoro wspomnienie chłosty było dla niej takie lekkie, sama nazwa, samo słowo, sam trzask bicia sprawiły, że serce waliło jej w piersi, a oczy zamykały się z lżenia? Nie poprzestała na rozważaniach czy to jedynie strach, ogarnęła ją panika: podciągnęła łańcuch, żeby stanęła na łóżku i będą ją chłostać, z brzuchem przyklejonym do ściany, będą chłostać i chłostać, to słowo tłuło się bez przerwy po jej głowie. Jeanne powiedziała, że Pierre będzie ją chłostał. Ależ ma pani szczęście, mówiła Jeanne, będą się tu z panią obchodzić brutalniej, co też chciała przez to powiedzieć? Czuła już tylko obrozę na szyi, bransolety i łańcuch, swoje skręcone na bok ciało i zaczynała rozumieć. Zasypiała. Pod koniec nocy, w porze gdy jest ona najciemniejsza i najchłodniejsza, tuż przed świtem, Pierre zjawił się ponownie. Zaświecił światło w łazience, zostawiając uchylone drzwi, tak że utworzyło ono jaśniejszy kwadrat pośrodku łóżka, tam gdzie drobne i skurczone ciało O rysowało się nieznacznie pod przykryciem, które po cichu odrzucił. Ponieważ O spała na lewym boku, z twarzą w stronę okna, nogi zaś miała podkurczone, jego oczom ukazała się jej pupa, olśniewająco biała na tle czarnej pościeli. Wyjął jej spod głowy poduszkę i rzekł przejmie:

- Zechce pani wstać - a kiedy czepiając się łańcucha zdołała podnieść się na klęczki, pomógł jej chwytając pod łokcie, tak by mogła się wyprostować i stanąć twarzą do ściany.

Refleks światła na łóżku, słaby, gdyż łóżko było czarne, oświetlał jej ciało, czynił zaś niewidocznymi jego ruchy. Domyślała się, choć tego nie widziała, że odpiął łańcuch z karabinka, żeby zaczepić go o inne ogniwo, i aby jej ciało było mocniej naprężone i rzeczywiście - poczuła jak łańcuch się napina. Stała teraz na tyle wygodnie, że bosa stopy płasko opierały się na łóżku. Nie widziała również tego, że Pierre ma za pasem nie zwyczajny bicz, lecz czarny pejcz podobny do tego, jakim bito ją zaledwie dwukrotnie i to dość lekko, wówczas w bibliotece. Lewa ręka lokaja spoczęła powyżej jej biodra, materac rozchybotał się trochę, gdyż dla równowagi Pierre wsparł się

na nim prawą nogą. W tej samej chwili kiedy usłyszała świst w mroku, O poczuła straszliwe, pałace smagnięcie przez pośladki i krzyknęła z bólu. Pierre nie żałował pejcza. Nie czekał aż przestanie krzyczeć tylko zaczynał od nowa, cztery razy, bacząc przy tym, by trafić to niżej, to znów wyżej niż poprzednim razem, tak żeby chłosta pozostawiła równe i wyraźne ślady. Przerwał kiedy jeszcze krzyczała, a łzy spływały do jej otwartych szeroko ust.

- Zechce się pani teraz grzecznie odwrócić - powiedział, a kiedy nieprzytomna z bólu nie usłuchała go, sam ją odwrócił, chwytając za biodra, nie wypuszczając przy tym z ręki pejcza, którego trzonek musnął jej plecy.

Kiedy stała już twarzą w jego stronę, cofnął się odrobinę dla lepszego zamachu, a potem z całej siły wysmagał z wierzchu jej uda. Wszystko to trwało około pięciu minut. Kiedy wyszedł, zgasiwszy najpierw światło i zamknawszy drzwi od łazienki, O jęcząc i drżąc z bólu kołysała się na swym łańcuchu w zupełnej ciemności. Dopiero przed świtem zaczęła pchnąć i nieruchomieć przy ścianie, której lśniący perkal chłodził jej ^zszarpaną skórę. Wielkie okno, w stronę którego była zwrócona, gdyż opierała się bokiem, wychodziło na wschód. Sięgało od sufitu do podłogi niczym nie było przesłonięte, jeśli nie liczyć dwóch kawałków tej samej na ścianach czerwonej tkaniny, udrapowanej i upiętej po obu jego stronach. O patrzyła na podnoszącą się bladą zorzę, wlokącą za sobą mgłę przez kępy astrów w dole za oknem, z której na koniec wynurzyła topola. Pożółkłe liście spadały od czasu do czasu wirując, choć nie > wiatru. Za masywem astrów i malw był trawnik, za nim zaś aleja, już całkiem widno, a O od dawna już się nie poruszała. W alei ukazał się ogrodnik pchający taczkę. Słysząc było skrzypiące na żwirze d. Okno było tak duże, cela zaś mała i widna, że gdyby podszedł bliżej, żeby sprzątnąć liście, które spadły w pobliżu astrów, z pewnością zobaczyłby O, zwisającą nago na łańcuchu i mógłby nawet dojrzeć bez trudu ślady pejcza na jej udach. Rany opuchły, tworząc cienkie wałeczki |barwie głębszej od czerwieni ścian. Gdzie teraz spał jej kochanek, który tak smacznie zawsze sypia o cichym świetle? W jakim pokoju, jakim łóżku? Czy wie jak ją skatowano? Czy to on kazał ją wychłostać? O pomyślała sobie o więźniach, takich jakich przedstawiają na rycinach i na sztychach historycznych: byli również skuci łańcuchami i bici, przed iluś tam laty, przed wiekami, dawno już pomarli. Nie chciała umierać, jeśli chłosta miała być ceną za jego miłość do niej, pragnęła jedynie p, żeby był z niej zadowolony, że zniosła to dla niego i czeka teraz spokojna i cicha, aż ją do niego zaprowadzą. Żadna z kobiet nie miała klucza ani od drzwi, ani żadnych innych, natomiast każdy z mężczyzn Sił przypięte na kółku aż trzy ich rodzaje - mógł nimi otwierać zarówno drzwi, jak kłódki i zameczki przy obroży. Mieli je również lokaje, także rano lokaje pełniący służbę w nocy, spali. Tym, który przyszedł otworzyć zamki był albo jeden z mistrzów, albo jakiś inny lokaj. Nie zdołała go rozpoznać. Ubrany był w skórzaną bluzę, spodnie i buty do ej jazdy. Najpierw odpiął łańcuch od ściany i O mogła się wreszcie położyć na łóżku. Zanim uwolnił jej ręce, przesunął dłoń pomiędzy jej udami, tak jak to zrobił ów mężczyzna w masce i rękawiczkach, którego ujrzała na samym początku w czerwonym saloniku. Być może był to on. Twarz miał kościstą i pociągłą, harde spojrzenie, jakie można zobaczyć na portretach dawnych hugenotów, włosy zaś siwe. O wytrzymała to spojrzenie jakiś czas, który zdawał się jej wiecznością, gdy naraz przypomniała sobie ze zgrozą, że nie wolno jej spoglądać na panów powyżej pasa. Zamknęła oczy, lecz było już za późno ^{^-} usłyszała jego śmiech a potem słowa:

- Zapiszcie jej karę po obiedzie.

Było to skierowane do Andrée i Jeanne, które weszły za nim i stały teraz po obu stronach łóżka. Powiedziawszy to wyszedł. Andrée podniosła [^] ziemi poduszkę i koldrę, którą Pierre odrzucił był w nocy, gdy przyszedł ją wychłostać. Jeanne przysunęła do wezglowia stolik na kółkach, przypchnięty wcześniej z korytarza. Stała na nim kawa, mleko, cukier, chleb, masło i rogaliki.

- Proszę jeść prędko - powiedziała Andree. -Jest dziewiąta - będzie pani mogła spać do południa, a kiedy usłyszysz pani dzwonek, będzie to znak, że trzeba się przygotować do śniadania. Wykapie się

pani i uczesze, ja zaś przyjdę zasznuować pani gorset.

- Pani dyżur przypada dopiero po południu, w bibliotece -odezwała się Jeanne. - Trzeba będzie podawać kawę, likiery i zajmować się kominkiem.

- A panie? - spytała O.

- No cóż, my mamy obowiązek zająć się panią tylko przez pierwszą dobę, potem zostanie pani sama i będzie miała do czynienia wyłącznie z mężczyznami. Nie będziemy mogły z panią rozmawiać, a tym bardziej pani z nami.

- Zostańcie jeszcze trochę - poprosiła O. - Powiedzcie mi tylko... - lecz nie zdążyła dokończyć, bo drzwi otworzyły się: stał w nich jej kochanek.

Nie był sam. Ubrany był tak, jakby dopiero wstał z łóżka i palił pierwszego w tym dniu papierosa: pasiasta piżama i szlafrok z błękitnej wełny z miękkimi wyłogami obszytymi jedwabiem, które razem wybierali w zeszłym roku. Pantofle trochę się już zdarły i należałoby kupić nowe. Dwie kobiety zniknęły bezszelestnie, jeśli nie liczyć szmeru jedwabiu (spódnice ocierały się odrobinę o podłogę), gdyż miękki dywan wyciszał ich kroki. O trzymając w lewej ręce filiżankę z kawą, w drugiej zaś rogalik, siedziała na brzegu łóżka podkurczywszy pod siebie jedną nogę i nie była w stanie się poruszyć. Filiżanka zadrżała jej w ręce, a rogalik upadł na ziemię.

- Podnieś go - powiedział René.

To były jego pierwsze słowa. Odstawiła tacę na stolik, podniosła napoczęty rogalik i położyła go z boku na tacy. Spory kawałek rogalika leżał nadal na dywanie tuż obok jej bosej stopy. Teraz René schylił się aby go podnieść. Potem usiadł naprzeciw O, odwrócił ją w swoją stronę i objął. Spytała go czy ją kocha.

- O tak, kocham cię - odrzekł, a następnie wstał i pomógł się jej podnieść, podtrzymując ją delikatnie za chłodne dłonie.

Potem dotknął brzegów jej ran. O nie wiedziała czy wolno jej patrzeć na mężczyznę, który wszedł tu razem z René, a na razie stał przy drzwiach odwrócony plecami i palił papierosa. Nie wybawiło jej to bynajmniej z kłopotu.

- Chodź, popatrzymy na ciebie - powiedział jej kochanek i pociągnawszy ją w nogi łóżka zwrócił się do swego towarzysza. Przyznał, że miał on rację, podziękował mu i dodał jeszcze, że dobrze by było, gdyby pierwszy zajął się O, jeśli ma na to ochotę. Wtedy nieznajomy, na którego wciąż nie śmiała spojrzeć, kazał jej rozchylić nogi, wcześniej jednak obmacał jej piersi i tyłek.

Bądź posłuszna - powiedział do niej René, przytrzymując ją na stojąco. Opierała się o niego plecami. Prawą ręką pieścił jedną z piersi, drugą trzymał ją za ramię. Nieznajomy usiadł na brzegu łóżka, schwycił i powoli rozchylił, pociągając za rosnące tam włosy, wargi osłaniające otwór pomiędzy nogami. René popchnął ją w przód, aby ułatwić mu dostęp do tego miejsca, zrozumiał bowiem czego jego towarzysz u niej pożąda. Prawym ramieniem objął ją w pasie, żeby móc ją lepiej przytrzymać. Pieszczota, przed którą się zawsze broniła i która przepelniała ją wstydem, przed którą uciekała jak tylko mogła, że zaledwie się o nią otarła, która wydawała się jej świętokradczą, gdyż świętokradztwem było to, że jej kochanek klękał przed nią, podczas gdy to ona winna klęczeć przed nim - ta pieszczota nadchodziła teraz nieuchronnie. Zrozumiała, że tym razem nie zdoła jej umknąć i że już jej uległa. Jęknęła, gdy obce wargi wpiły się w tę małą wypukłość, skąd bierze początek kielich prowadzący do wnętrza, rozpalając ją do żywego, potem wycofały się,

by ustąpić pola językowi. którego gorące ostrze paliło jeszcze mocniej.

Jęknęła głośniej, gdy wargi przywarły tam na powrót: poczuła jak ukryty w tym miejscu wierzchołek powiększa się i twardnieje pod wpływem długiego ukąszenia, wsysającego go pomiędzy zęby, długiego, rozkosznego ukąszenia, od którego zabrakło jej tchu. Naraz straciła równowagę i upadła na wznak, gdzie dopadły ją usta jej kochanka, które przywarł do jej ust, silnymi rękoma przygwoździł jej ręce do łóżka, podczas gdy dwoje innych rąk chwyciło jej nogi tuż pod kolanami, uniosło je i rozchyliło szeroko. O jej własne ręce, które trzymała teraz poniżej pleców (gdyż w chwili, kiedy Renę pchnął ją w stronę nieznanego, skrępował je, spinając ze sobą bransolety) ocierała się teraz męskość nieznanego, masturbującego się pomiędzy jej pośladkami. Podnosiła się i rosła, by za chwilę uderzyć o dno jej pochwy. Przy pierwszym pchnięciu krzyknęła, jak smagnięta biczem, a potem krzyczała już za każdym nowym jego skokiem, kochanek zaś gryzł w tym czasie jej usta. Naraz mężczyzna wyrwał się z niej gwałtownie, odpadł i runął na podłogę, jak rażony gromem. Krzyczał. Renę uwolnił jej ręce, podniósł i ułożył na posłaniu. Mężczyzna wstał również i poszedł wraz z nim do wyjścia. W jednym, krótkim przeblysku O ujrziała się jednocześnie wyzwolona, złamaną i przekłętą. Jęczała pod naporem obcych warg, jak nigdy jeszcze gdy była ze swym kochankiem, krzyczała pod ciosami jego członka, jak nigdy wcześniej, gdy kochała się z Renę. Była zbeszczeszczoną, okryta hańbą. Jeśli ją teraz opuści, będzie miał do tego prawo. Lecz cóż to, drzwi ponownie się otworzyły, wrócił, został, położył się przy niej, przykrył i wsunął rękę pomiędzy jej wilgotne i rozpalone uda, i przytulając do siebie powiedział:

-Kocham cię. Kiedy już oddam cię również lokajom, przyjdę którejś nocy, żeby cię wychłostać do krwi.

Słońce przedarło się wreszcie przez mgłę i załało pokój. Lecz obudził ich dopiero dzwonek oznajmiający południe. O nie wiedziała co robić. Jej kochanek był tu z nią, równie bliski, tak samo niewinnie jak w łóżku w pokoju z niskim sufitem, gdzie przychodził do niej co noc, odkąd zamieszkali razem. Było to wielkie łóżko w stylu angielskim, mahoniowe, z kolumnkami lecz bez baldachimu. Kolumnki u wezłowania były wyższe od tych w nogach. Spał zawsze na lew; boku, a kiedy się tylko przebudził, nawet jeśli było to w środku n zawsze wyciągał rękę w stronę jej nóg. Dlatego spała zawsze w nocnej koszuli, a jeśli zakładała piżamę, to tylko górę, bez spodni. Teraz również zrobił tak samo. Ujęła jego rękę i ucałowała, nie śmiać o nic pytać. Jednakże on sam zaczął mówić. Trzymając ją za obrożę, z dwoma palcami wciśniętymi pomiędzy rzemień a skórę jej szyi, mówił do niej, że chce aby odtąd była wspólną własnością jego i tych, których wskaże, również tych wszystkich, którzy należą do towarzystwa tego pałacu, tak jak była nią wczorajszego wieczoru. Że zależna jest od niego i tylko od niego, nawet jeśli kto inny wydaje jej rozkazy, obojętnie czy jest on przy tym obecny, czy też nie, gdyż z samej zasady bierze on udział we wszystkim co ją tu spotyka, od niego zależy każdy rozkaz czy kara. Pozostaje jej panem i kochankiem za pośrednictwem tych, w których ręce ją oddaje, przez sam fakt, że to on ją im oddał. Powiedział, że ma być wobec nich uległa i traktować z takim szacunkiem, jak traktowałyby jego. Mają być oni dla niej pomnożonym obrazem jego samego. Dzięki temu będzie ją mógł posiadać w taki sposób, jak bóg swoje stworzenia, z którymi zespala się pod postacią dzikiej bestii, niewidzialnego ducha lub poprzez ekstatyczną wizję. Nie znaczy to, że chce się z nią rozdzielić. Należy do niego tym mocniej, im rozrzutniej ją oddaje innym. To, że ją oddał jest najlepszym dowodem, że należy do niego: nie sposób oddać tego, czego się nie posiada. Oddaje ją po to, by wziąć ją z powrotem, i to wziąć już lepszą i cenniejszą, tak samo jak zwykły przedmiot, który użyty w boskich celach, stał się przez to przedmiotem świętym. CM dawna już pragnął ją sprostytuować i czuje teraz prawdziwą radość, że rozkosz jakiej w związku z tym doznał, przerosła jego oczekiwania, i przywiązała go do niej jeszcze mocniej. Ona również poczuje się bardziej z nim związana, im więcej cierpień i upokorzeń przy tym zazna. Ponieważ: kocha go, wszystko co pochodzi od niego musi kochać również. O słuchała go drżąc ze szczęścia, gdyż kochała go. Drżała i zgadzała się ze wszystkim co mówił. Domyślił się tego, skoro rzekł jeszcze:

- Wiem, że zgadzasz się z tym bez trudu i dlatego chcę od ciebie rzeczy, na które nie zdołasz się zgodzić, nawet gdybyś teraz zaakceptowała je z góry, bo zdawałoby ci się, że jesteś zdolna wytrzymać wszystko. Będziesz musiała się sprzeciwić. Zostaniesz doprowadzona do uległości wbrew tobie samej - nie dlatego tylko, że ja i inni czerpiemy z tego niezrównaną rozkosz, lecz po to, byś to przeżyła.

O miała już odpowiedzieć, że jest jego niewolnicą i z radością dźwiga swoje pęta. Powstrzymał ją jednak:

- Mówiono ci wczoraj, że tu w pałacu nie wolno ci patrzeć na twarze mężczyzn ani odzywać się. Tym bardziej nie wolno ci mówić do mnie. Masz słuchać i milczeć. Kocham cię. A teraz podnieś się. Od tej chwili nie otworzysz więcej ust w obecności mężczyzny, chyba że po to, aby nimi krzyknąć lub pieścić.

O wstała. René leżał dalej na łóżku. Wykąpała się i ułożyła włosy. Ciepła woda sprawiła, że wzdrygnęła się zanurzając w niej swoje zmaltretowane pośladki. Osuszyła ciało ręcznikiem, nie wycierając się, by uniknąć piekącego bólu. Umalowała usta (oczu nie ruszała), nałożyła puder na policzki i naga, ze spuszczonego wzrokiem powróciła do celi. René przyglądał się stojącej u wezglowia Jeanne, która również patrzyła w dół i milczała. Kazał jej zająć się O. Jeanne przyniosła gorset z zielonego atlasu, białą halkę, suknię i zielone pantofelki. Zapiawszy najpierw gorset od przodu, zabrała się do ściągania sznurówki na plecach. Gorset był ciężki, wypchany fiszbinami, długi i sztywny, jak w czasach, gdy modne było wcięcie osy i posiadał specjalne wyłogi, na których opierały się piersi. W miarę ściskania piersi unosiły się, a ich koniuszki wypinały się naprzód. Jednocześnie talia stawała się coraz cieńsza, przez co uwydatniał się brzuch, a krzyż wyginał się głęboko. Najdziwniejsze było to, że cała ta konstrukcja okazała się nadzwyczaj wygodna i do pewnego stopnia odprężająca. Było się wprawdzie nadmiernie wyprostowanym, lecz jednocześnie, nie wiedzieć dlaczego - może po prostu na zasadzie kontrastu - dawała ona poczucie swobody czy raczej może gotowości tym częściom ciała, które nie były ściśnięte. Szeroka dołem suknia z górą wyciętą trapezowato od szyi aż do koniuszków piersi, na całą ich szerokość, wydała się jej nie tyle okryciem, co środkiem prowokacji i podkreślenia nagości. Kiedy Jeanne zawiązała już sznurówkę na podwójny węzeł, O wzięła z łóżka jednoczęściową suknię, halkę, którą nosiło się pod spodem jako luźną jej podszewkę i stanik wycięty z przodu, i wiązany z tyłu, który - zależnie od tego jak mocno ściśnięty był gorset - mniej lub bardziej podkreślał zarys piersi. Jeanne ściągnęła go bardzo mocno. Przez otwarte drzwi łazienki O mogła ujrzeć w lustrze swoją szczupłą postać tonącą w zielonym aksamicie, układającym się na biodrach w sute fałdy przypominające paniery. Kobiety stały blisko siebie. Kiedy Jeanne pochyliła się, by poprawić zagniecenie na rękawie zielonej sukni, jej piersi o wydłużonych, brązowych sutkach zatrzęsły się pod koronkową oprawą stanika. Jej suknia uszyta była z żółtego kwefu. René, który podszedł bliżej powiedział do O:

- Spójrz tylko. Potem zaś do Jeanne:

- Podnieś suknię.

Oburącz uniosła szeleszczący jedwab i batystę znajdujący się pod spodem, skrywający złocisty brzuch, gładkie uda, i zwieńczający je czarny trójkąt. René zbliżył tam swoją rękę, a potem zanurzył ją tam powoli, drugą wy dobył koniuszek jednej z jej piersi.

- Przyglądaj się - po to to robię - powiedział do O.

O patrzyła. Patrzyła na jego twarz - ironiczną, lecz skupioną - usta niecierpliwie oczekujące ust Jeanne, jej wygiętej szyi ściśniętej skórzaną obrozą. Czy ona sama mogłaby dostarczyć mu jakiejś innej rozkoszy, której nie jest w stanie dać Jeanne czy inna kobieta?

- Nie spodziewałaś się tego? - spytał.

Nie, nie spodziewała się. Opadła na ścianę pomiędzy dwoma drzwiami, zrezygnowana, z opuszczonymi rękoma. Nie będzie musiał już więcej kazać jej milczeć. Jakże mogłaby cokolwiek mówić? Być może jej rozpacz poruszyła go jednak. Zostawił Jeanne, żeby ją objąć. Nazwał ją swą miłością i swoim życiem, powtórzył, że ją kocha. Ręka, którą dotykał jej piersi i szyi była wilgotna od zapachu Jeanne. A dalej? Rozpacz, w której przed chwilą tonęła, ustąpiła: on ją kochał, o tak, kochał ją! Mógł się rozkoszować Jeanne czy inną - wszystko jedno - on ją kochał.

- Kocham cię - szeptała mu do ucha - kocham cię - tak cicho, że ledwie ją słyszał. - Kocham cię. Wyszedł dopiero wtedy, gdy zobaczył słodycz na jej twarzy i jej jasne, szczęśliwe oczy.

Jeanne ujęła O za rękę i wyprowadziła na korytarz. I znów ich pantofelki stukały o posadzkę, znowu też na ławeczce pomiędzy drzwiami spotkały lokaja. Ubrany był tak samo jak Pierre, lecz to nie był on. Ten był wysoki, chudy i czarnowłosy. Wstał i ruszył przed nimi. Wprowadził je do przedpokoju, gdzie przed kutymi z żelaza drzwiami, odcinającymi się od wielkich, zielonych kotar czekali dwaj inni lokaje Z białymi, nakrapianymi rudo psami u stóp.

- To klauzura - szepnęła Jeanne, lecz idący przed nimi lokaj zdołał to usłyszeć i odwrócił się. O patrzyła przerażona jak Jeanne blednie, wypuszcza jej rękę i rąbek sukni, który dotąd trzymała w drugiej, następnie pada na kolana na czarne posadzkę, albowiem przedpokój wyłożony był czarnym marmurem. Dwaj lokaje stojący opodal żelaznej kraty roześmieli się. Jeden z nich podszedł do O i poprosił by szła za nim. Otworzył kolejne drzwi i przepuścił je przodem. Usłyszała śmiech, potem kroki i zamykające się za nią drzwi. Nigdy, przenigdy nie dowiedziała się co stało się wówczas z Jeanne: czy i w jaki sposób została ukarana za to, że się odezwała. Czy skończyło się na zaspokojeniu kaprysów któregoś z lokajów? Czy padając na kolana postąpiła zgodnie z regulaminem i czy w ten sposób udało się jej przebłagać ich gniew? Podczas swego pierwszego pobytu w pałacu, który trwał dwa tygodnie zauważyła jedynie, że jakkolwiek nakaz milczenia był całkowicie ścisły, to rzadko zdarzało się aby podczas prowadzenia ich w tę i z powrotem, jak również podczas posiłków, któraś z dziewcząt nie usiłowała go złamać - szczególnie w dzień, w obecności samych lokajów, tak jak gdyby ubranie przywracało im bezpieczeństwo, którego pozbawiała ich nagość, łańcuchy nocą i obecność panów. Zauważyła też, że podczas, gdy nie do pomyslenia wobec tych ostatnich byłby najmniejszy gest. mogący wyglądać na zachętę czy objaw sympatii, z lokajami sprawa mika się inaczej. Oni nigdy nie rozkazywali, chociaż uprzejmość ich próśb Była tak samo nieubłagana jak rozkazu. Jak się wydaje, mieli przykazane karać natychmiast za każde popełnione przy nich wykroczenie wobec regulaminu. O zdarzyło się widzieć trzykrotnie - raz w korytarzu prowadzącym do czerwonego skrzydła, a dwa razy refektarzu - jak dziewczęta przyłapano na rozmowie zostały natychmiast rzucone na ziemię i wychłostane. Tak więc można było zostać wychłostaną również w dzień, wbrew temu co powiedziano jej pierwszego wieczoru, tak jakby to, co robili lokaje nie liczyło się i trzeba było zdać się na ich dyskreję. W świetle dziennym stroje lokajów nabierały dziwnie groźnego wyglądu. Niektórzy nosili czarne pończochy, a w miejsce czerwonej kamizelki i białego żabotu, koszule z miękkiego jedwabiu, marszczone przy szyi, z szerokimi rękawami zakończonymi mankietem. To właśnie jeden z nich, w południe ósmego dnia, z gotowym już biczem w ręku, rozkazał wstać z taboretu pięknej jasnowłosej Madeleine o różanomlecznych piersiach, za to, że uśmiechnęła się do O i powiedziała do niej kilka słów - zbyt szybko, by zdołała ją zrozumieć. Nim zdążył się na nią zamachnąć, Madeleine była już na kolanach - białymi dłońmi wydobyla jego męskość spod czarnego jedwabiu i zbliżyła ją do otwartych ust. Tym razem uniknęła ponieważ lokaj ów był jedynym nadzorcą pilnującym dziewcząt w refektarzu, kiedy tylko zamknął oczy poddając się pieszczotom, pozostałe dziewczęta zaczęły ze sobą rozmawiać. Tak więc lokajów udawało niekiedy zjednać. Lecz po co? Jeśli było coś, do czego trudno się jej dostosować i do czego w rezultacie nie stosowała się w całości, to patrzenia na twarze mężczyzn. Ponieważ zakaz ten obowiązywał ją również w stosunku do lokajów, O była ciągle w

niebezpieczeństwie - ciekawość twarzy zżerała ją i w efekcie ten i ów wychłostał ją nieraz, lecz tak naprawdę nie za każdym razem, gdy zostało to dostrzeżone (traktowali widać dość swobodnie powierzone im obowiązki, a być może wystarczała im fascynacja, jakiej doświadczali ze strony dziewcząt, żeby z powodu nadmiernej gorliwości w stosowaniu owego bezwzględного ryguru wyrzekać się ich spojrzeń, które prześlizgnawszy się niekiedy przez ich oczy albo usta, natychmiast kierowały się w dół, gdzie znajdowała się ich męskość, bicz trzymany w ręku, by po pewnym czasie próbować od nowa), niemniej jednak, zawsze, ilekroć przyszła im ochota ją upokorzyć. I chociaż zdarzało się, że obchodzili się z nią okrutnie, nie miała przecież tej odwagi, a może właśnie nie była dość tchórzliwa, by sama z siebie paść przed nimi na klęczki. Znosiła kary nie prosząc o łaskę. Co do obowiązku milczenia, to za wyjątkiem, gdy był z nią jej kochanek, nie ciążył jej wcale i nigdy też mu nie uchybiła, odpowiadając za pomocą znaków dziewczętom, które wykorzystywały chwilę nieuważności strażników, by się do niej odezwać. Zazwyczaj zdarzało się to podczas posiłków, zaraz po wejściu do sali, kiedy towarzyszący im lokaj odwracał się w stronę Jeanne. Ściany jadalni były czarne, podobnie jak posadzka i okrągły stół z grubego szkła, a każda z dziewcząt siadała na okrągłym taborecie obitym czarną skórą. Siadając trzeba było podnieść spódnicę, O zaś czując śliską i chłodną skórę w zetknięciu z nagimi udami przypominała sobie ową chwilę, kiedy kochanek kazał jej zdjąć pończochy i majtki, i usiąść bezpośrednio na skórzanym siedzeniu samochodu. I odwrotnie, gdy opuściła już pałac i ubrana zwyczajnie, jak wszyscy, lecz obnażonymi pod kostiumem czy suknią pośladkami, musiała podnieść spódnicę by usiąść obok swego kochanka albo innego mężczyzny, czy w samochodzie, czy w kawiarni, zawsze przypominał się jej pałac, odsłonięte piersi w jedwabnym staniku, ręce i usta, którym wszystko Wolno, i straszliwa cisza. Jednakże nic nie pomagało jej tak jak cisza, może jeszcze łańcuchy. Łańcuchy i cisza, które powinny były skrępować ją całkowicie, do samej głębi, zdusić i spętać, całkiem przeciwnie -wyzwalały ją od niej samej. Cóż by się z nią stało, gdyby pozwolono się jej odzywać, pozostawiono jej możliwość wyboru, pytano o zgodę, skoro jej własny kochanek stręczył ją innym? To prawda, że odzywała się podczas chłosty, lecz czy można nazwać mianem słów to, co jest jedynie skargą i krzykiem? A i te uciszano często kneblując jej usta. Wydana na pastwę spojrzeń, rąk, członków hańbiących jej ciało, razów bicia, który je rozrywał, zapadała w stan delirycznej nieobecności, wyzwolenia się z siebie samej, który oddawał ją miłości, a być może przybliżał do śmierci. Była obojętnie którąś z dziewcząt, rozciągniętych i gwałconych jak ona, albowiem przyglądała się nieraz tym innym, rozciągniętym i gwałconym, i tak samo nie mogła im pomóc. Drugiego dnia pobytu, jeszcze przed upływem doby od swego przybycia, zaprowadzono ją do biblioteki, gdzie miała usługiwać podając kawę i zajmować się podtrzymaniem ognia. Towarzyszyła jej Jeanne, którą przyprowadził lokaj o czarnych włosach i dziewczyna imieniem Monique. Lokaj pozostał w bibliotece stojąc obok słupa, przy którym była przywiązana poprzedniego wieczoru. Na razie biblioteka była pusta. Drzwi balkonowe wychodziły na zachód i jesienne słońce wędrujące powoli po niemal bezchmurnym niebie padało na ogromny bukiet jasnożółtych chryzantem stojących na komodzie, pachnących ziemią i uschłymi liśćmi.

- Czy Pierre wychłostał panią w nocy - zapytał lokaj. O skinęła twierdząco.

- Musi pani pokazać ślady - powiedział. - Ze chce pani podnieść do góry suknię.

Zaczekał aż zawinie suknię z tyłu, tak jak to zrobiła Jeanne wczorajszego wieczoru, i aż Jeanne pomoże ją przymocować. Potem kazał jej zapalić w kominku. Lędzwie O, aż do wysokości pasa, jej uda i zgrabne nogi odcinały się od fałd zielonego atłasu i białego batystu. Pięć pręg było całkiem czarnych. Palenisko okazało się przygotowane - wystarczyło że O przytknęła zapalną do wiązki siana obłożonej drobnymi gałązkami i zapłonął ogień. Gałązki jabłoni zajęły się szybko, a po nich dębowe polana palące się wysokim płomieniem, tak jasnym, że niemal niewidocznym w świetle dnia, niemniej roztaczając silny zapach. Wszedł inny lokaj i na konsoli, z której zdjął lampę, postawił tacę z filiżankami do kawy, po czym wyszedł. O stanęła przy konsoli, a Monique i Jeanne po obu stronach kominka. W tej właśnie chwili weszło dwóch mężczyzn, zaś lokaj, który je przyprowadził. O wydawało się, że poznaje jednego z tych, którzy znęcali się nad nią wczoraj -

tego, który by uczynić bardziej wygodnym jej tyłek. Przypatrywała mu się ukradkiem nalewając kawę do małych, czarno-złoty filizanek, które podawała jej Monique. Był to szczupły młodzieniec o jasnych włosach, wyglądający na Anglika. Mówił coś nadal i O pozbyła się już wątpliwości. Drugi mężczyzna był również blondynem, przysadzistym, o zaokrąglonej figurze. Obaj zasiedli w skórzanych fotelach, z nogami w stronę kominka i nie spiesząc się palili papierosy, i czytali gazety, nie zwracając więcej uwagi na kobiety, tak jakby tu ich w ogóle nie było. Od czasu do czasu dało się słyszeć szelest papieru, szmer osypującego się żaru. Od czasu do czasu też O dokładała polano do ognia. Siedziała na poduszce na podłodze, obok kosza z drewnem. Monique i Jeanne siedziały naprzeciw litej. Ich rozpostarte suknie zmieszały się ze sobą. Ta, którą miała na sobie Monique była koloru ciemnej czerwieni. Nagle, po upływie całej godziny milczenia, jasnowłosy młodzieniec przywołał Jeanne i Monique. Kazał im przynieść pufę (był to ten sam mebel, na który poprzedniego wieczoru została powalona O). Monique nie czekała na dalsze rozkazy, tylko uklękła, pochyliła się i przywarła piersią do futra, obejmując oburącz pufę. Kiedy młodzieniec rozkazał Jeanne zadrzeć do góry czerwoną suknię, nie poruszyła się. Dlatego też musiała (a rozkaz wydany był w jak najostrzejszej formie) rozebrać go i ująć w ręce jego miecz, którym swego czasu przeszył był tak boleśnie O. W zaciśniętych dłoniach poczał pęcznić i sztywnieć, potem zaś O mogła zobaczyć jak te same ręce, drobne ręce Jeanne, rozsuwają uda Monique, pomiędzy które, kilkoma pchnięciami, pod wpływem których Monique jęknęła, młodzieniec się zagłębił. Drugi z mężczyzn przypatrujący się wszystkiemu bez słowa, dał znak O by się zbliżyła i nie odwracając oczu od tamtej sceny popchnął ją na poręcz fotela, zadarł jej suknię i całą garścią chwycił jej podbrzusze. właśnie zastał ich René, kiedy minutę później wszedł do biblioteki. - Nie ruszajcie się, proszę - powiedział zasiadając na tej samej poduszce przy kominku, gdzie wcześniej siedziała O. Przyglądał się pilnie z uśmiechem jak ręka tamtego zagłębia się, to znów wycofuje się na, by zaraz potem gwałtownie wdrzeć się pomiędzy uda i pośladki, pochylające się coraz mocniej, tak że O nie zdołała powstrzymać jęku. Monique dawno już się podniosła, Jeanne zastąpiła O przy kominku i podała kieliszek whisky René, on zaś ucałował jej dłoń i pił nie spuszczać oczu z O. Mężczyzna, który ją schwycił, odezwał się wreszcie:

- Czy ona ma być dla pana?
- Owszem - odpowiedział René.
- Jacques ma rację - dodał młodzieniec. - Ona jest za ciasna i trzeba ją poszerzyć.
- Byle nie za bardzo - odpowiedział Jacques.
- Jak pan sobie życzy - rzekł René wstając. - Jest pan lepszym znawcą niż ja.

I sięgnął po dzwonek. Od tej chwili przez osiem dni, od zachodu słońca, kiedy kończyła służbę w bibliotece, do czasu kiedy jej tam z powrotem nie wzywano, zazwyczaj przez jakieś osiem, dziesięć godzinna dobę, kiedy ją gdzieś prowadzono, skutą łańcuchami, w czerwonym płaszczu narzuconym na gołe ciało, O miała w sobie, wbity pomiędzy pośladki i przytwierdzony trzema łańcuszkami przypiętymi do pasa na biodrach - tak by się nie wysliznął pod wpływem skurczów odbytu - ebonitowy trzonek w kształcie fallusa. Jeden łańcuszek przechodził z tyłu pomiędzy pośladkami, dwa pozostałe przez krocze, tak by w razie potrzeby można było z niego skorzystać. Wówczas, kiedy René zadzwonił, przyniesiono mu kuferek z dwiema przegródkami. W jednej znajdował się zestaw łańcuszków i pasów, w drugiej natomiast wspomniane trzonki - od grubego do całkiem cienkiego. Były szersze u podstawy, by nie wpaść wskutek naturalnej pracy mięśni, które miały za zadanie rozciągnąć. Codziennie Jacques kazał jej przykłękać, a Jeanne lub Monique przymocowywała całe to urządzenie, z każdym dniem coraz grubsze. Codziennie też dawało się stwierdzić, że O robi się w tym miejscu szersza i łatwiej dostępna. Kiedy wykąpane i umalowane dziewczęta zasiadały do kolacji w refektarzu, można było zauważyć, że O nosi wciąż ów aparat - wystarczyło spojrzeć na łańcuszki i skórzany pas. Sama nie mogła się od niego uwolnić - robił to Pierre, gdy przychodził przykuć ją do ściany bądź zaprowadzić do biblioteki. Rzadkie były dni, kiedy ktoś nie korzystał z tej drogi, która stawała się stopniowo coraz wygodniejsza. Po ośmiu dniach aparat był niepotrzebny, a René stwierdził, iż jej ciało jest odtąd podwójnie otwarte, ona zaś

postara się, aby stan ten się nie zmienił. Przy okazji powiedział jej, że opuszcza pałac na cały tydzień, a kiedy powróci, zabierze ją z sobą do Paryża.

- Nie zapominaj, że cię kocham i pamiętaj o mnie - dodał.

Ach, jakże mogłaby o nim zapomnieć. Ręka zawiązująca jej oczy była dla niej jego ręką, nim był bicz lokaja, łańcuch nad łóżkiem, nieznajomy tarmoszący jej łono, a każdy głos wydający jej rozkaz, był jego głosem. Czyżby się poddała? Nie. Wydawałoby się, że będąc nieustannie łzona, powinna przywyknąć do zniewag, ustawicznie obmacywana, przyzwyczajając się do roli przedmiotu, a już z pewnością do bicia, którym ją wciąż chłostano. Straszliwy przesyt bólu i rozkoszy jakiego doświadczała, winien stopniowo spychać ją ku brzegom niewrażliwości bliskiej somnambulizmowi. Tymczasem było odwrotnie. Gorset, który usztywniał jej ciało, łańcuchy trzymające ją w posłuszeństwie, milczenie będące jej ucieczką - to wszystko miało jakiś cel. Podobnie ciągły widok dziewcząt oddających się, tak samo jak ona, mężczyznom, ich ciała w każdej chwili dostępne. Również widok i świadomość własnego ciała. Każdego dnia niejako rytualnie brukana śliną, spermą i cudzym potem mieszającym się z jej własnym, czuła się owym naczyniem nieczystym, o którym mówi Pismo. A jednak te części ciała najczęściej wykorzystywane i hańbione, stały się bardziej wrażliwe i wydawały się jej jakby szlachetniejsze i piękniejsze, jej usta obejmujące czyjaś męskość, piersi stale tarmoszone i kłusane, krocze rozrywane z obu stron... To dziwne, ale hańbiona i łzona na sto sposobów, zyskała jednak jakąś wewnętrzną dostojność i dumę. Emanowała ona na zewnątrz - dawało się ją dostrzec w spokojnym chłodzie, pogodnej twarzy rozświetlonej jakimś nieuchwytnym wewnętrznym uśmiechem, właściwym świętym i pustelnikom. Kiedy Renę mówił o swoim wyjeździe, była noc. O czekała naga w celi aż przyjdą zaprowadzić ją do refektarza. Jej kochanek ubrany był zwyczajnie, tak jak na co dzień w Paryżu. Kiedy ją przytulił, tweed jego marynarki zadrasnął koniuszek jej piersi. Ujął ją w ramiona, ułożył na łóżku i wziął ją czule, delikatnie, powoli, odwiedzając obydwie dostępne już otwory, by na koniec rozlać się w jej usta. Potem przytulił ją ponownie.

- Zanim wyjadę chciałbym cię wychłostać, lecz tym razem pytam cię o to. Czy się zgadzasz? Zgodziła się.

- Kocham cię - powtórzył. - Zadzwoń na Pierre'a.

Zadzwoń. Pierre skuł jej ręce nad głową łańcuchem przy łóżku. Gdy była już przykuta, Renę przytulił ją raz jeszcze stanąwszy obok niej na łóżku i jeszcze raz zapewnił, że ją kocha, po czym zszedł z łóżka i skinął na Pierre'a. Patrzył na nią szamoczącą się bezskutecznie, słuchał jej jęków, które stopniowo przeszły w krzyk. Odesłał Pierre'a kiedy cała była mokra od łez. Znalazła jeszcze siłę, żeby powiedzieć, że go kocha. Przytulił jej zapłakaną twarz, zdyszane usta, a potem odpiął ją z łańcucha, ułożył na łóżku i wyszedł.

Powiedzieć, że od chwili kiedy Renę wyszedł O zaczęła na niego czekać, to tak jakby nic nie powiedzieć: cała była czekaniem i nocą. We dnie wyglądała jak postać z jakiegoś obrazu: o delikatnej skórze, łagodnych ustach, stale spuszczonej w dół oczach (był to bowiem jedyny okres kiedy ściśle przestrzegala regulaminu). Zajmowała się kominkiem, rozdawała kawę i alkohole, podawała ogień, układała kwiaty, porządkowała gazety niczym mała dziewczynka w salonie rodziców - tak świetlista ze swymi odsłoniętymi piersiami, skórzaną obrozą na szyi, w sztywnym gorsecie i okowach niewolnicy, że wystarczyło aby w czasie posługiwania znalazła się w pobliżu któregoś z mężczyzn zajętego inną, a natychmiast przychodziła mu ochota również na nią. I z pewnością również dlatego mężczyźni byli dla niej bardziej bezwzględni niż dla innych. Czy popełniła jakiś błąd? Może kochanek zostawił ją po to, by mogli z niej nareszcie korzystać do woli? W każdym razie nazajutrz po jego wyjeździe, kiedy zdjąwszy wieczorem w łazience swoje szaty przeglądała się w lustrze, oglądając ledwie już teraz widoczne ślady pejcza na udach, nieoczekiwanie wszedł Pierre. Do obiadu było jeszcze około dwóch godzin. Powiedział, że dziś nie

będzie jeść wraz z innymi i żeby zaczęła się przygotowywać, wskazując przy tym na niski sedes w rogu, gdzie miała przykucnąć i załatwić się w jego obecności, jak uprzedzała ją Jeanne. Widziała w lustrze jak przygląda się jej uważnie, kiedy przykucnięta na sedesie bezskutecznie usiłowała powstrzymać ciecz wypływającą z wnętrza jej ciała. Począł aż weźmie kąpiel i zrobi toaletę. Miała właśnie wziąć pantofelki i płaszcz, kiedy powstrzymał ją ruchem ręki. Wiążąc jej ręce na plecach powiedział jeszcze, że nie chodzi tu o karę i że ma na niego chwilę poczekać. Usiadła w rogu łóżka. Na dworze szalał zimny wiatr i ulewa, a topole za oknem zginały się pod gwałtownymi podmuchami. Od czasu do czasu blade, mokre listki przywierały na chwilę do szyb. Było ciemno, jakby to był sam środek nocy, chociaż nie oddzwoniono jeszcze siódmej, lecz była późna jesień i dni stały się krótkie. Kiedy powrócił Pierre, trzymał w ręku opaskę - tę samą, którą zawiązano jej oczy pierwszego wieczoru. Miał również z sobą podzwaniający groźnie łańcuch, podobny do tego nad łóżkiem. Zdawało się jej, że Pierre nie może się zdecydować czy najpierw ją skuć, czy zawiązać oczy. Patrzyła na deszcz za oknem, obojętna na to, co się stanie, pamiętając jedynie, że Renę przyrzekł powrócić i że zostało już tylko pięć dni i nocy. Nie wiedziała gdzie teraz jest, czy jest sam, a jeśli nie, to z kim. Lecz przecież wróci. Pierre położył łańcuch na łóżku i nie przerywając marzeń O, zawiązał jej na oczach opaskę z czarnego aksamitu. Przylegała ściśle, ciskając mocno policzki, tak że nie tylko nie można było w niej nic zobaczyć, ale nawet otworzyć pod nią oczu. Zapadła błogosławiona, czarna, podobna do tej prawdziwej noc, którą O powitała z większą niż kiedykolwiek radością. Błogosławione łańcuchy, które wyzwalały ją od niej samej. Pierre przypiął łańcuch do obroży i kazał jej iść za sobą. Wstała czując szarpnięcie i ruszyła za lokajem. Bose stopy ślizgały się na posadzce - odgadła, że idzie korytarzem czerwonego skrzydła. Później podłoga, tak samo zimna, stała się również bardziej chropowata, jakby była z piaskowca albo z granitu. Dwukrotnie lokaj kazał się jej zatrzymywać - słyszała szcęk klucza w zamku i odgłos otwieranych, a potem zamykanych drzwi.

- Niech pani uważa na schody - powiedział Pierre.

O zaczęła schodzić i naraz potknęła się. Pierre chwycił ją w pól. Dotychczas nigdy jej nie dotykał, jeśli nie liczyć chłosty i skuwania łańcuchem, teraz zaś ułożył ją na lodowatych schodach, których z trudem trzymała się związanymi z tyłu rękoma, by nie ześliznąć się w dół i zabrał się do jej piersi. Jego usta wędrowały od jednej do drugiej, jednocześnie przywarł do niej całym ciałem i wkrótce poczuła jak powoli sztywnieje. Nie wstał z niej zanim nie zaspokoił się całkowicie. Mokra i drżąca z zimna zdołała w końcu dotrzeć do końca schodów, gdzie znów usłyszała otwieranie drzwi, a kiedy przestąpiła ich próg, poczuła pod stopami gruby, miękki dywan. Z początku łańcuch był jeszcze nieco naprężony, potem ręce Pierre'a uwolniły jej ręce i zdjęły jej opaskę z oczu, znajdowała się w okrągłym, sklepionym pomieszczeniu, małym i niskim. Ściany i sklepienie były z surowego kamienia, widać było spajającą go zaprawę. Łańcuch prowadzący od obroży przypięty był do haka w ścianie, znajdującego się na wprost drzwi, mniej więcej metr nad ziemią i nie pozwalał na zrobienie więcej niż dwóch kroków naprzód. Nie było tu łóżka ani niczego co by je przypominało, żadnego też okrycia, a tylko trzy czy cztery poduszeczki marokańskie - te jednak znajdowały się za drzwiami i najwidoczniej nie były dla niej. Za to w zasięgu ręki, w niszy, skąd przenikało do pomieszczenia odrobinę światła stała drewniana taca, a w niej woda, owoce i chleb. Ciepło od kaloryferów, które rozmieszczone były nisko wewnątrz ścian, tworząc jakby rozgrzany pierścień, nie zdołało do końca wygnać stąd przykrego zapachu szlamu pomieszanego z ziemią, tak charakterystycznego dla starych więzień i samotnych, pustelniczych wież w starych zamkach. W gorącym półmroku, do którego nie przenikał żaden odgłos z zewnątrz O prędko straciła poczucie czasu. Nie było tu dnia ani nocy, nigdy nie zapalano tu światła. Pierre albo jakiś inny lokaj zmieniał wodę, owoce i chleb na tacy, i prowadził do kąpielni do sąsiedniego pomieszczenia. Nigdy nie widziała mężczyzn, którzy tu przychodzili, gdyż zawsze któryś z lokajów zawiązywał jej wcześniej oczy i odwiązywał je dopiero gdy wyszli. O straciła rachubę ilu ich było, a jej słodkie wargi i ręce rozdzielające po omacku pieszczoty, nie umiały nigdy poznać kogo dotykają. Niekiedy przychodzili w kilku, lecz najczęściej pojedynczo. Zawsze jednak zaczynali od tego, że musiała klęknąć twarzą

do ściany, oni zaś przypinali ją za obrozę do haka, do którego wcześniej przypięta była łańcuchem i chłostali. Wspierała się dłońmi o ścianę, twarz przyciskając do ramienia by nie poranić jej o kamienie, o które starła sobie boleśnie kolana i piersi. Nie liczyła już swoich cierpień i krzyków tłumionych przez sklepienie. Czekala. I oto naraz czas ruszył z miejsca. W swojej nocy z czarnego aksamitu poczuła nagle, że ktoś odpina ją z łańcucha. Minęły może trzy miesiące, a może trzy dni jej oczekiwania - być może zresztą było to dziesięć dni albo dziesięć lat. Ktoś okrył ją grubym materiałem, wziął na ręce i wyniósł. Znalazła się znów w swojej celi, przykryta pościelą z czarnego futra. Było wczesne popołudnie. Miała otwarte oczy, ręce jej były wolne, a obok niej siedział René i gładził ją delikatnie po włosach.

- Musisz się teraz ubrać - powiedział. - Wyjeżdżamy.

Po raz ostatni wzięła kąpiel, René wyszczotkował jej włosy, podał puder i szminkę. Kiedy wróciła do celi, jej zwykłe ubranie: bluzka, kostium, pończochy i buty, spoczywały na łóżku. Obok nich jej torebka i rękawiczki. Był tam również jej płaszcz, który nosiła gdy zaczynały się chłody oraz jedwabna chustka na szyję, brak było natomiast pasa do pończoch i majtek. Ubrała się powoli. Pończochy zwinęła nad kolanami. Nie włożyła góry kostiumu, gdyż w celi było bardzo ciepło. Wtedy do celi wszedł mężczyzna, który pierwszego wieczoru wyjaśnił jej czego będą od niej wymagać podczas pobytu w pałacu. Zdjął jej obrozę i bransoletę, nie zdejmowane przez dwa tygodnie. Czy poczuła się wolna? czy może raczej miała uczucie, że czegoś jej brakuje? Nie odezwała się słowem, nieśmiało dotknęła własnych nadgarstków, lecz nie miała już odwagi dotknąć szyi. Następnie mężczyzna kazał jej wybrać sobie pierścień z podsunętej małej, drewnianej skrzynki, gdzie znajdowało się ich wiele - takich samych, tyle że różnej wielkości. Miała go nosić na serdecznym palcu lewej ręki. Były to osobliwe pierścienie: żelazne, ze złotą obwódką wewnątrz, dużą i ciężką oprawą na kamień, przez co przypominały pierścienie rycerskie. Na wierzchu miały złoty rysunek koła z trzema skręconymi spiralnie odgałęzieniami, przypominający celtycki symbol słońca. Przymierzyła jeden, potem drugi, który okazał się leżeć doskonale. Czuła na ręku jego ciężar - na szarej powierzchni z polerowanego żelaza połyskiwało ukradkiem złoto. Dlaczego właśnie żelazo i złoto, po co ten znak, którego nie rozumiała? Nie mogła o to spytać w tym czerwonym pokoju, gdzie łańcuch wciąż jeszcze zwisał na ścianie, a na podłodze walała się rozrzucona przed chwilą czarna pościel i gdzie za chwilę zjawi się Pierre, absurdalny w swoim operetkowym stroju w słabym świetle listopadowego dnia. Myliła się jednak - Pierre nie przyszedł. René pomógł jej założyć górę kostiumu i długie, zachodzące na rękawy rękawiczki. Założyła chustkę na szyję, wzięła torebkę i narzuciła płaszcz na ramiona. Obcaszki jej bucików nie czyniły tyle hałasu na wykładanej płytkami posadzce korytarza, co wcześniej jej wysokie pantofelki. Drzwi były pozamykane, przedpokój pusty. Towarzyszący im nieznajomy otworzył żelazne drzwi, za którymi, według słów Jeanne znajdowała się kłauzura - teraz nie strzegli ich lokaje z psami. Podniósł zasłonę z zielonego aksamitu i pozwolił przejść obydwójgu. Zasłona opadła z powrotem. Dał się słyszeć łoskot zamykanej kraty. Znaleźli się sami w przedpokoju wychodzącym na park. Wystarczyło już tylko zejść kilka stopni po schodach, przed którymi O dostrzegła znany jej samochód. Usiadła obok swego kochanka, który zasiadł za kierownicą i ruszył. Kiedy wyjechali z parku przez szeroko otwartą bramę, René ujechał jeszcze kilkaset metrów, po czym zatrzymał samochód i przytulił ją do siebie. Chwilę później mijali małe, spokojne miasteczko. Na przydrożnej tablicy O mogła przeczytać nazwę: Roissy.

SIR STEPHEN

O mieszkała na wyspie świętego Ludwika, na poddaszu starego domu zwróconego na południe, ku Sekwanie. Mansardowe pokoje były przestronne, choć niskie. Te od frontu, a było ich dwa, miały nawet balkoniki, wygospodarowane w spadzistym dachu. Jeden pokój należał do O, drugi, wypełniony od góry do dołu rządami książek okalających kominek, służył za salon, biuro

albo jeszcze coś innego. Na wprost dwóch okien stała tu ogromna kanapa, natomiast na ścianie naprzeciwko kominka wisiał stary obraz. Jadało się tu również obiady, kiedy jadalnia od strony podwórka, cała wybita ciemnozieloną serżą okazała się na to za mała. Kolejny pokój, również od podwórka, służył za przebieralnię i garderobę Renę. O dzieliła z nim również łazienkę, która była żółta, podobnie jak mała kuchnia. Codziennie przychodziła posługaczka, zajmująca się sprząaniem. Pomieszczenia na podwórku miały posadzkę z czerwonych, sześciokątnych płytek, jakie można spotkać powyżej pierwszego piętra na schodach i podestach starych paryskich domów. Kiedy O zobaczyła je po powrocie z Roissy, serce podskoczyło jej gwałtownie: były to te same płytki, co w korytarzu czerwonego skrzydła. Pokoik O był niewielki. Różowo-czarne, perkalowe zasłony były zasunięte, za metalowym parawanem przed kominkiem jaśniał ogień, a łóżko czekało rozścielone.

- Kupiłem ci bluzkę z nylonu - powiedział Renę. - Jeszcze takiej nie miałaś.

I właśnie ta nylonowa, biała bluzka, marszczona i obcisła, cieniutka jak ubranie na egipskich statuetkach, leżała teraz na łóżku, po tej stronie gdzie zawsze sypiała O. Przewiązywało się ją w tali elastycznym, stebnowanym paskiem. Nylon był tak cienki, że przebijał spod niego różowy kolor piersi. Z wyjątkiem zasłony panneau nad łóżkiem, z tego samego co zasłony perkalu oraz obitych tymże materiałem niskich foteli, wszystko było tu białe: ściany, pikowana kapa na łóżku z mahoniowymi kolumienkami i skóry niedźwiedzie na podłodze. O siedząc na podłodze przy kominku, ubrana w swoją białą, nylonową bluzkę, słuchała co mówi do niej Renę. Powiedział jej przede wszystkim, że nie powinna uważać się odtąd za osobę wolną. Od wolności byłby już tylko krok do tego, by przestała go kochać i odeszła od niego. Jeśli go kocha, nie może być wolna. Słuchała w milczeniu, myśląc jak bardzo jest szczęśliwa - Renę chciał udowodnić sobie samemu, mniejsza o to w jaki sposób, że O należała do niego, w swojej naiwności nie zdając sobie sprawy, że fakt ten jest bezsporny i nie wymaga żadnego dowodu. Być może jednak wiedział o tym, nie chciał jedynie tego okazać, gdyż sprawiało mu to przyjemność. Słuchała go patrząc w ogień, obawiając się podnieść wzrok, by nie napotkać jego spojrzenia. On zaś przechadzał się tam i z powrotem. Naraz powiedział jej, że przede wszystkim życzy sobie, aby słuchając go rozłożyła nogi i opuściła ręce - siedziała bowiem ze złączonymi kolanami, wokół których splótła ręce. Uniosła koszulową bluzkę i rozszerzywszy nogi przysiadła na piętach jak karmelitka lub Japonka - czekała co dalej. Kiedy tylko rozszerzyła nogi, poczuła na udach kłujące, białe futro. To jednak było za mało: nie rozłożyła nóg dość szeroko. Kiedy powiedział "rozszerz nogi", słowa te miały w jego ustach taką moc, że przyjęła je z uczuciem najwyższego szacunku, świętej pokory, jakby przemawiał do niej nie on, a jakiś bóg. Siedziała nieruchomo z opuszczonymi rękami, zwisającymi po obu stronach jej kolan, pomiędzy którymi opadła luźno jej biała bluzka. To czego chciał Renę nie było skomplikowane: miała być mu posłuszna nieustannie, w każdej chwili być do jego dyspozycji. Nie wystarczyło mu, że wie, iż tak jest: nie mogło być mowy o najmniejszej przeszkodzie - zarówno sposób trzymania się, jak i ubranie miało to ustawicznie symbolizować. Oznacza to, ciągnął dalej, dwie rzeczy. Po pierwsze, o czym już wiedziała, gdyż uprzedzono ją o tym pierwszego dnia pobytu w pałacu, nie wolno jej nigdy zakładać nogi na nogę ani domykać ust. Sądzi zapewne, że to błahostka (rzeczywiście tak myślała), tymczasem przekona się, że przestrzeganie tego zalecenia pośród codziennych zajęć i wśród osób niewtajemniczonych w sekretny sens tych znaków, o których tylko oni oboje będą wiedzieli, wymagać będzie od niej stałego napięcia uwagi i pozwoli odczuć kim jest naprawdę. Po drugie, musi sięgając doborem odpowiednich ubrań, a w razie potrzeby wymyślić coś takiego, by nie musiała być na wpół roznieglizowana jak wtedy w samochodzie wiozącym ją do Roissy. Jutro ma przejrzeć wszystkie szafy i szuflady, i dokonać selekcji ubrań. Musi oddać wszystkie majtki, pasy do pończoch, biustonosze (takie jak ten, który zdarł z niej w samochodzie), wszystkie te części bielizny, które zakrywają piersi, bluzki, suknie nie rozpinające się z przodu, ciasne spódnice, których nie można jednym ruchem zadrzeć do góry. Że od tej pory będzie chodzić do gorseciarki bez biustonosza? No cóż, będzie musiała. W razie czego powie, że tak się jej podoba, albo też może nic nie mówić, to

wyłącznie jej sprawa. Na koniec powiedział, że daje jej na to wszystko kilka dni. W szufladzie sekretarzyka znajdzie pieniądze. Kiedy skończył, szepnęła do niego "kocham cię", lecz nie poruszyła się. Sam dołożył drewna do kominka i zapalił lampę przy łóżku, z abażurem z opalizującego szkła. Potem powiedział, żeby położyła się do łóżka i zaczekała na niego. Kiedy wrócił, O wyciągnęła rękę, żeby zgasić lampę. Była to lewa ręka i ostatnią rzeczą jaką zobaczyła zanim wszystko skrył mrok, był ciemny błysk jej żelaznego pierścienia. Zanim opadła na łóżko, jej kochanek przywołał ją po imieniu i schwycił ją ręką za podbrzusze, przyciągnął do siebie. Nazajutrz, kiedy O kończyła właśnie śniadanie, sama, w szlafroku w swojej ciemnozielonej jadalni - Renę wyszedł wczesnym rankiem i miał powrócić dopiero wieczorem - zadzwonił telefon. Aparat znajdował się w sypialni obok łóżka, w pobliżu lampy. O usiadła na podłodze i podniosła słuchawkę. Dzwonił Renę, żeby spytać, czy posługaczka już wyszła. Tak, zabrała się jak tylko podała śniadanie i wróci dopiero nazajutrz.

- Zaczęłaś już wybierać ubrania? - spytał Renę.

- Zaraz zacznę - odpowiedziała - ale za późno wstałam, potem wzięłam kąpiel i skończyłam dopiero w południe.

- Jesteś ubrana?

- Nie, mam na sobie nocną koszulę i szlafrok.

- Odstaw telefon, zdejmij szlafrok i koszulę.

O zrobiła to posłusznie, tak przejęta, że telefon zsunął się z łóżka na dywan. Przestraszyła się, że została rozłączona. Lecz nie, połączenie nie było przerwane.

- Jesteś już naga? - zapytał Renę.

- Tak, skąd dzwonisz?

Nie odpowiedział na to pytanie, tylko dorzucił:

- Masz pierścionek?

Tak, miała go na ręce. Miała tak pozostać do jego przyjścia i zająć się selekcją ubrań. Minęła już pierwsza, była piękna pogoda. Promienie słońca padały na jej koszulę i prążkowany, aksamitny szlafrok w kolorze zielonych migdałów, spoczywające teraz na dywanie, tak jak je rzuciła. Zebrała je i poszła schować do szuflady w łazience. W przejściu, lustro na drzwiach, tworzące wraz z tremem na ścianie i drugimi, również oszklonymi drzwiami, coś w rodzaju wielkiego zwierciadła o trzech taflach, odbiło jej postać. Miała na sobie jedynie pantofelki z zielonej skórki z odkrytymi piętami, w tym samym odcieniu co szlafrok - odrobinę tylko głębszym niż te, które nosiła w Roissy - oraz pierścień. Nie nosiła już obrozy ani bransolet i była swoim jedynym widzem. Nigdy jednak nie czuła się tak kategorycznie poddana czyjejs, nie własnej woli, tak absolutnie ubezwłasnowolniona i uległa, nigdy też nie czuła się z tego powodu tak bardzo szczęśliwa. Kiedy schyliła się wysuwając szufladę, spostrzegła jak jej piersi zakołysały się leciutko. Prawie dwie godziny zajęło jej przebranie ubrań, które odkładała na łóżko, a potem chowała do walizki. Co do majtek sprawa była prosta, zebrała je wszystkie w kupkę obok jednej z mahoniowych kolumni. Podobnie było z biustonoszami - nie zostawiła żadnego. Wszystkie krzyżowały się z tyłu, na plecach i zapinały się z boku. Wymyśliła jak można by je przerobić - zapięcie trzeba byłoby zrobić z przodu, między piersiami. Pasy do pończoch również nie nastęrczały większego kłopotu, chociaż zawahała się przy jednym: był sznurowany z tyłu i przypominał trochę gorset jaki nosiła w Roissy. Odłożyła go osobno na komodę - Renę zadecyduje. Rozstrzygnie też co zrobić z koszulkami i bluzkami wkładanymi przez głowę, które przylegały do szyi, a zatem nie dawały się rozpiąć. Ale za to można je było bez trudu unieść i odsłonić piersi. Nie miała natomiast wątpliwości co do dłuższej bielizny - wszystkie kombinacje spoczęły na łóżku. W szufladzie została halka z czarnego, gęstego jedwabiu wykończona falbanką i brukselską koronką. Kładło się ją pod solejkę z czarnej wełny, tak cienkiej, że niemal przezroczystej. Potrzebowała jeszcze innych krótkich halek - jaśniejszych. Zauważyła też, że albo będzie musiała zrezygnować z jednoczęściowych sukien, albo sprawi sobie nowe, zapinane od góry do dołu, bardziej stosowne. Powinna również zamówić bieliznę dającą się

rozpiąć wraz z sukienką. W przypadku halek i sukien wszystko było proste, ale co powie modystka na jej bieliznę? Wytłumaczy jej, że potrzebuje więcej dolnych halek, bo łatwo marzną. Rzeczywiście była zmarzlakiem - jak w takim razie wytrzyma zimą? Kiedy wreszcie skończyła, zostawiwszy sobie jedynie zapinane z przodu szmizjerki, czarną, marszczoną halkę, no i, rzecz jasna, płaszcze oraz kostium, w którym wracała z Roissy, poszła zrobić sobie herbaty. W kuchni nastawiła termostat na silniejsze grzanie. Posługaczka nie nałożyła drewna do kosza, O zaś wiedziała, że jej kochanek lubi po powrocie widzieć ją siedzącą przy kominku. Nałożyła dREW i zaniósła kosz do salonu. Napaliła w kominku. Zwinęła się w kłębek na fotelu i przysunąwszy do siebie tacę z herbatą, czekała jego powrotu, lecz tym razem - zgodnie z jego poleceniem - czekała naga. Na pierwsze kłopoty natrafiła O w pracy. Kłopoty to zresztą za wiele powiedziane - właściwszym słowem byłoby zdziwienie. O pracowała w dziale mody pewnej agencji fotograficznej. Oznaczało to, że przez jakieś dwie godziny dziennie robiła zdjęcia najprzeróżniejszym pięknym i niezwykłym dziewczętom, wybranym przez projektantów do prezentowania ich najnowszych kreacji. Zdziwienie wywołało to, że w okresie największego ożywienia, kiedy wejść miały właśnie nowe modele, O przedłużyła sobie wakacje. To jednak było jeszcze niczym. Najbardziej dziwiło to, jakiej uległa metamorfozie. Na pierwszy rzut oka trudno było stwierdzić na czym to polega, niemniej dawało się wyczuć, że coś się zmieniło, a po dłuższej obserwacji przekonać się na czym polegało. Trzymała się teraz prosto (o wiele bardziej niż przedtem), miała jasne spojrzenie, najbardziej jednak uderzająca była doskonałość jej bezruchu i powściągliwość w ruchach. Nosila na co dzień ciemne ubrania, tak jak wszystkie kobiety wykonujące zawód zbliżony do męskiego, lecz dziewczęta będące przedmiotem jej pracy, zawodu oraz powołania zajmujące się strojami, szybko odkryły na czym polega to, co tak sprytnie ukrywała. To co dla innych niewidoczne, było dla nich oczywiste. Trykotowe bluzki noszone na gołe ciało, pod którymi delikatnie zaznaczały się piersi (Renę ostatecznie pozwolił na trykoty), wirujące swobodnie, plisowane spódnice wyglądały na swoisty, dyskretny uniform, O nosiła je bowiem stale.

- Dziewczynko - zwróciła się do niej pewnego dnia z ironiczną miną jasnowłosa modelka o zielonych oczach, której kości policzkowe i smągła skóra wskazywały na słowiańskie pochodzenie.
- Źle robisz nosząc podwiązki - powiedziała. - Zepsujesz sobie uda.

Wszystko przez to, że O nieuważnie i zbyt gwałtownie przysiadła w jej obecności na poręczy skórzanego fotela - spódnica podfrunęła jej do góry. Dziewczyna zauważyła wtedy kawałek nagiego uda powyżej pończoch, które O zwijała tuż nad kolanami. Dostrzegła przy tym na jej twarzy tak zagadkowy uśmiech, że przemknęło jej przez głowę, iż tamta domyśla się wszystkiego, a może nawet wie o wszystkim. Poprawiła jedną, potem drugą pończochę, napinając je mocniej (co było o wiele bardziej kłopotliwe niż gdyby nosiła pas), po czym powiedziała na usprawiedliwienie:

- To jest praktyczniejsze.
- Praktyczniejsze przy czym? - spytała Jacqueline.
- Nie lubię nosić pasa - odpowiedziała O.

Jacqueline nie pytała już o nic, tylko przyglądała się jej żelaznemu pierścieniowi. W ciągu kilku dni O zużyła około pięćdziesięciu rolek filmu fotografując Jacqueline. Zdjęcia nie przypominały niczego, co robiła wcześniej. Może nie nadarzyła się jej dotąd taka modelka. W każdym razie nigdy nie zdołała wydobyć z twarzy i ciała tyle wyrazu. Nie chodziło wszakże o to, że jedwabie, filtra i koronki przyłapanie w lusterku aparatu fotograficznego zyskiwały na urodzie. Jacqueline była równie niezwykła w najzwyczajszej bluzce, jak i w najbardziej szykownym futrze. Nosiła włosy krótko ostrzyżone. Były grube i jasne, lekko sfalowane. Bez słowa pochylała głowę na lewe ramię, dotykając policzkiem kołnierza futra, jeśli akurat miała na sobie futro. O udało się ją uchwycić uśmiechniętą i pełną czułości, z włosami lekko wzburzonymi, jakby pod podmuchem wiatru. Swój śliczny, jędrny policzek przytuliła właśnie do futra z niebieskich nerek, szarego i delikatnego jak

świeży, drzewny popiół. Miała rozchylone wargi i półprzymknięte oczy. Kiedy płukała odbitkę, wyglądała niczym przepełniona szczęściem topielica, tak bardzo, bardzo blada. O kazała sporządzić odbitki w jak najjaśniejszych szarościach. Zrobiła też inne zdjęcie Jacqueline, które poruszyło ją jeszcze bardziej. Stała na nim tyłem do światła, z odsłoniętymi ramionami. Jej kształtną głowę spowijała całkowicie woalka z dużymi oczkami, zasłaniająca również twarz i zwieńczona absurdalnymi piórami, których prawie niematerialne niteczki unosiły się nad nią niczym dym. Miała na sobie obszerną spódnicę z grubego, przetykanego złotą nitką jedwabiu, intensywnie czerwoną, jak suknie na średniowiecznych obrazach, sutą na biodrach i mocno ściśniętą w talii, z dobraną górą podkreślającą rysunek piersi. Krawcy nazywają taką suknię suknią galową, co oznacza tyle, że nikt jej nie nosi. Sandały na wysokich obcasach, wykonane były również z czerwonego jedwabiu. Kiedy Jacqueline stała naprzeciw niej ubrana w suknię, sandały i woalkę, będącą jakby przeczuciem maski, O uzupełniała i przekształcała w myślach jej strój: tak niewiele by trzeba-wystarczyłoby tylko trochę bardziej zwęzić talię i odkryć piersi - a byłaby to ta sama suknia, którą nosiła w Roissy Jeanne. Ten sam gruby i lśniący jedwab, jedwab który zagarnia się i podnosi... I rzeczywiście Jacqueline zagarnęła go i uniosła, żeby zejść z podestu, na którym pozowała O od jakiegoś kwadransa. Ten sam znajomy szelest, niby suchych liści. Czyżby naprawdę nikt nie nosił takich sukien? Ależ tak! Jacqueline miała również na szyi ciasną, złotą obrozę, na przegubach zaś złote bransolety. O przyłapała się na myśli, że o wiele bardziej pasowałyby jej skórzane. Tego dnia (co nie zdarzało się wcześniej) poszła za Jacqueline do garderoby sąsiadującej ze studiem, gdzie modelki przebierały się, malowały i gdzie zostawiały ubrania i kosmetyki. Stała oparta o futrynę patrząc w lustro toaletki, przy której usiadła Jacqueline, nadal w swej czerwonej, jedwabnej sukni. Lustro było na tyle duże (toaletkę stanowił niski czarny stolik przysunięty do ściany, na której wisiało lustro), że widziała w nim zarówno Jacqueline, jak siebie samą oraz garderobianą, zdejmującą właśnie pióropusz i woalkę. Kiedy Jacqueline zdejmowała z szyi obrozę, jej ramiona wyglądały niczym dwa ucha wazy. Pod starannie wygolonymi pachami (jaka szkoda, myślała O, ma takie piękne włosy) połyskiwały kropelki potu i O poczuła delikatną, cierpką, roślinną woń i zastanowiła się jakich też musi używać perfum. A jakich perfum kazać jej używać? Później Jacqueline zdjęła bransolety, położyła je na czarnym, szklanym stoliku toaletki, gdzie zadzwoniły przez moment podobnie jak łańcuchy. Jej włosy wydawały się niezwykle jasne, gdyż skórę miała brunatno beżową, niczym morski piasek odsłonięty świeżo przez fale. Na zdjęciu czerwony jedwab będzie czarny. W momencie gdy to pomyślała, grube rzęsy Jacqueline, które malowała jakby od niechcenia, uniosły się i O napotkała w lustrze jej spojrzenie, tak mocne i nieruchomo utkwione, że poczuła, iż się czerwieni. I to było wszystko.

- Przepraszam - powiedziała Jacqueline - ale muszę się rozebrać.

- Przepraszam - odpowiedziała O i zamknęła drzwi.

Nazajutrz wzięła do domu odbitki wczorajszych zdjęć, nie mając pewności czy chce je pokazać swemu kochankowi, z którym miała pójść na obiad. Malując się przed lustrem zerkając na nie i przerywała co chwilę, by przesunąć palec wzdłuż wygiętej linii jej brwi, zakreślić rysunek ust. Kiedy usłyszała szcęk klucza w zamku, szybko wsunęła zdjęcia do szuflady. Od dwóch tygodni O była całkowicie wyposażona, tak jak sobie życzył René. Nie zdążyła jeszcze się do tego przyzwycząić, kiedy pewnego wieczoru znalazła po przyjeździe ze studia liścik, w którym jej kochanek prosił ją, aby była gotowa o ósmej do wyjścia na obiad, w którym będzie im towarzyszył pewien jego przyjaciel. Przyślą po nią samochód - szofer wejdzie po nią na górę. W post scriptum było szczegółowo napisane, że ma się ubrać całkowicie na czarno (słowo "całkowicie" było podkreślone) oraz umalować i uperfumować się tak jak w Roissy. Była już szósta. Całkowicie na czarno, po to by wyjść na obiad - a była już połowa grudnia i zaczęły się chłody - to oznaczało czarne nylony, czarne rękawiczki, plisowaną suknię w formie wachlarza, gruby trykot wysadzany dżetami albo kaftanik z jedwabiu. Był on watowany, z pikowaniem, obcisły i zapinany od góry do dołu, dokładnie taki jaki nosili panowie w siedemnastym wieku. Doskonale leżał na piersiach, gdyż wewnątrz wszyty miał biustonosz. Po obu stronach z gęstego jedwabiu, posiadał głęboko wycięte baskinki sięgające do biodra. Jedynym jasnym akcentem jej stroju były duże, złocone zapięcia w

formie kółek, przypominające zatraski na dziecięcych, zimowych botkach. Nic nie wydawało się jej tak dziwne jak to, kiedy ułożywszy na łóżku całe przygotowane ubranie, obok niego zaś czarne czółenka na wysokich i cienkich obcasach i wykapawszy się samotnie, bez niczyjego nadzoru, patrzyła na siebie malującą się i perfumującą jak w Roissy. Kredki i szminki, które miała, były zupełnie inne niż tam. W szufladzie toaletki znalazła tłusty róż do policzków, którego nigdy dotąd nie używała i podkreśliła nim otoczki brodawek. Był to taki róż, który wydaje się być blady tuż po nałożeniu, potem zaś ciemnieje. Najpierw zdawało się jej, że użyła go za dużo, zmyła go więc alkoholem - schodził bardzo źle - i rozpoczęła na nowo: na koniuszkach jej piersi wykwitła ciemna piwonia. Bezskutecznie chciała umalować nim wargi schowane pośród runa zdobiącego jej łono, w ogóle się tam nie odznaczał. Wreszcie pośród licznych szminek w szufladzie znalazła jedną, której nie lubiła używać, bo była zbyt sucha i zbyt długo trwało malowanie nią ust. Tutaj nadawała się znakomicie. Kiedy fryzura i twarz były już gotowe, zabrała się do perfum. Renę podarował jej perfumy w rozpylaczu, dającym obfitą i gęstą mgiełkę. Nie знаła ich nazwy. Miały zapach suchego drewna i bagiennych roślin - nieco cierpki i dziki. Rozpylona mgiełka osiadała i spływała po skórze, po włosach pod pachami i na podbrzusze w formie maleńkich, kulistych kropli. O nauczyła się w Roissy staranności i cierpliwości: perfumowała się trzykrotnie, czekając aż perfumy wyschną na niej. Założyła najpierw pończochy i czółenka, potem halkę noszoną pod spódnicą, wreszcie samą spódnicę oraz kaftan. Wciągnęła rękawiczki i wzięła torebkę. Miała w niej pudełeczko z pudrem, szminkę, grzebień, klucz i tysiąc franków. Już w rękawiczkach wyjęła z szafy futro i spojrzała na budzik przy łóżku: była za kwadrans ósma. Przysiadła na skraju łóżka i patrząc na budzik czekała w bezruchu na dzwonek. Kiedy wreszcie zabrzmiał i wstała do wyjścia, dostrzegła w lustrze nad toaletką, na chwilę przed zgaszeniem światła, swoje spojrzenie: jasne, czułe i uległe. Kiedy popchnęła drzwi niewielkiej włoskiej restauracji, przed którą zatrzymał się samochód, pierwszą osobą jaką spostrzegła, był stojący przy barze Renę. Uśmiechnął się do niej z czułością, ujął za rękę i odwracając się w stronę atletycznie zbudowanego mężczyzny o szpakowatych włosach przedstawił go jej po angielsku. Był to Sir Stephen H. zaproponował jej miejsce na wysokim stołku pomiędzy nimi, a kiedy siadła, Renę przypomniał jej półgłosem, by nie zagniała sukni. Pomógł jej rozpostrzeć suknię wokół stołka, którego zimną skórę i metalowy rant poczuła na udach. Przysiadła za ledwie na połowie siedzenia w obawie, że siadając głębiej uległaby może pokusie założenia nogi na nogę. Suknia była rozłożona dokoła niej. Zaczepiła prawy obcas o jeden z drążków przy stołku, czubkiem lewego buta dotykała podłogi. Anglik odwrócony w jej stronę patrzył na nią bez słowa. Zauważyła, że przygląda się jej kolanom, dłoniom, na koniec ustom, a spojrzenie to było tak spokojne, uważne i precyzyjne, a przy tym tak pewne jej samej, że czuła się ważona i mierzona jak przedmiot lub narzędzie, którym wszak była. Pod naporem tego spojrzenia, jakby mimowolnie zdjęła rękawiczki. Wiedziała, że kiedy odsłoni dłonie, on przemówi - były bowiem osobliwe i przypominały raczej dłonie chłopca, a ponadto na serdecznym palcu lewej ręki miała swój pierścień z potrójną spiralą ze złota. On jednak milczał nadal. Uśmiechnął się tylko, dostrzegłszy pierścień. Wolno dopijał swoją whisky. Renę pił Martini, O zaś sok grejpfrutowy, który dla niej zamówił, tłumacząc, że jeśli chciałaby sprawić im przyjemność, to wszyscy troje zjedzą na obiad do salki w podziemiu, gdzie jest zaciszniej niż tu na górze.

- Ależ oczywiście - powiedziała O zabierając z baru torebkę i rękawiczki.

Wtedy, chcąc pomóc jej w zejściu ze stołka, Sir Stephen wyciągnął rękę, na której ona położyła swoją i zwracając się nareszcie do niej zauważył, że jej ręce stworzone są do noszenia żelaza: żelazo bardzo jej pasuje. Ponieważ było to powiedziane po angielsku, miało nieco dwuznaczny sens - nie wiadomo było czy chodzi jedynie o metal, czy też, a może przede wszystkim o okowy. W salce poniżej, która okazała się zwykłą piwnicą, z surowymi murami obrzuconymi tynkiem, lecz za to chłodną i miłą, stały tylko cztery stoliki. Jeden z nich zajęty był już przez towarzystwo, kończące właśnie posiłek. Na ścianach namalowane były gastronomiczna i turystyczna mapa Włoch - ciepłe barwy przypominały lody waniliowe, malinowe i pistacjowe. Patrząc na nią O postanowiła zamówić sobie na deser lody, najlepiej z tłuczonymi migdałami. Czuła się taka szczęśliwa - Renę

dotykał ją kolanem pod stolikiem, a kiedy mówił wiedziała, że mówi do niej. On również przyglądał się jej wargom. Pozwolono jej na lody, nie zgodzono się natomiast na kawę. Sir Stephen poprosił O i Renę by zechcieli wypić kawę u niego w domu. Wszyscy zjedli lekki posiłek, O zaś zauważyła, że mężczyźni przez cały czas dbają o to, by za dużo nie pić, tym bardziej nie pozwalali na to jej: we troje wypili zaledwie pół karafki Chianti. Obiad skończył się szybko: nie było jeszcze dziewiątej.

- Odesłałem szofera - powiedział Sir Stephen. - Zechce pan poprowadzić, Renę. Najlepiej jeśli zaraz pojedziemy do mnie.

Renę usiadł za kierownicą, O przy nim, a obok niej Sir Stephen. Był to ogromny Buick i na przedniej jego ławce mieścili się bez trudu. Po przejechaniu placu Alma, Cours-la-Reine wydał się jasny, gdyż z drzew opadły już liście, a plac Zgody był migotliwy i połyskujący pod ciemnym niebem, na którym zgromadziły się śniegowe chmury. O usłyszała ciche pstryknięcie i poczuła strumień ciepłego powietrza owiewający dołem jej nogi: to Sir Stephen włączył ogrzewanie. Renę jechał lewym brzegiem Sekwany, potem skręcił na Pont-Royal, żeby przejechać na prawy brzeg; pomiędzy kamiennymi obręczami mostu woda wyglądała jakby również zastygła w kamień. Była czarna. O przypomniała sobie hematyty, które też są czarne. Kiedy miała piętnaście lat, jej najlepsza przyjaciółka, dwa razy od niej starsza, w której O się kochała, nosiła pierścionek z hematytem inkrustowanym wokół maleńkimi diamentkami. O pragnęła wtedy mieć kolię z hematytów, bez diamentów, która przylegałaby ciasno do szyi jak obroża. Czy obroże jakie dostawała dzisiaj - zresztą wcale ich nie dostawała - zamieniłaby na tę z hematytów, tych wymarzonych hematytów? Ujrzała na nowo ubogi pokój gdzieś na tyłach Turbigo, gdzie przyprowadziła ją Marion, siebie rozplatającą swoje grube warkocze gimnazjalistki, kiedy rozebrana przez Marion leżała w łóżku. Marion była piękna, kiedy dawała się całować i pieścić. To prawda, że oczy mogą być jak gwiazdy - jej przypominały te błękitne i migocące. Renę zatrzymał samochód. Byli przy jednej z tych ulic, które łączą rue de l'Universite z rue de Lilie, O nie zdołała dokładnie jej rozpoznać. Apartament Sir Stephena mieścił się w głębi dziedzińca, w skrzydle zabytkowego domu. Pokoje rozmieszczone były w amfiladzie. Na końcu znajdował się największy i najbardziej komfortowy, z meblami w stylu angielskim - z ciemnego hebanu i z obiciami z żółto-szarego jedwabiu.

- Nie żądam, aby zajmowała się pani ogniem, lecz proponuję tę oto kanapę. Zechce pani spocząć. Renę zrobi nam kawy. Proszę jedynie aby pani słuchała.

Kanapa obita jasnym adamaszkiem stała prostopadle do kominka, przodem zaś do okien wychodzących na ogród. Za nią, dokładnie naprzeciw tamtych, były okna wychodzące na dziedziniec. O zdjęła futro i położyła je na oparciu sofy. Odwróciwszy się spostrzegła, że zarówno jej kochanek jak i gospodarz czekają na stojąco, aż przyjmie zaproszenie. Postawiła torebkę obok futra i zdjęła rękawiczki. Kiedy się wreszcie nauczy i czy w ogóle się tego nauczy, żeby siadając podnosić suknię dyskretnym ruchem, tak żeby nikt nie zauważył? Czy ona sama może zapominać o własnej nagości? W każdym razie nie może pozwolić aby Renę i ten obcokrajowiec przyglądali się temu bez słowa, tak jak teraz. Ale dosyć już. Sir Stephen rozpałił ogień, a Renę przeszedł z tyłu za sofę i znienacka chwyciwszy ją za szyję odwrócił jej głowę w stronę oparcia, i wycisnął na jej ustach pocałunek - tak długi i namiętny, że zaparło jej dech i poczuła, jak robi jej się gorąco i mokro między udami. Oderwał na chwilę usta, żeby powiedzieć, że ją kocha i pocałował ją ponownie. Ręce O spoczywały beczynn timer, jakby zaskoczone, wnętrzem dłoni do góry, na sukni, która okalała ją niczym kielich czarnego kwiatu. Sir Stephen podszedł bliżej i kiedy Renę puścił ją wreszcie, jej spojrzenie spotkało się z szarymi i hardymi oczami Anglika. Oszołomiona i zachłyśnięta swym szczęściem dostrzegła przecież bez trudu, że to spojrzenie pełne jest zachwyty i pożądania. Któż mógłby się oprzeć jej wilgotnym, rozchyłonym ustom, nabrzmiałym teraz wargom, białej szyi odchylonej efektownie na tle czarnego kołnierzyka przy chłopcym kaftaniku, tym oczom wielkim i jasnym, które wcale nie zamierzały uciekać. Lecz jedynym gestem na jaki pozwolił sobie Sir

Stephen było delikatne muśnięcie jej brwi i warg. Potem usiadł naprzeciw niej, po drugiej stronie kominka, a kiedy również Renę wziął sobie krzesło, przemówił.

- Sądę - powiedział - że Renę nie mówił pani dotąd o swojej rodzinie. Być może wiadomo pani jednak, że jego matka, zanim jeszcze poślubiła jego przyszłego ojca, była zamężna z pewnym Anglikiem, który miał już syna z poprzedniego małżeństwa. Tym synem jestem ja. Byłem przez nią wychowywany do czasu, gdy opuściła mego ojca. Nie jestem więc w żaden sposób spokrewniony z Renę, a jednak w pewnym sensie jesteśmy braćmi. To, że Renę panią kocha, już wiem. Nie musiałby wcale tego mówić - wystarczy zobaczyć jak na panią patrzy. Wiem również, że jest pani jedną z tych, które mają za sobą Roissy i sądę, że wróci tam pani jeszcze. Zasadniczo pierścień, który pani nosi, daje mi do niej prawo, podobnie jak wszystkim rozumiejącym jego sens. Dotyczy to jednak wyłącznie przelotnego zaangażowania, my zaś oczekujemy od pani czegoś znacznie poważniejszego. Mówię "my", chociaż jak pani widzi, Renę milczy - pragnie bym mówił za niego, a ściślej - za nas obu. Skoro jesteśmy braćmi, to ja jestem starszym bratem. I to o dobre dziesięć lat. Istnieje między nami tak dawna i absolutna zażyłość, że wszystko co należy do mnie, jest jego, a to co należy do niego, jest jednocześnie moje. Czy zechce pani w tym uczestniczyć? Proszę panią o to, pytam o zgodę, gdyż wymagać to będzie od niej więcej niż samej tylko uległości, o której jestem przekonany. Zanim pani odpowie, proszę to przemyśleć, biorąc pod uwagę, że jestem tylko inną postacią pani ukochanego: zawsze będzie pani miała tylko jednego pana i władcę. To co panią czeka jest groźniejsze niż wszyscy razem wzięci mężczyźni z Roissy, gdyż ja będę codziennie, a ponadto znajduję upodobanie w stałości obyczajów i rytuału. And besides, I am fond of habite and rites...

Spokojny i poważny głos Sir Stephena rozbrzmiewał w absolutnej ciszy. Nawet ogień na kominku płonął bezgłośnie. O czuła się przybita do sofy niczym motyl szpilką, długą szpilką ze słów i spojrzeń, która przebijała jej ciało przyciskając jej gotowe w każdej chwili, nagie pośladki do ciepłego jedwabiu. Nie wiedziała co się dzieje z piersiami, karkiem, rękami. Co do tego, że zwyczaj i rytuał, o których mówił musiały mieć za przedmiot, oprócz innych części ciała, jej smukłe, rozchylone uda, nie miała żadnych wątpliwości. Obaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko niej. Renę palił papierosa. Obok niego stała lampa z kapturkiem, wchłaniająca dym i powietrze, oczyszczone dodatkowo płonącym na kominku drewnem, miało świeży zapach nocy.

Czy chciałaby pani wiedzieć coś więcej? - spytał Sir Stephen.

-Jeśli się zgadzasz - rzekł Renę - opowiem ci jakie są upodobania Sir Stephena.

- Wymagania - poprawił go Sir Stephen.

Najtrudniejsze nie było to, żeby się zgodzić, myślała O - zdała sobie naraz sprawę, że obydwaj nie brali ani przez chwilę pod uwagę, podobnie zresztą jak i ona, że mogłaby odmówić. Najtrudniejsze było po prostu to wypowiedzieć. Wargi paliły, usta miała wyschnięte, zabrakło jej śliny, strach i pożądanie ścisnęły gardło i czuła, że ręce ma spocone i zimne. Ach, żeby przynajmniej mogła zamknąć oczy. Lecz nie, nie mogła. Dwa spojrzenia usidliły jej oczy i nie mogła ani nie chciała przed nimi uciec. Ciągnęły ją tam, gdzie jak wierzyła, długo, a może nigdy, nie powróci - do Roissy. Od powrotu stamtąd Renę kochał się z nią zawsze bardzo czule, pierścień zaś - symbol jej przynależności do tych, którzy znali jego sekret - nie pociągał dotąd za sobą żadnych konsekwencji. Czy to dlatego, że nie spotkała nikogo, kto by go rozpoznał, czy też może ci, którzy go rozpoznali, nie dali tego po sobie poznać? Jediną osobą, którą mogła o to podejrzewać była Jacqueline, (jeśli jednak Jacqueline była w Roissy, to dlaczego sama nie nosiła pierścienia? Poza tym czy znajomość sekretu dawałaby Jacqueline jakieś prawo do niej, skoro jej samej nie dawała żadnych praw?). Czy jeśli się poruszy, uda się jej wreszcie przemówić? Nie mogła się jednak ruszyć z własnej woli. Rozkaz natychmiast postawiłby ją na nogi, ale tym razem nie oczekiwano od niej samego posłuszeństwa wobec rozkazu - obaj mężczyźni chcieli żeby wyszła naprzeciw ich żądaniom, żeby uznała się za niewolnicę i sama siebie oddała w tę niewolę. Oto co nazywali jej zgodą. Nie przypominała sobie aby kiedykolwiek powiedziała swemu ukochanemu coś innego niż "kocham

cię" i "jestem twoja." Dzisiaj wyglądało na to, że oczekuje się od niej jasnego i wyraźnego wypowiedzenia tego, na co dotąd wyrażała zgodę samym milczeniem. W końcu wyprostowała się, a ponieważ słowa, które miała wypowiedzieć dusiły ją, odpięła górne zapięcia przy kaftaniku, odsłaniając tym samym rowek między piersiami. Wstała - trzęsły się jej kolana i ręce.

- Należę do ciebie - odezwała się wreszcie. - Będę taka, jak zechcesz.

- Nie tak - odparł René. - Masz powiedzieć "do was". Powtarzaj za mną: należę do was i będę taka, jak zechcecie.

Szare i twarde oczy Sir Stephena nie odrywały się od niej ani na chwilę, podobnie jak oczy jej ukochanego, w których utkwiała swoje, powtarzając wolno to, co jej dyktował, zmieniając jedynie pierwszą osobę, jak w ćwiczeniu gramatycznym.

- Uznajesz moje i Sir Stephena prawo... - mówił René, O zaś powtarzała najwyraźniej jak mogła:

- Uznaję twoje i Sir Stephena prawo...

Prawo do dysponowania jej ciałem według ich woli, w jakimkolwiek miejscu i na taki sposób, jaki im się tylko spodoba, prawo do zakuwania jej w łańcuchy, chłostania jak niewolnicę za najmniejsze przewinienia lub dla przyjemności, prawo do nieliczenia się z jej cierpieniami i krzykiem, jeśli ją do tego doprowadzą.

- Wydaje mi się - rzekł René - że tego właśnie oczekiwał Sir Stephen zarówno po mnie jak i po tobie. Teraz zaś życzy sobie, abym zapoznał cię bliżej z tym, czego będzie od ciebie żądał.

O słuchała swego kochanka, a słowa, które do niej kierował przywiodły wspomnienie pierwszego wieczoru w Roissy: były to niemal te same słowa, które słyszała wtedy z ust nieznanego mężczyzny. Wówczas jednak była z nim, chroniona przez nieprawdopodobieństwo sytuacji podobnej do snu, przez uczucie, że znajduje się w jakimś innym świecie i że nie uczestniczy w tym wszystkim naprawdę. Atmosfera koszmarnego snu, sceneria więzienia, nierealne suknie, zamaskowane postaci - wszystko to było tak dalekie od prawdziwego życia, że trudno było powiedzieć czy rzeczywiście istnieje. Czula się tam jak w środku dobrze znanego snu, który wciąż się powtarza, kiedy ma się zarówno pewność jego istnienia jak i tego, że wkrótce się skończy i pragnie się gorąco, żeby dobiegł już kresu w obawie, że nie zdoła się go znieść, jak i po to, by nareszcie poznać jego rozwiązanie. I oto rozwiązanie nadeszło. Przyszło wtedy, kiedy się go najmniej spodziewała i w najmniej oczekiwanej postaci (przyjmując oczywiście, że było to rozwiązanie ostateczne i że nie kryło się za nim jeszcze jedno, i jeszcze jedno...). Oznaczało ono, że to, co bała się wspominać, to co miało rację istnienia jedynie w zamkniętym kręgu, wydzielonym, osobnym świecie, miało teraz wdrzeć się do jej zwykłego życia, przeniknąć wszystkie jego zdarzenia, całą codzienność, być ponad nim i w nim, nie zadowolając się już więcej samymi symbolami, takimi jak obnażone łądzwie, rozpinane z przodu biustonosze, żelazny pierścień, lecz żądając absolutnie wszystkiego. René nie uderzył jej ani razu, a jedyna różnica pomiędzy okresem ich znajomości przed wizytą w Roissy a czasem, który upłynął od jej powrotu stamtąd, polegała na tym, że korzystał teraz z jej pośladków i ust równie dobrze jak wcześniej z jej łona. Nigdy nie miała pewności czy chłosta, jakiej była nieustannie poddawana w Roissy, poza jednym przypadkiem, była wymierzona jego ręką (mogła zadawać sobie to pytanie, gdyż albo ona miała zawiązane oczy, albo oni zasłonięte twarze), lecz nie wierzyła w to. Bez wątplenia rozkosz, jakiej doznawał na widok jej skrepowanego nagiego ciała szamoczącego się bezsilnie, na dźwięk jej błagań i krzyków była tak wielka, że nie mógł od niej oderwać oczu, a tym samym przykładł rękę do jej męczarni. Trzeba przyznać, że sam jej to wyznał. Teraz również mówił do niej delikatnie i z uczuciem, siedząc w fotelu z nogą założoną na nogę, jak bardzo jest szczęśliwy, że powierza ją Sir Stephenowi, jak bardzo się cieszy, że oddała się sama pod jego rozkazy. Kiedy tylko Sir Stephenowi przyjdzie

ochota spędzić z nią noc czy choćby godzinę, albo też zapragnąć, aby towarzyszyła mu gdzieś w restauracji, bądź w teatrze, wystarczy, że do niej zatelefonuje i wyśle po nią samochód, chyba, że przyprowadzi mu ją sam René. Teraz zaś ma sama powiedzieć, czy się zgadza. Lecz O nadal nie mogła nic powiedzieć. Żądali od niej by wyraziła na głos chęć zapomnienia o sobie samej, gotowość powiedzenia "tak" wszystkiemu. Z pewnością chciała powiedzieć "tak", lecz jej ciało mówiło "nie", przynajmniej jeśli idzie o chłostę. A zresztą czy mogła być uczciwa w tym co powie? Znadto była zmieszana spojrzeniem Sir Stephena, w którym czytała jednoznaczną żądę, za bardzo roztrzęsiona. Właśnie dlatego, że czuła jak się trzęsie wiedziała już, że jeszcze bardziej niecierpliwie niż on czeka chwili, kiedy jego ręka lub jego wargi dotkną jej nareszcie. Od niej samej zależało, żeby przybliżyć ten moment. Wstąpiła w nią jakaś odwaga, jakieś gwałtowne pragnienie, kiedy nagle - w chwili, gdy miała się nareszcie odezwać - poczuła, że mdleje i osunęła się na ziemię, a suknia rozłożyła się dookoła niej jak kwiat, Sir Stephen zaś powiedział głuchym głosem, że do twarzy jej ze strachem. Nie było to skierowane do niej, lecz do René. O miała wrażenie, że powstrzymuje się, aby się do niej nie zbliżyć i poczuła żal z tego powodu. Nie patrzyła jednak na niego. Nie spuszczała oczu ze swego kochanka, przerażona, że wyczyta w jej oczach coś, co mógłby uznać za zdradę. A przecież nie było jej tam, bo gdyby miała wybrać pomiędzy pożądanym do Sir Stephena, a swym oddaniem wobec ukochanego, nie wahałaby się chwili. W istocie dała się ponieść temu pragnieniu tylko dlatego, że to René zezwolił jej na nie, do pewnego stopnia dając jej do zrozumienia, że tego chce. Jednakże pozostawił w niej wątpliwość, czy nie poczuje się dotknięty, jeśli O zbyt szybko i chętnie się temu podporządkuje. Najmniejszy znak z jego strony rozwiałby ją natychmiast. René nie zrobił jednak żadnego gestu, tylko po raz trzeci kazał jej mówić.

- Zgadzam się na wszystko, czego tylko zechcecie - wyjąkała. Spuściła oczy, spoglądając teraz na swoje ręce spoczywające bezwiednie, rozrzucone i wyznała szeptem:

- Chciałabym wiedzieć, czy będę chłostana... Przez długą chwilę, kiedy zdążyła dwadzieścia razy pożałować swego pytania, nikt się nie odezwał. Potem usłyszała spokojny głos Sir Stephena:

- Czasami.

Usłyszała jeszcze trzask zapałki i brzęk przestawianego szkła: mężczyźni nalewali sobie whisky. René zostawił ją na podłodze, bez żadnej pomocy. Milczał.

- Nawet jeśli się teraz zgadzam - powiedziała - nawet jeśli teraz obiecuję, to i tak nie zdołam tego wytrzymać.

- Żądamy od pani jedynie, aby się temu poddała i przyjęła z góry, że wszystkie jej krzyki i lamenty będą daremne - odpowiedział Sir Stephen.

- Och! Błagam - krzyknęła O - tylko nie teraz - gdyż Sir Stephen wstał.

René wstał również, pochylił się nad nią i ujął za ramiona.

- Odpowiedz w końcu - zwrócił się do niej. - Czy się zgadzasz?

Powiedziała wreszcie, że się zgadza. Podniósł ją delikatnie i sam zasiadając wygodnie na sofie umieścił ją obok siebie na klęczkach, z wyciągniętymi rękoma, głową i piersiami na siedzeniu sofy. Oczy miała zamknięte. Przypomniawszy jej pewien obrazek, który kiedyś widziała. Była to osobliwa rycina przedstawiająca kobietę klęczącą, tak jak teraz ona, przy fotelu w pokoju z kamienną posadzką. Kobieta miała zadartą do góry suknię, dziecko bawiło się w kącie z psem, zaś nad nią stał mężczyzna z uniesioną ręką, w której miał pęk różeg. Ubrani byli w szesnastowieczne stroje, a rycina nosiła tytuł, który wydał się jej przewrotny: przykładność rodzinna. René ujął ją jedną ręką za nadgarstki, drugą zaś podniósł jej suknię, zadzierając ją tak mocno, że poczuła muśnięcie marszczonej tkaniny na policzku. Pieścił ręką jej pupę, każąc zwrócić uwagę Sir Stephenowi na

dwa zdobiące ją dołeczki i delikatność rowka między udami. Potem chwycił ją mocniej w pasie, żeby uwydatnić bardziej pupę i powiedział, żeby rozstawiła szerzej nogi. Uwagi Renę na temat jej ciała, odpowiedzi Sir Stephena, brutalna terminologia jakiej używali obaj mężczyźni, napęliły ją straszliwym wstydem, tak gwałtownym i nieoczekiwanym, że przyjęłaby teraz chłostę jako wybawienie. Cierpienie i ból przyniosłyby oczyszczenie. Ręce Sir Stephena utorowały sobie drogę do jej łona, wdarły się pomiędzy jej pośladki, to ustępowały, to zabierały się do nich na nowo, pieściły doprowadzając ją do jęku -czuła się upokorzona tym jękiem, zdobyta.

- Zostawiam cię Sir Stephenowi - powiedział wtedy Renę. - Zostań tak jak jesteś - odeśle cię, kiedy przyjdzie mu na to ochota.

Ileż razy klęczała w ten sposób w Roissy! Wtedy jednak miała skrępowane ręce - była szczęśliwą więźniarką, której zadaje się wprawdzie cierpienie, lecz nie żąda się niczego. Tutaj pozostawała niejako z własnej woli - mogła wstać i jednym ruchem zakryć swą nagość. Obietnica trzymała ją równie skutecznie co kajdany. Czy tylko obietnica? Czy mimo upokorzenia jakiego doznawała, a może raczej dlatego, że była tak upokorzona, nie znajdowała słodyczy w fakcie, że jedyne co w niej cenia, to jej pokora, uległość w poddawaniu się czyjejś woli, posłuszeństwo z jakim rozkłada nogi? Renę wyszedł. Sir Stephen odprowadził go do drzwi, ona zaś czekała bez ruchu, czując się teraz o wiele bardziej upodlona i wystawiona na widok publiczny, niż kiedy obaj byli tutaj. Czuła pod sobą gładki jedwab sofy, puszysty dywan pod kolanami w nylonowych pończochach, a na lewym udzie gorąco bijące od kominka, do którego Sir Stephen dorzucił niedawno trzy grube polana płonące teraz z hałasem. Stary ozdobny zegar na komodzie tykał cichutko -słysząc go było dopiero, gdy wszystko ucichło. O wsłuchiwała się w to tykanie, myśląc o tym, jak absurdalna jest jej obecna poza w tym kulturalnym, urządzonym z dyskretnym smakiem salonie. Przez opuszczone żaluzje słysząc było pomruk śpiącego Paryża, było już po północy. Czy jutro rano zdoła rozpoznać na siedzeniu sofy miejsce, gdzie trzymała głowę? Czy wróci kiedyś w dzień do tego salonu, żeby zrobiono z nią to samo, co teraz? Sir Stephen zwlekał z powrotem, O zaś, która z taką obojętnością potrafiła czekać na wszystkich tych nieznanym mężczyznom w Roissy zaspokajających na niej swą żądzę, miała teraz ściśnięte gardło na myśl, że za minutę, dziesięć minut położy znów na niej swoje ręce. Nie było to jednak zupełnie to samo uczucie, którego spodziewała się wcześniej. Usłyszała jak otwiera drzwi i przechodzi przez pokój. Jakiś czas stał plecami do kominka, a potem cichym głosem kazał jej wstać i usiąść. Zrobiła to posłusznie, zaskoczona i prawie zakłopotana. Uprzejmie podał jej szklaneczkę whisky i zaproponował papierosa. Odmówiła. Dostrzegła teraz, że ma na sobie szlafrok, obcisły szlafrok z szarej wełny, w tym samym odcieniu co włosy. Jego dłonie były smukłe i chude, paznokcie płaskie, niemal białe. To właśnie te ręce - niedawno tak brutalne i natarczywe - znęcały się nad jej ciałem. To ich obawiała się i na nie czekała. Lecz Sir Stephen nie ruszał się z miejsca.

- Chciałbym, żeby się pani rozebrała - powiedział. - Najpierw jednak proszę zdjąć tylko kaftan, nie wstając.

O odpięła złote zapięcia i zsunęła go z ramion, a następnie odłożyła go w drugi koniec sofy, gdzie leżały już futro, rękawiczki i torebka.

- Niech pani pobawi się koniuszkami piersi - rozkazał Sir Stephen, a potem dodał - powinna pani używać ciemniejszej szminki, ta jest za jasna.

O zdumiona musnęła czubkami palców końce brodawek, które natychmiast zaczęły twardnieć i rosnać, i cofnęła ręce.

- Och, nie! - odezwał się znów Sir Stephen.

Uniosła znów ręce ku piersiom i opadła na oparcie sofy. Piersi jej były ciężkie jak na jej szczupłą budowę i rozszerzały się lekko na zewnątrz. Opierała kark o oparcie, łokcie miała na wysokości bioder. Dlaczego Sir Stephen nie nachylił ust, nie zbliżył ręki ku jej brodawkom, skoro chciał zobaczyć jak rosną, ona zaś trzęsła się cała przy najmniejszym oddechu. Zbliżył się jednak do niej, siadł na poręczy sofy i w dalszym ciągu jej nie dotykał. Palił papierosa, a drobny ruch ręką (O nie wiedziała czy zamierzony, czy też bezwiedny) sprawił, że pomiędzy jej piersi sfrunęła odrobina gorącego jeszcze popiołu. Miała uczucie, że chce ją obrazić swoim lekceważeniem, milczeniem, nieuważą. A przecież jeszcze tak niedawno pożądał jej i nawet teraz jej pożąda - dostrzegła pod obcisłym szlafrokiem wyprężony kształt. Nie zabierał się do niej dlatego by ją zranić! O nienawidziła siebie za własne pożądanie i nienawidziła Sir Stephena za siłę jego samoopanowania. Chciała, żeby ją kochał, oto co czuła naprawdę: by z niecierpliwością dotykał jej warg, wszedł w nią, rozsądził, poturbował jeśli trzeba, lecz żeby nie siedział tak obok niej, rozkoszując się panowaniem nad własną żądzą. W Roissy było jej całkiem obojętnym co czuli ci, którzy się nią posługiwali: byli tylko narzędziami, przy pomocy których René czerpał z niej rozkosz, poprzez które stawała się taka jak pragnął, ciosana i polerowana jak kamień. Ich ręce były jego rękoma, ich rozkazy jego rozkazami. Tutaj było inaczej. René oddał ją Sir Stephenowi nie po to, by odebrać ją doskonalszą, nie dla przyjemności oddawania, lecz by Sir Stephen dzielił z nim to, co René kochał dziś najbardziej, tak jak niegdyś w dzieciństwie dzielili ze sobą wycieczkę, stateczek, konika. Właśnie w stosunku do Sir Stephena, nie do niej, miało dziś sens dzielenie się. Każdy z nich będzie w niej szukał jakiegoś śladu pozostawionego przez drugiego. Kiedy niedawno klęczała na wpół rozebrana, a Sir Stephen rozchylił jej uda, René opowiedział mu jak to się stało, że wejście z tyłu jest takie wygodne i powiedział, że bardzo się z tego cieszy, wiedział bowiem, że sprawi przyjemność Sir Stephenowi tym, że miejsce to, które tak lubi, będzie stale do jego dyspozycji. Dodał jeszcze, że jeśli Sir Stephen sobie życzy, pozostawi mu to miejsce do wyłącznego użytku.

- O, chętnie - odpowiedział Sir Stephen, zauważając jednak, że mimo wszystko obawia się, iż rozerwie O.

- O jest twoja - skwitował to René.

Potem rozchylił jej uda i przytrzymał ręce. Sama myśl, że René może w taki sposób pozbywać się jakiejś części niej samej była dla O szokująca. Zobaczyła w tym znak, że jej kochankowi bardziej zależy na Sir Stephenie niż na niej. I choć René powtarzał tylekroć, że kocha w niej przedmiot, który sam stworzył, możliwość absolutnego rozporządzenia nią, wolność jakiej przy niej zażywa, kiedy może posługiwać się nią jak meblem, że tyleż samo, a może nawet więcej przyjemności dostarcza mu oddawanie jej innym niż trzymanie przy sobie, O zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy w to nie wierzyła. Zauważyła jeszcze coś, co można by nazwać jedynie objawem szacunku do Sir Stephena - oto René, który tak bardzo lubił patrzeć jak jest gwałcona albo chłostana przez innych, który z tak niewyczerpaną ciekawością i ochotą mógł przyglądać się jej ustom otwartym od krzyku i jęków, jej zaciśniętym, zapłakanym oczom, zostawił ją i wyszedł po tym jak przedstawił jej zalety - otwierając ją przy tym tak, jak otwiera się pysk koniowi na jarmarku - i upewniwszy się, że Sir Stephen uznał ją za dość urodziwą, czy - w ostateczności - wystarczająco wygodną by ją sobie wziąć. To zachowanie, jakkolwiek obelżywe, nie zmieniło w niczym jej miłości do niego. Czuła się szczęśliwa, znacząc dla niego chociaż tyle, że sprawia mu przyjemność poniżanie jej - tak jak wierni wdzięczni są Bogu, za to, że ich upokorzył. U Sir Stephena domyślała się jednakże stalowo niezłomnej woli, która oprze się każdej żądzy i wobec której jej podniecenie i uległość nie znaczą absolutnie nic. W przeciwnym razie dlaczego tak bardzo by się bała? Bicz za pasem lokajów w Roissy, łańcuchy, które niemal bez przerwy nosiła, wydawały się jej mniej straszne od spokoju z jakim Sir Stephen patrzył na jej piersi, nie dotykając ich wcale. Wiedziała jak bardzo, przy jej drobnej budowie ramion, sam ich ciężar, gładki i wezbrany, nadaje im delikatności i wrażliwości. Nie mogła powstrzymać ich drżenia - musiałyby chyba przestać w ogóle oddychać. Próżno byłoby oczekiwać, że ta ich delikatność rozbroi Sir Stephena. O dobrze wiedziała, że jest wprost przeciwnie: ich nęcąca słodycz prowokowała tyleż samo pieszczoty co cierpienia, tyleż

samo delikatne wargi, co ostre paznokcie. Przez moment błysnęła nadzieja: prawa ręka Sir Stephena, w której trzymał papierosa, musnęła czubkiem środkowego palca ich koniuszka, który posłusznie się wyprostował. O nie miała wątpliwości, że dla Sir Stephena jest to rodzaj zabawy, nie więcej, coś jakby sprawdzenie działania mechanizmu. Nie ruszając się z poręczy fotela kazał jej zdjąć spódnicę. Zapinki ślizgały się jej pod wilgotnymi palcami - udało się je rozpiąć dopiero za drugim razem i zdjąć wraz z halką, którą nosiła pod spodem. Gdy była już rozebrana, w samych tylko wysokich i lśniących czółenkach oraz w czarnych pończochach zrolowanych nad kolanami, co podkreślało smukłość i dokonała biel jej ud, Sir Stephen wstał, chwycił ją jedną ręką poniżej brzucha i popchnął w stronę sofy. Kazał jej uklęknąć plecami do niej i rozchylić nieco nogi, by mogła się o nią oprzeć łopatkami. Ręce trzymała na kostkach, tak że wewnątrz jej ud było niczym nie zasłonięte, szyję zaś odgięła do tyłu, wystawiając przez to naprzód piersi. Nie śmiała spojrzeć na twarz Sir Stephena, widziała za to jego ręce odwiązujące pasek przy szlafroku. Stał okrzakiem nad klęczącą O, chwycił ją za kark i zagłębił się w jej ustach. Nie szukał bynajmniej powierzchownych pieszczot jej warg, lecz dna jej gardła. Penetrował je długo, O zaś dusiła się mając w sobie napęczniały i twardy knebel, którego powolne i rytmiczne wstrząsy wyciskały jej łzy z oczu. Chcąc dostać się głębiej Sir Stephen uklęknął na sofie i mając twarz O pomiędzy nogami, uderzał raz po raz pośladkami o jej piersi. Czowała jak jej wzgardzone i beużyteczne teraz łono rozpała się do białości. Mimo iż Sir Stephen bawił w niej długo, nie doprowadził rozkoszy do końca, tylko wyszedł z niej w pewnej chwili bez słowa i stanął nad nią w rozpiętym szlafroku.

-Jest pani łatwa, O - powiedział. - Kocha pani René, lecz jest pani łatwa. René musi sobie zdawać sprawę z tego, że ma pani ochotę na każdego kto pani pożąda, skoro dostarcza alibi pani naturalnym skłonnościom wysyłając do Roissy i oddając innym?

- Kocham René - odpowiedziała O.

- Kocha go pani, lecz ma pani chęć na mnie, między innymi -odrzekł Sir Stephen.

Tak, miała na niego chęć. Czy René wiedząc o tym zmieniłby się? Mogła jedynie milczeć i spuścić oczy - jedno spojrzenie w oczy Sir Stephena powiedziałoby wszystko. Wtedy Sir Stephen pochylił się nad nią i złapawszy ją za ramiona zsunął na dywan. Znalazła się na plecach, a nogi miała podkurczone w górze. Sir Stephen usiadł na sofie, w miejscu gdzie przed chwilą opierała plecy, chwycił ją za jedną nogę i przyciągnął bliżej. Ponieważ leżała na wprost kominka, blask bijący od paleniska oświetlał rześście dwie rozchylone bruzdy: pomiędzy udami i między pośladkami. Nie puszczając jej nogi Sir Stephen rozkazał jej szorstko, żeby popieściła się sama, nie ściskając ud. Posłusznie wyciągnęła rękę do łona i poczuła pod palcami sterczącą teraz spod osłaniającego ją zazwyczaj futerka, mocno już rozpaloną, stromą wypukłość na ciele, w miejscu, gdzie zbiegają się delikatne i wrażliwe wargi sromu. Lecz ręka zaraz opadła i O wyjąkała:

- Nie mogę.

I rzeczywiście nie mogła. Zawsze robiła to jedynie po kryjomu, w ciemności, gdy spała sama, starając się jedynie szybko przeżyć rozkosz. Później śniło się to jej niekiedy i budziła się zawiedziona, że to przeżycie było zarazem tak mocne i nietrwałe. Spojrzenie Sir Stephena nalegało. Nie mogła wprost go znieść. Powtórzyła "nie mogę" i zamknęła oczy. Ujrzała obraz, którego nie mogła wymazać z pamięci, a który zawsze przyprawiał ją o głęboki niesmak, tak samo jak wtedy, gdy była tego świadkiem w wieku piętnastu lat: Marion rozłożona w skórzanym fotelu w jakimś pokoju hotelowym, Marion z jedną nogą na poręczy fotela, a z głową na drugim, która pieści się w jej obecności stękając i dysząc. Marion opowiedziała jej, jak pewnego dnia pieściła się tak samo w biurze - myślała, że jest sama, kiedy nieoczekiwanie wszedł jej szef i zaskoczył ją na tym. O przypomniało się biuro Marion, nędzny pokoik o pustych ścianach w jasno-zielonym odcieniu, z brudnymi, zakurzonymi oknami wychodzącymi na północ. Był tam tylko jeden fotel dla interesantów, stojący naprzeciw stołu.

- Zdażyłaś się zakryć? - spytała O.

- Bynajmniej - odpowiedziała Marion. - Kazał mi robić to dalej, tylko że wcześniej zamknął drzwi na klucz. Musiałam zdjąć majtki i przysunąć fotel bliżej okna.

O była pełna podziwu dla odwagi Marion, lecz jednocześnie wzbudzało to w niej obrzydzenie. Odmówiła gwałtownie, kiedy Marion chciała aby O masturbowała się przy niej i przysięgła sobie, że nigdy nie zrobi tego przy nikim. Marion zaśmiała się i powiedziała:

- Zobaczysz, że twój kochanek sam tego kiedyś zażąda.

Renę nigdy tego od niej nie wymagał. Zapewne zgodziłaby się, lecz bałaby się zobaczyć to samo obrzydzenie, jakiego doświadczyła patrząc na Marion. Było to niedorzeczne. Jeszcze bardziej niedorzeczne było to wobec Sir Stephena. Czy jego obrzydzenie było w ogóle ważne? Tak czy tak, nie mogła tego zrobić. Po raz trzeci wyszeptwała:

- Nie mogę.

Jakkolwiek powiedziała to bardzo cicho, Sir Stephen usłyszał, puścił ją, wstał, zawiązał szlafrok i kazał O się podnieść.

- A więc tak wygląda pani posłuszeństwo? - powiedział.

Potem schwycił ją lewą ręką za oba przeguby, drugą zaś wymierzył jej silny policzek. Zatoczyła się i z pewnością by upadła, gdyby jej nie przytrzymał.

- A teraz wysłucha pani na klęczkach, co mam do powiedzenia. Obawiam się, że Renę marnie panią wyćwiczył.

-Jestem mu zawsze posłuszna - wyjąkała.

-Myli pani ze sobą miłość i posłuszeństwo. Mnie będzie pani słuchać bez miłości, również z mojej strony.

Poczuła naraz, że narasta w niej nieznanym wcześniej sprzeciw wobec tych słów, wewnętrzny bunt przeciw danym obietnicom posłuszeństwa i oddania się w niewolę, przeciwko własnej na to zgodzie, własnemu pożądaniu, przeciwko temu, że stoi teraz naga, spocona, z trzęsącymi się nogami i podbitym okiem. Broniła się zaciskając z wściekłości zęby, kiedy rzucił ją na ziemię, przygiął, tak że znalazła się z łokciami na dywanie, upokorzona, z głową wciśniętą w ramiona, on zaś chwycił ją za biodra, podniósł i sforsował ją od tyłu, rozszarpując ją przy tym, jak to zapowiedział Renę. Z początku udało się jej zachować milczenie. Kiedy jednak zabrał się do niej ostrzej, krzyknęła. Był to krzyk tyleż protestu co bólu - co do tego się nie mylił. Wiedziała, że jest zadowolony, iż zmusił ją do krzyku - była teraz całkowicie pokonana. Kiedy skończył i zaczął z niej powoli wychodzić, okazało się, że jest zbroczony krwią z rany, którą sam zadał. Zauważył, że co do niego to zrobił już swoje w jej wnętrzu, a rana będzie się odnawiać tak długo, aż jej odbyt nie dopasuje się do niego i że nadal będzie przecierał ten szlak. Z pewnością nie zrezygnuje z przywileju jaki pozostawił mu Renę - O nie powinna się spodziewać, że zostanie oszczędzona. Przypomniał jej, że zgodziła się być ich wspólną niewolnicą, choć jego zdaniem jest mało prawdopodobne, aby wiedziała do czego to ją w rzeczywistości zobowiązuje. Kiedy to zrozumie, będzie już za późno na odwrót. Słuchając go O pomyślała sobie, że jeśli ta tresura potrwa dłużej, a on nie przestanie się wreszcie zajmować wyłącznie swoim dziełem, będzie również za późno na to, by ją odrobinę pokochał. Albowiem cały ten jej wewnętrzny opór i nieśmiały sprzeciw, na jaki się

zdobyła, miał tylko jeden powód: pragnęła być dla Sir Stephena, choćby w niewielkim stopniu, tym czym była dla René i by czuł do niej coś więcej niż tylko pożądanie. Nie dlatego, że była w nim zakochana, lecz dlatego iż widziała doskonale, że René kocha Sir Stephena gorącym uczuciem chłopca do kogoś starszego. Czuła, że gotów byłby ją dla niego poświęcić, jeśli Sir Stephen by tego zażądał. Czuła, że René zrobi zawsze to, co tamten i jeśli Sir Stephen okaże jej pogardę, to René, mimo iż ją teraz kocha, będzie nią również gardził i przyjmie postawę, która dotąd była mu obca - postawę mężczyzn z Roissy. Gdyż w Roissy to on był panem i od niego zależało, co zrobią ci, którym ją oddał. Tutaj zaś nie był już panem - wręcz przeciwnie. Panem René był Sir Stephen, czego René zupełnie się nie domyślał. Chciał go we wszystkim naśladować i rywalizować z nim, dlatego też oddał mu O: było to o tyle drastyczne, że w tym wypadku oddał mu to, co miał najlepszego. Jeśli Sir Stephen przekona się do niej i pokocha ją, on również będzie ją nadal kochał. Jak na razie było jasne, że Sir Stephen był teraz jej panem i cokolwiek sądziłby na ten temat René, panem jedynym, ona zaś jego niewolnicą. Nie oczekiwała żadnej litości, lecz czy nie zdołałaby wycisnąć z niego jakiegoś uczucia? Rozparty w fotelu przy kominku, gdzie siedział już wcześniej - zanim jeszcze wyszedł René, zostawił ją nagą naprzeciwko siebie i kazał jej czekać na dalsze rozkazy. Potem wstał i powiedział, żeby poszła za nim. Naga, w samych tylko czółenkach na wysokich obcasach i czarnych pończochach weszła za nim po schodach biegnących od parteru i znalazła się w małym pokoiku, tak małym, że mieściło się w nim zaledwie łóżko stojące w kącie, toaletka oraz krzesło wciśnięte pomiędzy łóżko a okno. Pokoik ten miał połączenie z większym, należącym do Sir Stephena. Miały wspólną łazienkę z osobnymi drzwiami. O umyła się i wytarła (ręcznik zabarwił się odrobinę na różowo), zdjęła buty i pończochy i położyła się na chłodnym prześcieradle. Zasłony były rozsunięte, lecz była czarna noc. Zanim wyszedł, Sir Stephen zbliżył się do leżącej O i ucałował koniuszki jej palców, tak samo jak wówczas w barze, kiedy pomógł jej zejść ze stołka i kiedy pochwalił jej pierścień. Tak więc spenetrował ją przy pomocy rąk, wszedł w nią cały, wtargnął pomiędzy pośladki i w usta, a teraz swoimi ustami raczył zaledwie dotknąć koniuszków jej palców. O płakała długo i zasnęła dopiero o świcie. Nazajutrz, wczesnym przedpołudniem, szofer Sir Stephena odwiózł O do domu. Wstała o dziesiątej. Stara mulatka przyniosła jej filiżankę kawy, przygotowała kąpiel i podała ubranie, z wyjątkiem futra, rękawiczek i torebki, które leżały nadal na sofie w salonie. Zabrała je gdy szła na dół. Salon był pusty, żaluzje i zasłony odsłonięte. Naprzeciw sofy widać było teraz podłużny, zielony ogródek, wyglądający niczym akwarium porośnięte bluszczem, ostro-krzewem i trzmieliną. Kiedy zakładała płaszcz, mulatka powiedziała jej, że Sir Stephen już wyszedł i podała jej list, gdzie na kopercie wypisany był jej inicjał. Biała kartka zawierała tylko dwie linijki: "René dzwonił, że przyjdzie po panią o szóstej do studia" podpisane "S" oraz post scriptum: "Pejcz czeka na pani następną wizytę." O rozejrzała się wokół siebie: na stole, pomiędzy fotelami, gdzie wczorajszego wieczoru zasiadali Sir Stephen i René, leżał obok czary z żółtymi różami, długi i cienki, skórzany pejcz. Służąca czekała przy drzwiach. O włożyła list do torebki i wyszła. A więc René dzwonił do Sir Stephena, do niej zaś nie. Wróciła do domu, rozebrała się, zjadła śniadanie, założyła szlafrok, bez pośpiechu umalowała się i uczesała, a potem przebrała się by wyjść do studia: telefon cały czas milczał. René nie dzwonił. Dlaczego? Co powiedział mu Sir Stephen? Co mówili o niej? Przypomniła sobie ich słowa, kiedy zupełnie nieskrepowani jej obecnością dyskutowali o wygodach jej ciała w odniesieniu do ich potrzeb. Być może nie była przyzwyczajona do tego rodzaju zwrotów w angielszczyźnie, lecz odpowiednie zwroty francuskie należały do absolutnie rynsztokowych. To prawda, że przeszła przez tyle rąk co jakaś prostytutka z burdelu, dlaczego więc mieliby ją traktować inaczej?

- Kocham cię, René, kocham cię - powtarzała. - Zrób ze mną co chcesz, lecz nie zostawiaj mnie, na Boga, nie zostawiaj mnie.

Kto ulituje się nad tymi, którzy czekają? Łatwo ich poznać: po ich tkliwości, po ich niby to czujnym spojrzeniu - są bowiem czujni i skupieni, lecz nie tym na co patrzą - po ich nieobecności. W czasie trzech godzin w studiu, gdzie fotografowała kapelusze na pewnej modelce, której wcześniej nie znała - małej, przysadzistej, o rudych włosach - O miała w oczach tę nieobecność

wypływającą z jej wnętrza, z pośpiechem uciekających minut i ze strachu. Na bluzkę i spódniczkę z czerwonego jedwabiu założyła szkocką spódnicę i zamszową marynarkę. Czerwona bluzka widoczna spod rozpiętej marynarki pogłębiała bladość jej twarzy i mała modelka powiedziała jej, że wygląda fatalnie.

- Fatalnie dla kogo? - spytała O. Dwa lata temu, zanim jeszcze poznała i pokochała Renę, odpowiedziałaby sobie bez wahania: "fatalnie dla Sir Stephena" i dodała zapewne "jeszcze popamięta". Lecz jej miłość do Renę i miłość Renę do niej odebrały jej wszelką broń i zamiast dawać jej coraz to nowsze dowody swej mocy, pozbawiały ją resztek tej, którą jeszcze zdołała zachować. Dawniej była obojętna, nieczuła i rozbawiona. Bawiło ją zwodzenie zakochanych w niej chłopców jakimś słówkiem lub gestem, bez żadnych zobowiązań, a potem oddawanie się im, ot tak - dla kaprysu. Raz tylko, jedyny raz, w nagrodę, lecz także po to, by jeszcze bardziej rozpalic i uczynić przez to bardziej okrutnym pożądanie, którego sama nie odczuwała. Miała pewność, że ją kochają. Jeden z nich próbował odebrać sobie życie. Kiedy już wyszedł ze szpitala, poszła do niego do domu, rozebrała się całkowicie i zabroniwszy mu się dotykać położyła się na kanapie. Błady z pożądaniami i bólu przyglądał się jej przez dwie godziny w milczeniu, związany danym słowem. Nie chciała go już więcej widywać. Nie dlatego, żeby lekceważyła uczucia, jakie wzbudzała. Rozumiała je, lub przynajmniej wydawało się jej, że rozumie lepiej, gdyż ona sama doświadczała podobnego (tak sądziła) pożądaniami wobec swych przyjaciółek i innych młodych dziewcząt. Niektóre pozwoliły się jej zaciągnąć do któregoś z tych nazbyt dyskretnych hotelików, z ciasnym korytarzem i przepierzeniami przepuszczającymi każdy szmer, inne odpychały ją ze wstrętem. Lecz to, co wydawało się jej pożądaniami, nie było wszak niczym więcej jak tylko zamiłowaniem do podboju i zarówno jej maniery niegrzecznego chłopaka (fakt, że miała kilku kochanków - jeśli można ich tak nazwać), jej szorstkość, nawet odwaga okazały się zupełnie nieprzydatne kiedy poznała Renę. W ciągu ośmiu dni poznała co to strach, ale również pewność, przerażenie, ale i szczęście. Renę rzucił się na nią jak pirat na pojmaną brankę, ona zaś stała się tą branką z rozkoszą, czując na przegubach i kostkach, ale i wszystkich innych, najbardziej sekretnych częściach ciała niewidzialne więzy cieńsze od włosa, mocniejsze od lin, którymi Lilipuci związali Guliwera, a które jej kochanek zaciskał i rozluźniał jednym spojrzeniem. Czy przestała być wolna? Ach, dzięki Bogu nie była już wolna! Była lekka jak bogini w obłokach, jak ryba w wodzie zanurzona w szczęściu. Tak właśnie - zanurzona, gdyż owe niewidzialne włosy, te liny, które Renę trzymał w ręku oplatały ją gęstą siecią poprzez którą biegł odtąd życiodajny prąd. I było to tak rzeczywiste, że kiedy Renę rozluźniał uchwyt - jak to sobie wyobrażała - kiedy wydawał się jej nieobecny, kiedy oddalał się od niej i zdawał się jej roztargniony, obojętny, kiedy na nią nie patrzył, nie odpowiadał na listy, kiedy sądziła, że nie chce jej widzieć, że mniej ją kocha, wtedy dosłownie czuła że się dusi. Trawa stawała się czarna, dzień nie był dniem a noc nocą, tylko piekielną maszyną do przemieniania światła w ciemność zadawania mąk. Czysta woda wywoływała w niej mdłości. Czuła się jak słup zastygłej lawy, odpychająca, niepotrzebna i potępiona jak owi mieszkańcy Gomory, zakłęci w słupy soli. Gdyż była winna. Ci, którzy wielbią Boga i których Bóg opuszcza w środku ciemnej nocy są winni, gdyż są opuszczeni. Szukała swojej winy w pamięci. Nie znajdowała nic poza mało znaczącymi drobiazgami, wyrażającymi się raczej w myślach niż w czynach, takich jak to, że lubiła rozbudzać pożądanie u innych mężczyzn, co zresztą przestało ją zajmować w miarę jak rosło szczęście, którego przyczyną był Renę, jego miłość, pewność, że należy do niego. Przy nim nic nie było w stanie jej zranić, była całkowicie niedostępna, nieodpowiedzialna, jej czyny były bez znaczenia - a zresztą, jakie czyny, gdyż mogła zarzucić sobie jedynie jakieś myśli, przelotne zachcianki. A jednak była niewątpliwie winna, a Renę ukarał ją mimo woli za grzech, o którym nie wiedział (gdyż popełniła go tylko w duszy), a który odkrył natychmiast Sir Stephen: jej łatwość. O czuła się szczęśliwa, że Renę nakazał ją chłostać i oddał innym mężczyznom, gdyż swym żarliwym posłuszeństwem dawała dowód, że należy do niego, dlatego również, że ta bolesna i hańbiąca chłosta jak i poniżenie jakiego doznawała od tych mężczyzn przymuszających ją do rozkoszy, nie dbając o jej doznania, wydawały się jej pokutą za ten grzech. Te wstrętne, plugawe uściski, te ręce na jej piersiach jak niewybaczalna obelga, usta wsysające jej wargi i język niczym oślizłe, ohydne

pijawki, te ich języki i genitalia, lepkie bestie, pocierające się o jej zamknięte usta, łono, pośladki zaciśnięte z całych sił i sztywne tak długo, aż bat nie złamał ich oporu, tak że otwierała je w końcu ze wstrętem i niewolniczą uległością. Czy mimo to Sir Stephen miał rację? Czy znajdowała rozkosz w swoim upodleniu? Im było ono większe, tym łaskawiej Renę godził się na to, by robić sobie z niej narzędzie rozkoszy. Kiedyś w dzieciństwie, przeczytała pewien napis, wypisany czerwonymi literami na białej ścianie w pokoju, w którym mieszkała w czasie dwumiesięcznych wakacji w Galii. Był to werset z Biblii, który protestanci wypisują w swoich domach: "Straszne jest wpaść w ręce Boga żywego." Nie, myślała teraz, to nieprawda. To co jest naprawdę straszne, to zostać odrzuconym przez Boga żywego. Ilekroć René odwlekał chwilę spotkania, tak jak właśnie tego dnia -gdyż minęła szósta, potem w pół do siódmej - O wpadła w szaleństwo i rozpacz. Szaleństwo okazało się niepotrzebne, zbyteczna okazała się rozpacz, wszystko to straciło naraz znaczenie. Renę przyszedł, taki sam, nie zmieniony, kochający - to tylko jakaś narada czy nieprzewidziana praca zatrzymały go trochę dłużej, nie miał czasu jej zawiadomić. O natychmiast wynurzyła się ze swego dusznego pokoju, a jednak strach kołatał się w niej jak głuche przecucie nieszczęścia: równie dobrze mogła zatrzymać go partia golfa czy brydża albo czyjaś twarz, bo choć kochał O, był przecież wolny, pewny jej miłości i tak bardzo, bardzo swobodny. Czy nie może się zdarzyć, że nadejdzie kiedyś ten dzień śmierci i popiołów, taki dzień pośród innych, kiedy okaże się, że jej szaleństwo jest uzasadnione, kiedy ten pokój - komora gazowa nie otworzy się więcej? Ach, niech trwa ten cud, niech nie opuszcza jej ta niezwykła łaska, nie opuszczaj mnie René! O nie chciała wybiegać myślą dalej niż poza dzień jutrzejszy i ani dnia dalej. Każda noc z Renę była dla niej nocą na zawsze. René przyszedł ostatecznie o siódmej. Był tak ucieszony widząc ją, że przytulił ją i ucałował w obecności elektryka naprawiającego reflektor, małej, rudej modelki, która wychyliła się ze swego pokoiku do makijażu i Jacqueline, która wtargnęła gwałtownie na swoich wysokich obcasach.

- To zachwycające - powiedziała Jacqueline - przechodziłam i miałam właśnie spytać panią o moje ostateczne zdjęcia, ale zdaje się, że to nieodpowiednia chwila. No to idę.
- Błagam, niech pani zostanie - krzyknął René, nie wypuszczając O, którą obejmował w pasie. - Niech pani nie odchodzi.

O przedstawiła ich sobie. Ruda modelka, rozżalona, skryła się na powrót w swoim pokoiku, elektryk zdawał się nie zwracać na nich uwagi, zajęty reflektorem. O patrzyła na Jacqueline i czuła, że Renę podąża za jej spojrzeniem. Jacqueline była ubrana w narciarski strój, taki jaki noszą gwiazdy filmowe, które wcale nie jeżdżą na nartach. Wszystko miało jakiś związek ze śniegiem: błękitny odcień kurtki z fokii, to śnieg w cieniu, jasny, w kolorze szronu, połysk włosów - śnieg w słońcu. Usta miała pomalowane na ciemnozłote, a kiedy się uśmiechała i podnosiła wzrok na O, ta pomyślała sobie, że nikt chyba nie oparłby się pokusie, by napić się tej zielonej wody, pulsującej pod rękami w barwie szronu i zerwać bluzkę, aby móc ująć w dłoń te drobne piersi. No właśnie: René nie domyślał się raczej, że tu w jego obecności zajmowała się rozważaniami na temat czyichś upodobań, które zresztą dzieliła ze wszystkimi. Wyszli wszyscy troje. Na rue Royal, gdzie śnieg padał gęstymi płatami przez dwie godziny, wirował teraz zaledwie drobnymi białymi muszkami, kłującymi delikatnie w twarz. Sól na chodnikach skrzypiała pod butami i rozpuszczała śnieg. O poczuła lodowaty chłód ciągnący od dołu, wspinający się po jej nogach i obejmujący uda. Stawało się dla niej jasne, czego szukała u młodych dziewcząt, za którymi się uganiała. Nie szło jej o stwarzanie pozorów rywalizacji z mężczyznami ani też o zrekompensowanie sobie - przez przyjęcie roli mężczyzny -kobiecego poczucia niższości, gdyż wcale go nie odczuwała. Wprawdzie, kiedy w wieku dwudziestu lat umizgiwała się do jednej z koleżanek -najładniejszej ze wszystkich - przyłapała się na tym, że zdejmuje beret przy powitaniu, ustępuje jej przejścia i podaje rękę przy wysiadaniu z taksówki. Nie mogła się również zgodzić by tamta dokładała się do rachunku, kiedy zaszły czasem na herbatę do cukierni. Całowała ją w rękę, niekiedy w usta, najlepiej na środku ulicy. Było to jednak obliczone na prowokację i brało się raczej z dziecięcej zabawy niż z faktycznych przekonań. W przeciwieństwie do tego namiętny pociąg do cudownie słodkich,

umalowanych ust, poddających się jej ustom, do lśniących tęczowo albo perłowo oczu przymkniętych w półmroku na tapczanie, o piątej po południu, przy zaciągniętych storach i zapalanej lampce na kominku, do głosu szepczącego: jeszcze, jeszcze, proszę cię, jeszcze, do lepkiego, morskiego zapachu pozostającego na palcach, był jak najbardziej rzeczywisty i głęboki. Prawdziwa była też radość jaką dawało jej usidlenie ofiary. Możliwe, że nie z powodu podchodów samych w sobie, mimo iż były dla niej pasjonujące, ile dla uczucia wolności, które jej dawały. Tutaj to ona i tylko ona prowadziła całą rozgrywkę (podczas gdy przy mężczyznach cała jej gra polegała jedynie na różnego rodzaju wykrętach). To do niej należała inicjatywa co do pocałunków, słów, randek - do tego stopnia, że nie lubiła aby ją pierwszą całowano. Dopóki nie zdarzyło się jej mieć kochanków, nie mogła niemal znieść aby dziewczyna, którą pieści, odwzajemniała się jej tym samym. O ile spieszno jej było ujrzeć swą przyjaciółkę nago i móc ją dotknąć, o tyle zupełnie zbędne wydawało się jej, żeby rozbierała się sama. Często szukała jakiegoś pretekstu, żeby tego uniknąć - tłumaczyła, że jest jej zimno albo, że ma właśnie zły dzień. Swoją drogą niewiele było dziewcząt, w których nie znalazłaby czegoś pięknego. Przypomniała sobie jak pod sam koniec liceum chciała uwieść pewną dziewczynę - małą, brzydką, wiecznie w złym humorze - tylko dlatego, że miała ona szopę blond włosów, których źle przycięte kosmyki tworzyły figlarny światłocień na skórze, bezbarwnej wprawdzie, lecz za to o drobnutkich, delikatnych porach, idealnie matowej. Mała okazała się jednak szybsza od niej i kiedy któregoś dnia jej nieprzyjemna twarz rozjaśniła się od zachwyty i rozkoszy, O wycofała się - to nie było dla niej, gdyż O lubiła nade wszystko widzieć na twarzach dziewcząt tę mgłę, dzięki której stają się one gładkie i młode - młodością ponadczasową, nie mającą nic wspólnego z dziecinnością, lecz od której nabrzmiewają wargi, oczy robią się wielkie, jakby podkreślone kredką, tęczówki zaś przejrzyste i lśniące. Zachwyty odgrywał dla niej większą rolę niż sama miłość. To nie miłość dostarczała jej największych wzruszeń. W Roissy doznała kiedyś podobnego zachwyty na widok zmienionej twarzy jednej z dziewcząt gwałconej przez któregoś z nieznanomych. Nagość zawsze ją poruszała - zdawało się jej, że przyjaciółki robią jej prezent, za który nie będzie się w stanie odwdziżyć, ilekroć pozwalały się jej oglądać nago, gdzieś w zamkniętym pokoju. W słońcu i na plaży nagość nie robiła na niej wrażenia, nie dlatego, że wystawiona na widok publiczny, lecz dlatego, że niekompletna, skryta kostiumem. Piękno innych kobiet, które wspaniałomyślnie skłonna była przedkładać ponad własną urodę, przekonywało ją jednak o niej, gdyż widziała tam odbicie samej siebie. Widząc jaką władzę mają nad nią jej przyjaciółki, domyślała się jaki wpływ na mężczyzn ma ona sama. Uważała za naturalne, że to czego sama oczekuje od kobiet (a co odwzajemniała jedynie w niewielkim stopniu, albo też wcale) mężczyźni oczekują od niej. Tak więc była współniczką jednych i drugich - zgarniała obie pule. O kochała się w Jacqueline ani mniej, ani bardziej niż w innych i nie miała wątpliwości, że miłość ta (to może za wiele powiedziane) kiedyś się spełni. Dlaczego jednak nie okazywała jej teraz? Wiosną, kiedy topole na skwerach wypuszczają młode pączki, a coraz dłuższe dni zachęcają zakochanych aby po wyjściu z biura posiedzieć gdzieś na ławeczce, miałyby odwagę stawić czoła Jacqueline. Zimą wydawała się jej zbyt wyniosła w tych swoich futrach, nazbyt wspaniała, nieprzystępna. I wiedziała o tym. Wiosną zaś wracała do lekkich kostiumów, butów na niskich obcasach, trykotowych bluzek. Ze swymi prosto przyciętymi, krótkimi włosami wyglądała jak wyzywająca licealistka, jedna z tych, które O mając szesnaście lat chwytając za nadgarstki i zaciągając bez słowa do pustej szatni, a potem popychała pomiędzy wiszące płaszcze. Płaszcze spadały z wieszaków, O zaś wybuchała szalonym śmiechem. Nosiły mundurki z surowej bawełny z wyhaftowanymi czerwoną nitką inicjałami na piersi. Trzy lata później, trzy kilometry dalej, w innym liceum Jacqueline musiała nosić podobny mundurek. O dowiedziała się tego przez przypadek. Któregoś dnia Jacqueline pozując jej do zdjęć w nowych sukienkach westchnęła naraz, jaka byłaby szczęśliwa gdyby miała równie śliczne w liceum. Żeby chociaż wiedziała, że można nosić mundurek bez niczego.

-Jak to bez niczego? - spytała O.

- No, oczywiście bez sukienki - odpowiedziała Jacqueline.

O zaczerwieniła się. Nie zdążyła jeszcze przyzwycząić się do chodzenia bez niczego pod spodem, a dwuznaczne słowa Jacqueline wydały się kryć w sobie aluzję do jej sytuacji. Na próżno powtarzała, że przecież każdy jest nagi pod ubraniem. Czuła się wciąż jak owa Włoszka z Werony, która aby uratować miasto poszła oddać się wodzowi oblegających je wojsk: zupełnie naga pod płaszczem, który wystarczyło tylko rozpiąć. Jej również wydawało się, że musi w ten sposób za coś płacić, lecz za co? Jacqueline natomiast była pewna siebie samej i nie musiała płacić za nic. Nie potrzebowała żadnego dodatkowego potwierdzenia - wystarczyło jej lustro. O patrzyła na nią z niejaką pokorą i myślała sobie, że nie chcąc narażać się na wstyd, należałoby jej przynosić wyłącznie magnolie, gdyż ich grube, matowe płatki, więdnąc nabierają delikatnej barwy opalenizny, albo też kamelie, których różowy połysk miesza się niekiedy z woskową bladością. W miarę jak mijała zima, złota opalenizna Jacqueline znikła wraz ze wspomnieniem śniegu. Już niedługo odpowiednimi dla niej kwiatami będą kamelie. O bała się jednak robić sobie z niej żarty przynosząc tak melodramatyczne kwiaty. Wręczyła jej kiedyś wielki bukiet niebieskich hiacyntów, których woń jest równie natarczywa co woń tuberoz: gęsta, intensywna, namiętna, zupełnie taka jaką powinny mieć kamelie, a nie mają. Jacqueline zanurzyła w bukiecie swój wschodni, mongolski nos i usta, które od dwóch tygodni malowała na różowo zamiast na czerwono.

- To dla mnie? - spytała jak ktoś, komu wszyscy przynoszą nieustannie prezenty.
Potem podziękowała, a potem jeszcze spytała czy René przyjdzie po O.
- Owszem, przyjdzie - odrzekła O.

Przyjdzie, powtarzała sobie w duchu, a wtedy Jacqueline - pozornie nieruchoma, pozornie milcząca podniesie na sekundę w jego stronę swoje oczy jak świeża, chłodna woda, które nigdy nie patrzą wprost. Jej nikt nie potrzebowałby uczyć ani milczenia, ani trzymania rąk wzdłuż ciała, ani lekkiego odchylenia głowy do tyłu. O umierała z pragnienia, by schwycić za te jej niezwykle jasne włosy, złapać je całą garścią, z tyłu, na karku i pociągnąć do siebie jej głowę, lub choćby przeciągnąć palcem wzdłuż linii jej brwi. Lecz i René miał na to ochotę. Dobrze wiedziała dlaczego tak niegdyś odważna, stała się teraz tak bojaźliwa, dlaczego nie pozwalała sobie na jeden gest lub słowo, które mogłoby świadczyć o tym, że pożąda Jacqueline, chociaż czuła to pragnienie już od dwóch miesięcy, wmawiając sobie różne nieprawdziwe powody mogące usprawiedliwić tę jej powściągliwość. Jacqueline nie była wcale niedotykalna. Przeszkoda tkwiła nie w Jacqueline, lecz w sercu O - po raz pierwszy spotkała się z czymś podobnym. Rzecz w tym, że René dał jej w tym względzie wolność, a ona nienawidziła tej wolności. Była ona gorsza niż jakikolwiek łańcuch. Oddzielała ją od René. Wiele razy mogła chwycić Jacqueline i przyszpilić ją do ściany niczym motyla. Jacqueline nie ruszyłaby się nawet, nawet by się nie uśmiechnęła. Lecz O przypominała teraz dzikie zwierzę pojmane przez myśliwego, służące mu do wabienia i naganiania zwierzyny i biegające na rozkaz. Od czasu do czasu blada i roztrzęsiona opierała się o ścianę, czując się przykuta swym uporczywym milczeniem, związana nim, a równocześnie tak szczęśliwa, że milczy. Potrzebowała czegoś znacznie lepszego niż przyzwolenie, gdyż to już uzyskała. Czekala na rozkaz. Przyszedł on jednak nie od jej kochanka, lecz od Sir Stephena. W miarę jak upływały kolejne miesiące od chwili, gdy René oddał ją Sir Stephenowi, O obserwowała z przerażeniem jak wielkiego znaczenia nabierał w oczach jej kochanka. Jednocześnie zresztą zrozumiała, że być może myli się sądząc, iż znaczenie to rośnie i że jedynie nauczyła się dopiero właśnie rozpoznawać czyny i uczucia. W każdym razie spostrzegła to szybko, że René spędza z nią noce wyłącznie wtedy, kiedy wcześniej, wieczorem została wezwana przez Sir Stephena (Sir Stephen zatrzymywał ją do rana tylko wtedy, gdy René był poza Paryżem). Zauważyła również, że nawet jeśli brał udział w takich wieczorach, nigdy jej nie dotykał, chyba że po to, aby ułatwić sprawę Sir Stephenowi, przytrzymać ją, jeśli się bronila. Zostawał zresztą bardzo rzadko i tylko na wyraźne żądanie Sir Stephena. Nie zdejmował ubrania, tak jak wówczas pierwszego wieczoru, nie odzywał się i palił papierosa za papierosem, dorzucając od czasu do czasu do kominka i serwując trunki Sir Stephenowi - sam jednak nie pił. O czuła się tak, jakby patrzył na nią pogromca, który obserwuje wytresowane przez siebie zwierzę, uważnie odnotowujący jej doskonałe posłuszeństwo, które przynosiło zaszczyt jego

kunstowi, lub jeszcze lepiej przyboczny księcia, lub zbir przyglądający się w obecności herszta bandy prostytutce, którą wyszukał dla niego na ulicy. O tym, że całkowicie wszedł w rolę pomocnika i sługi świadczył fakt, iż o wiele uważniej śledził twarz Sir Stephena niż jej - O nie odczuwała żadnej rozkoszy, nawet gdy to w niej zatapiał swoje spojrzenie, gdyż wyrażało ono cześć, uwielbienie i wdzięczność wobec Sir Stephena, radość, iż zechciał czerpać rozkosz z czegoś, co dał mu Renę. Niewątpliwie wszystko byłoby prostsze, gdyby Sir Stephen lubił chłopców - wówczas Renę, który wprawdzie nie miał podobnych skłonności, z pewnością zgodziłby się jednak zaspokoić wszelkie jego zachcianki. Jednakże Sir Stephena zajmowały tylko kobiety. O zdawała sobie sprawę, że pod postacią jej ciała, które pomiędzy siebie dzielili, dostępowali czegoś bardziej tajemniczego, a być może i bardziej przejmującego niż miłosna komunia - czegoś, co pomyślane zostało w sposób dla niej uciążliwy, lecz czemu nie mogła odmówić prawdy i siły. Jednakże było w tym coś niezrozumiałego dla O. W Roissy należała w tej samej chwili i miejscu do Renę i innych mężczyzn równocześnie. Dlaczego w obecności Sir Stephena, Renę nie tylko się z nią nie kochał, lecz nawet niczego jej nie rozkazywał (przekazywał jedynie rozkazy Sir Stephena)? Zadała mu to pytanie, z góry znając odpowiedź.

- Z szacunku - powiedział Renę.
- Ale przecież ja należę do ciebie - odparła O.
- W pierwszej kolejności należysz do Sir Stephena.

Była to szczerza prawda, w tym przynajmniej sensie, że Renę odstąpił ją swemu przyjacielowi całkowicie, tak że najmniejsza zachcianka Sir Stephena dotycząca jej osoby miała pierwszeństwo przed jego własnymi potrzebami i życzeniami. Kiedyś na przykład Renę postanowił, że zjedzą razem obiad, a potem pójdą do teatru, gdy na godzinę przed umówionym spotkaniem zadzwonił Sir Stephen, żeby przyprowadzić mu O. Renę przyszedł po nią do studia, tak jak byli umówieni, lecz po to by odstawić ją pod drzwi Sir Stephena. Ten jeden jedyny raz O spytała go czy mógłby poprosić Sir Stephena o przełożenie terminu, tak bardzo chciała by spędzili wieczór razem. Renę odmówił.

- Moje biedactwo - powiedział - nie rozumiesz jeszcze, że to nie zależy od ciebie i że to nie ja jestem twoim panem, który może tobą rozporządzać.

Nie tylko odmówił, lecz na dodatek opowiedział wszystko Sir Stephenowi i w jej obecności poprosił Sir Stephena, żeby ją przykładowo za to ukarał, tak by nie śmiała na przyszłość myśleć sobie, że zdoła się wykpić.

- Oczywiście - rzekł na to Sir Stephen.

Działo się to w owalnym pokoiku sąsiadującym z salonem, wyłożonym mozaikową posadzką, z inkrustowanym macią perłową, czarnym stolikiem na jednej nóżce jako jedynym umeblowaniem. Renę został nie więcej jak trzy minuty, akurat tyle ile trzeba było aby na nią donieść i usłyszeć odpowiedź Sir Stephena. Potem pomachał mu ręką na pożegnanie, uśmiechnął się do O i wyszedł. Widziała przez okno jak przemierza dziedziniec - nie odwrócił się. Usłyszała trzaśnięcie drzwi samochodu, następnie zapuszczany silnik i spostrzegła naraz w małym lusterku na ścianie, swą własną twarz: była blada z rozpacz i strachu. W chwilę potem, kiedy przechodziła obok Sir Stephena, który otworzył przed nią drzwi, spojrzała machinalnie w jego twarz: była równie blada jak jej własna. Przez moment błysnęła i zgasła w niej myśl, że on ją kocha. I choć nie wierzyła w to, a nawet drwiła z samej siebie, że mogła tak pomyśleć, poczuła się silniejsza i na pierwsze jego skinienie rozebrała się posłusznie. I oto po raz pierwszy odkąd kazał jej do siebie przychodzić, po dwa, trzy razy w tygodniu, kiedy to postępował z nią powoli, kazał jej niekiedy czekać przez godzinę, już nagiej, zanim się nią zajął, wysłuchując bez słowa jej błagań (gdyż chłostał ją niekiedy), powtarzając wciąż te same żądania w tej samej kolejności, jakby to był jakiś rytuał, tak

że wiedziała już kiedy ma go pieścić ustami, kiedy paść na kolana, z głową wtuloną w siedzenie sofy, wystawiając jedynie pośladki, pomiędzy które wchodził już bez trudu - tak dobrze została przetarta ta droga - otóż, po raz pierwszy, pomimo strachu, a może właśnie dzięki niemu, pomimo rozpaczki z powodu zdrady jakiej dopuścił się Renę, a może za sprawą tejże rozpaczki - oddała mu się zupełnie. Po raz pierwszy również jej oczy miały w sobie tak słodki wyraz przyzwolenia, kiedy natrafiły na jasne, płonące oczy Sir Stephena, który nagle zwrócił się do niej po francusku, w dodatku rezygnując z formy "pani":

- Zaknebluję ci teraz usta, O - chciałbym cię wychłostać do krwi. Czy mi pozwolisz?

- Należę do pana - odpowiedziała O.

Stała pośrodku salonu, z podniesionymi i spiętymi razem rękoma, które za pomocą takich samych jak w Roissy bransolet przypięte miała do kółka w suficie, gdzie niegdyś wisiał żyrandol, a w pozycji tej piersi wypinały się naprzód. Sir Stephen pieścił je najpierw, potem zaczął je całować, wreszcie ucałował ją w usta - raz, drugi, dziesiąty (nigdy wcześniej tego nie robił). A kiedy już włożył jej knebel, który wypełnił jej usta smakiem mokrej tkaniny i wepchnął jej język w głąb gardła, że nie mogła ścisnąć zębów, chwycił ją delikatnie za włosy. Kołysząc się na łańcuchu, ledwie dotykała bosymi stopami ziemi.

- Wybacz mi - wyszeptał (nigdy nie prosił jej o przebaczenie), po czym puścił ją i zaczął chłostać.

Kiedy Renę przyszedł do niej po północy, spędziwszy samemu wieczór, który planowali we dwoje, O leżała w swojej białej pościeli, nylonowej koszuli nocnej, cała drżąca. Sir Stephen odprowadził ją i położył do łóżka. Na koniec ucałował ją raz jeszcze. Powiedziała mu o tym. Powiedziała również, że nigdy już nie chce być nieposłuszna wobec Sir Stephena, świadoma tego, że Renę wyciągnie stąd wniosek, iż powinna i lubi być chłostana, co było prawdą (lecz nie był to wniosek jedyny). Była pewna, że tak samo jest to potrzebne Renę. O ile miał zawsze opory by ją wychłostać i trudno mu było się na to zdecydować, o tyle uwielbiał patrzeć jak się szamocze i słuchać jej krzyków. Raz jeden Sir Stephen użył wobec niej pejcza w obecności Renę, który przycisnął ją wtedy do stołu i przytrzymał. Gdy opadła jej przy tym spódnica, podniósł ją. Być może bardziej niż czego innego potrzebował tej świadomości, że podczas gdy on pracuje lub spaceruje, O wije się z bólu i trzęsie od płaczu pod batogiem, daremnie błagając łaski i wie przy tym, że wszystkie te cierpienia i upokorzenia zadawane są jej z woli kochanka, którego kocha i znosi je dla jego rozkoszy. W Roissy kazał ją chłostać lokajom. W Sir Stephenie odnalazł srogiego pana i mistrza, którym sam nie potrafił być. Fakt, że człowiek uwielbiany przez niego jak nikt na świecie znajduje upodobanie w chłostaniu jej, sprawiał, że rosło jego uczucie do niej. O wiedziała o tym dobrze. Wszystkie te usta oblepiające jej usta, ręce oblapiające jej piersi i łono, intymne narządy wpychające się w głąb jej ciała, co było najlepszym dowodem, że została ostatecznie sprostytuowana, jednocześnie w jakiś sposób ją uświęcały. Wszystko to było dla niego niczym wobec tego, co dawał mu w tym względzie Sir Stephen. Za każdym razem gdy O wracała od niego, Renę szukał na niej boskiego śladu. O wiedziała, że doniósł na nią parę godzin temu tylko po to, by sprowokować nowe, bardziej okrutne ślady. Wiedziała również, że powód tej prowokacji mógł już zniknąć, tymczasem dzieło Sir Stephena było nieodwracalne. Tym gorzej (było jednak lepiej niż myślała). Renę, podekscytowany długo oglądał jej szczupłe ciało naznaczone grubymi, sinymi pręgami, które niczym sznury oplatały jej plecy, pośladki, brzuch i piersi, krzyżując się w niektórych miejscach. Gdzienigdzie widać było kropelki zaschniętej krwi.

- Kocham cię - wyszeptał.

Drżącymi rękoma zdjął ubranie, zmniejszył światło i położył się obok niej. Jęczała w ciemności cały czas, gdy się z nią kochał.

Po upływie miesiąca rany na ciele O zaczęły znikać. W miejscach, gdzie skóra była rozerwana pozostały jaśniejsze smugi, jak po starych bliznach. Czy mogłoby jednak zniknąć wspomnienie, o którym Renę i Sir Stephen przypominali jej swym zachowaniem. Renę posiadał rzecz jasna, klucz do mieszkania O. Nie przyszło mu do głowy, żeby dać również jeden Sir Stephenowi, prawdopodobnie dlatego, że ten nigdy nie wyraził życzenia aby odwiedzić O. Jednakże fakt, iż doprowadził ją do siebie owego wieczoru, dał mu do myślenia, że być może te drzwi, do których klucz ma tylko on i O, Sir Stephen uznać może za jakieś ograniczenie czy przeszkodę z jego strony. To śmieszne, żeby oddać mu O, odmawiając równocześnie wolnego do niej wstępu o każdej porze. Krótko mówiąc, kazał dorobić dodatkowe klucze, które dał następnie Sir Stephenowi, O zaś powiadomił o tym dopiero wtedy, gdy tamten zgodził się je przyjąć. Ani myślała się sprzeciwiać, a wkrótce też zauważyła, że w tym oczekiwaniu na Sir Stephena znajduje jakiś trudny do pojęcia, wewnętrzny spokój. Czekala długo, rozmyślając o tym czy zaskoczy ją w środku nocy, czy skorzysta z nieobecności Renę, czy przyjdzie sam i czy w ogóle przyjdzie. Nie śmiała mówić o tym z Renę. Pewnego ranka, kiedy dziwnym trafem nie przyszła posługaczka, O zaś wstała później niż zwykle - o dziesiątej - i zbierała się właśnie do wyjścia, usłyszała naraz klucz przekręcany w zamku. Rzuciła się do drzwi z okrzykiem:

- Renę! - gdyż Renę odwiedzał ją nieraz o tej porze i pomyślała tylko o nim.
W drzwiach stał jednak Sir Stephen, który uśmiechnął się do niej i powiedział:
- No, cóż, wezwijmy tu Renę.

Lecz Renę zatrzymywało w pracy jakieś ważne spotkanie i mógł przyjść najwcześniej za godzinę. O z bijącym gwałtownie sercem (sama nie wiedząc dlaczego) patrzyła jak Sir Stephen odkłada słuchawkę na widelki. Posadził ją na łóżku, ujął jej głowę w dłonie i rozchylił jej usta jak do pocałunku. Była tak roztrzęsiona, że z pewnością osunęłaby się, gdyby jej nie przytrzymał. Pomógł jej usiąść prosto. Nie rozumiała skąd ten straszny niepokój, strach ściskający za gardło, bo przecież czego mogła się spodziewać ze strony Sir Stephena, czego by jeszcze nie знаła? Poprosił by się rozebrała i przyglądał się bez słowa jak spełnia tę prośbę. Czyż nie zdążyła już przywyknąć do tego by rozbierać się przy nim, tak samo jak przyzwyczała się do milczenia i oczekiwania na jego rozkazy? Musiała przyznać się przed samą sobą, że się oszukuje i że jeśli czuje się wytracona z równowagi przez to miejsce i czas, przez fakt, że w tym pokoju rozbierała się wyłącznie przy Renę, to prawdziwy powód jej niepokoju był ten sam co zawsze: wywłaszczenie jej z samej siebie. Jedyna różnica polegała na tym, że wywłaszczenie to odczuwała boleśniej, gdyż nie działo się to, jak przedtem, w miejscu, gdzie w jakiś sposób łatwiej byłoby jej to znieść, już nie nocą, która upodabnia wszystko do snu, jakiejś potajemnej egzystencji, w przeciwieństwie do dnia - tak samo jak życie w Roissy, które tak różne było od jej zwykłego życia z Renę. Światło majowego dnia wydobywało tę tajemnicę na wierzch: odtąd rzeczywistość nocy i rzeczywistość dnia stawały się jedną rzeczywistością. Tak będzie od tej chwili - i O pomyślała: wreszcie. Oto skąd brało się dziwne poczucie bezpieczeństwa, pomieszane z trwogą, któremu się teraz poddawała, a które wcześniej przeczuła. Odtąd bowiem nie będzie już więcej tego rozziewu, martwego czasu, czasu odpuszczenia. Ten oczekiwany już tu jest, jako pan i mistrz. Sir Stephen miał inne wymagania i inną władzę niż Renę. I mimo, iż O kochała żarliwie Renę, a on ją, istniała pomiędzy nimi pewnego rodzaju równość (choćby tylko równość wieku), która unieważniała poczucie całkowitego posłuszeństwa, świadomość podporządkowania. To czego od niej żądał, pragnęła natychmiast sama, właśnie dlatego, że to on tego żądał. Lecz jak to już zostało powiedziane, wyznał przed nią swój podziw i szacunek wobec Sir Stephena. Była posłuszna rozkazom Sir Stephena jako takim i była wdzięczna za nie. Zwracał się do niej po francusku lub angielsku, mówiąc do niej "ty" albo "pani", ona zaś nazywała go zawsze Sir Stephenem, jak cudzoziemka, albo służąca. Przyszło jej na myśl, że odpowiedniej byłoby zwracać się do niego: "O, panie", gdyby przeszło to przez jej usta, wobec niej samej natomiast właściwsze byłoby słowo niewolnica. Pomyślała również, że wszystko będzie dobrze, póki Renę kocha w niej niewolnicę Sir Stephena. Teraz więc, położywszy ubranie na łóżku i przywdziawszy pantofle na wysokich obcasach, czekała ze spuszczoneym wzrokiem, stojąc przed

Sir Stephenem, który oparł się o okno. Słońce było już wysoko - przenikało przez zasłony w kolorze groszku i ogrzewało jej biodra. O nie chciała dodać sobie w ten sposób odwagi, lecz pomyślała natychmiast, że powinna mocniej się uperfumować, że nie pomalowała koniuszków piersi i że na szczęście ma na sobie pantofelki, bo lakier na paznokciach zaczął jej właśnie schodzić. Potem przyszło jej naraz do głowy, że w istocie czeka tak w tej ciszy i świetle na to, aż Sir Stephen skinie na nią lub każe upaść na kolana, rozpiąć go i pieścić. Lecz nie. Zrozumiawszy, że była odosobniona w swych myślach, zaczerwieniła się raptem, a jednocześnie wydało się jej śmieszne to, że się czerwieni: taka wstydlivość u nierządnic! W tym momencie Sir Stephen poprosił by usiadła przy toaletce i posłuchała. Toaletką był tak naprawdę niski stoliczek przy ścianie, na którym leżały różne szczotki i flakoniki, nad nim zaś wisiało wielkie lustro z okresu Restauracji, w którym O siedząc w niskim karle mogła się swobodnie przejrzeć. W trakcie swojej przemowy Sir Stephen przechadzał się w tę i z powrotem i od czasu do czasu jego odbicie przechodziło przez lustro, w tyle za postacią O, wydając się bardziej odległe, gdyż tafla lustra była nieco zielonkawa i zmacona. O siedziała z rozchylonymi udami i ze zwisającymi po boku rękoma, miała chęć uchwycić to odbicie i zatrzymać w miejscu - łatwiej byłoby jej wówczas odpowiadać. Sir Stephen bowiem w precyzyjnej angielszczyźnie zadawał pytanie za pytaniem. O nie pomyślałaby nigdy, że mógłby kiedykolwiek jej zadać. Zaledwie zaczął, przerwał na chwilę, żeby poprawić ją na siedzeniu, każąc jej przesunąć się w przód - musiała przewiesić jedną nogę przez poręcz karła, drugą zaś trzymała nieco zgiętą na podłodze. W ten sposób ukazywała w lustrze swym własnym i Sir Stephena oczom swoje rozchylone wejście, wyglądające tak jakby opuścił je przed chwilą jakiś niewidzialny kochanek. Sir Stephen powrócił do swoich pytań, które stawiał z sędziowską stanowczością i przebiegłością śledczego. Nie widziała go kiedy mówił, widziała za to siebie odpowiadającą. Czy odkąd wróciła z Roissy należała do jakiegoś mężczyzny poza nim i René? Nie. Czy poznała kogoś komu chciałaby się oddać? Nie. Czy masturbuje się w nocy, gdy jest sama? Nie. Czy miała przyjaciółki, którym pozwalała się pieścić, albo które sama pieściła? Nie (to "nie" było trochę niepewne). A przyjaciółki, których pożałowała? No tak, Jacqueline, chociaż przyjaciółka to za wiele powiedziane. Należałoby raczej powiedzieć koleżanka, jak nazywają się nawzajem dziewczęta w pensjonatach. Po tej odpowiedzi Sir Stephen spytał czy ma fotografię Jacqueline, nawet pomógł jej wstać, by mogła ją odszukać. René, zdyszany gdyż wbiegł na trzecie piętro, zastał ją w salonie. O stała przy stole, na którym połyskiwały czarno-białe - niczym kałuże wody - wszystkie zdjęcia Jacqueline. Sir Stephen siedzący obok, na blacie stołu, brał jedno po drugim z rąk O, a następnie odkładał. Drugą ręką ścisnął jej łono. Od chwili gdy przywitał się z René - nie cofając bynajmniej ręki, a nawet wpychając ją głębiej - nie zwracał się już więcej do niego. Wydało się jej to oczywiste: umowa pomiędzy Sir Stephenem a René dotyczyła wprawdzie jej, lecz pozostawiała ją z boku - sama była tylko jej przedmiotem i przyczyną. Skończyły się pytania, nie musiała już udzielać żadnych odpowiedzi -to co miała robić, czym miała być, decydowało się poza nią. Zbliżało się południe. Słońce padające na stół zawinęło brzegi fotografii. O chciała je zebrać i rozprostować, żeby się nie niszczyły, lecz jej ruchy były mocno niepewne, tak ręka Sir Stephena zdążyła ją już rozpalic. Nie dosięgła ich nawet, jęknęła i znalazła się naraz na plecach, leżąc na stole, gdzie popchnął ją Sir Stephen, pośród fotografii, z rozłożonymi, zwisającymi nogami. Nie dotykała stopami podłogi, jeden pantofel zsunął się i upadł bezgłośnie na biały dywan. Słońce świeciło jej prosto w twarz: zamknęła oczy. Dużo później przypomniała sobie, a w pierwszej chwili wcale jej to nie zdziwiło, że kiedy tak leżała, była świadkiem dialogu pomiędzy Sir Stephenem a René, czując się tak, jakby jej to zupełnie nie dotyczyło, a jednocześnie jakby przeżyła to już kiedyś. I rzeczywiście przeżyła już coś takiego, wówczas gdy René zabrał ją po raz pierwszy do Sir Stephena i kiedy rozmawiali o niej w podobny sposób. Za pierwszym jednak razem była dla Sir Stephena nieznaną, a pośród nich dwóch René mówił więcej. Od tego czasu Sir Stephen zdążył nagiąć ją do swoich najwmyślniejszych zachcianek, ukształtować na swoją miarę, sprawić, że spełniała posłusznie, jakby samoistnie, najbardziej upokarzające żądania. Nie miała do oddania niczego, czego by już od niej nie uzyskał. Przynajmniej tak uważała. Teraz mówił on, tak zazwyczaj małowówny, a jego słowa, jak i słowa René, gdy odzywał się czasem, wskazywały, że nie po raz pierwszy wracali do rozmowy na jej temat. W większej części chodziło o to, co jeszcze można z niej wydobyć i jak

wspólnie skorzystać z tego, czego się obaj przy niej nauczyli. Sir Stephen zgodził się, że O jest nieporównanie bardziej pociągająca, gdy ma na ciele ślady, jakiegokolwiek by one nie były, może dlatego, że dzięki nim nie może niczego udawać, wskazują one natychmiast komuś kto je ogląda, że wobec niej wszystko jest dozwolone. Gdyż inną sprawą jest o tym wiedzieć, inną zaś mieć nieustannie przed oczami tego dowód. René miał rację chcąc by była chłostana. Postanowili, że będą robić to w dalszym ciągu - niezależnie nawet od przyjemności jakiej dostarczają im jej krzyki i łzy - tak często jak to będzie konieczne, żeby stale miała na ciele ślady bicia. O słuchała leżąc na wznak, rozpalona, choć nieruchoma i wydawało się jej, że Sir Stephen, przez jakąś substytucję, zwraca się do niej. Jak gdyby był w jej ciele, jakby to on doświadczył tego niepokoju, tego strachu, pohańbienia, lecz również potajemnej dumy i rozdzierającej rozkoszy, której doznawała zwłaszcza pośród tłumu przechodniów, gdy wsiadała do autobusu, a także w studiu wśród modelek i techników - dumy, że jeśli którejś z tych istot przydarzyłby się wypadek, trzeba byłoby ją ułożyć na bruku i wezwać lekarza, to nawet wtedy, bezsilna i naga strzegłaby swego wewnętrznego sekretu. Każda istota, tylko nie ona: to było niezależne od jej milczenia, gdyż jej sekret nie należał do niej. Nawet gdyby chciała, nie mogła sobie pozwolić na najmniejszy kaprys - taki też był sens jednego z pytań Sir Stephena -nie mogła - ot, tak, na własne konto - zagrać w tenisa, albo popływać, nie przyznając się do tego natychmiast. Czowała się spokojna, że było jej zabronione - całkiem materialnie, tak jak krata klasztorna w sposób materialny broni mniszkom wyjścia. Jakże tu liczyć, że Jacqueline jej nie odepchnie, nie narażając się jednocześnie na ryzyko opowiedzenia jej całej prawdy, czy choćby jej części? Słońce zdążyło się już obrócić i nie świeciło jej prosto w twarz. Jej łopatki przykleiły się do błyszczących fotografii, na których leżała, a kolana wyczuły szorstką tkaninę marynarki Sir Stephena, który się do niej zbliżył. René i on chwycili ją za ręce i postawili na nogi. René wziął jej pantofelki. Miała się ubrać. Było to podczas śniadania w Saint-Cloud, nad brzegiem Sekwany, kiedy Sir Stephen znalazłszy się z nią sam na sam przy stoliku, zaczął ją wypytywać. U stóp żywopłotu z ligustru okalającego taras, na którym rozstawione były stoliki nakryte białymi obrusami, przebiegał pas kwitnących, ciemnoczerwonych piwonii. O długo nie mogła ogrzać nagimi udami metalowego siedzenia krzesła, na którym spoczęła, posłusznie unosząc suknię, zanim jeszcze Sir Stephen dał jej znak. Słysząc było szmer wody uderzającej o burty łódek przycumowanych do drewnianego pomostu zamykającego esplanadę. Sir Stephen siedział naprzeciw O, która odpowiadała powoli, zdecydowana nie powiedzieć jednego słowa, które nie byłoby prawdą. Chciał wiedzieć, dlaczego podobała się jej Jacqueline. Przecież to takie nieskomplikowane: była zbyt piękna dla O, jak te wielkie lale wręczone biednym dziewczynom, tak wielkie jak one same, których boją się dotknąć. Jednocześnie wiedziała też dobrze, że skoro nie szukała z nią zbliżenia, to dlatego, że nie miała na to ochoty. W tym miejscu podniosła oczy, które dotąd wpatrzone były w rosnące w dole piwonie i spostrzegła, że Sir Stephen nie spuszcza wzroku z jej ust. Słuchał jej, czy też nie - może zwracał uwagę jedynie na dźwięk jej głosu, ruchy warg? Zamilkła gwałtownie, a spojrzenie Sir Stephena powędrowało w górę i skrzyżowało się z jej własnym. To co w nim wyczytała było dla niej tak oczywiste, dla niego zaś równie oczywiste było, że odczytała to właściwie, że oboje zbledli. Skoro ją kochał, czy wybaczy jej, że to dostrzegła? Nie była w stanie oderwać od niego oczu, uśmiechnąć się, lub choćby powiedzieć cokolwiek. Jeśli ją kochał, czy miałyby to jednak jakieś znaczenie? Gdyby groziła jej śmierć, pozostałaby równie nieruchoma, niezdolna do najmniejszego gestu, do ucieczki - nogi nie uniosłyby jej. Bez wątplenia nie żądał od niej nigdy nic poza posłuszeństwem, póki nie zaspokoił swojej żądzy. Czy na pewno jednak, od czasu gdy René przekazał mu O, wszystko dałoby się wytłumaczyć żądzą? To, że wzywał ją do siebie coraz częściej, niekiedy tylko dla samej jej obecności, nie żądając od niej niczego? Siedział naprzeciw niej równie milczący i nieporuszony jak ona. Mężczyźni przy sąsiednim stoliku, o wyglądzie businessmanów, rozmawiali głośno popijając kawę, tak czarną i mocną, że jej zapach docierał aż do nich. Dwie Amerykanki, wyniosłe i eleganckie, przerwały posiłek, żeby zapalić papierosa; żwir skrzypiał pod nogami kelnerów - jeden z nich podszedł, żeby napełnić szklanekę Sir Stephena, w trzech czwartych opróżnioną, lecz czy miało jakiś sens nalewać komuś, kto jest zastygłą statua, somnambulikiem? Nie sprzeciwiał się. O patrzyła zachwycona jak jego oczy - szare i pałające - odrywają się od jej oczu tylko po to, by przewędrować przez jej ręce,

piersi i znów powrócić. Ujrzała na jego twarzy jakby cień rodzącego się uśmiechu, na który ośmieliła się odpowiedzieć. W dalszym ciągu jednak nie mogła wydusić słowa. Cud, że oddychała.

- O... - odezwał się Sir Stephen.

- Tak - odpowiedziała O cicho.

- O, to co mam pani do powiedzenia ustaliliśmy wspólnie z Renę. Lecz ja także... - przerwał.

O nie dowiedziała się nigdy, czy to dlatego, że zamknęła oczy z przejęcia, czy też jemu zabrakło już tchu. Kelner zmienił nakrycie i podał jej menu, żeby wybrała deser. O podała je Sir Stephenowi.

- Suflet?

- Tak, suflet.

- Będzie za dwadzieścia minut.

-Dobrze, za dwadzieścia minut. Kelner odszedł.

- Potrzeba mi więcej niż dwadzieścia minut - powiedział Sir Stephen.

Mówił dalej równym głosem, a to co mówił prędko przekonało ją, że co najmniej jedna rzecz jest pewna: to że ją kochał, że nic się nie zmieniło, jeśli nie uważać za zmianę nieoczekiwanego tonu szacunku i uniesienia:

- Byłbym szczęśliwy gdyby zgodziła się pani... - zamiast zwykłej prośby.

Jak zawsze chodziło wszakże o rozkazy, od których O i tak nie mogła się uchylić. Zwróciła na to uwagę Sir Stephenowi. Zdawał sobie z tego sprawę.

- Niemniej proszę panią o odpowiedź - powiedział.

- Zrobię to czego pan zażąda - odrzekła O, a słowa te powróciły do niej echem:

"Zrobię wszystko czego zażadasz" - tak mówiła kiedyś do Renę. Wyszepiała:

- Renę...

Sir Stephen usłyszał to.

- Renę wie czego chcę od pani. Proszę posłuchać.

Mówił po angielsku, cichym, stłumionym głosem, żeby nie usłyszano go przy sąsiednich stolikach. Milkł ilekroć zbliżał się któryś z kelnerów i wracał do przerwane go zdania dopiero gdy był daleko. To co mówił mogło się wydawać niezwykle w tym spokojnym, pełnym ludzi miejscu, a przecież jeszcze bardziej niezwykle było z pewnością to, iż mógł to mówić, O zaś słuchać go, z taką naturalnością. Najpierw przypomniał jej, że pierwszego wieczoru, kiedy przyszła do niego dał jej rozkaz, którego nie usłuchała, za co ją słusznie uderzył - nigdy potem nie powtórzył już tego rozkazu. Czy teraz zgodziłaby się spełnić to, czego przedtem odmówiła? O zrozumiała, że nie wystarczy przytaknąć i że on chce usłyszeć od niej wyraźnej odpowiedzi, że owszem, będzie się masturbować zawsze ilekroć tego zażąda. Powiedziała to i ujrzała przed oczami żółto-szary salon, wyjście René, swój bunt z owego pierwszego wieczoru, ogień pomiędzy rozłożonymi nogami kiedy leżała naga na dywanie. A więc dziś wieczór, w tym samym salonie... Lecz nie, Sir Stephen nie precyzował tego, mówił dalej. Zwrócił jej uwagę, że Renę nie posiadał jej nigdy w jego obecności (zresztą też nikt inny), podczas gdy on robił to w obecności Renę (tak samo jak liczni mężczyźni w Roissy). Nie powinna stąd wnosić, że tylko Renę chciałby aby oddawała się w ten poniżający sposób (a być może też czerpała z tego rozkosz) komuś, kto jej nie kocha, przy kimś kto ją kocha (nalegał na to tak długo i tak bezwzględnie: przed każdym z jego przyjaciół otworzyłaby natychmiast uda, pośladki, usta - że O przyszło na myśl, iż ta bezwzględność dotyka go w tym samym stopniu co i ją). Z całego zdania zatrzymała dla siebie tylko ostatnie słowa: "ktoś kto ją kocha". Czy potrzebowała innego dowodu? Zresztą on sam zawiezie ją ponownie do Roissy, jeszcze tego lata. Czy nie dziwiło jej nigdy, że Renę a potem on trzyma ją w zupełnej izolacji? Widuje wszak tylko ich dwóch, razem bądź z osobna. Sir Stephen nie zapraszał nigdy O gdy gościł

towarzystwo w swoim domu przy rue de Poitiers. Nigdy nie poproszona została na śniadanie ani na obiad. Nigdy też Renę nie przedstawił jej żadnego ze swych przyjaciół, poza rzecz jasna Sir Stephenem. Tak samo będzie i teraz odkąd on, Sir Stephen, uzyskał przywilej dysponowania jej osobą. Niech nie pomyśli sobie, że należąc do niego będzie przez to mniej prywatną własnością niż dotychczas - wręcz przeciwnie (co jednak przejmowało O do głębi, to fakt iż Sir Stephen stawał się dla niej dokładnie i identycznie tym kim Renę). Pierścień z żelaza i złota, który nosi na lewej ręce (czy pamięta, że jest tak ciasny, iż z ledwością udało się go wcisnąć na palec? To dlatego, żeby nie mogła go zdjąć) oznacza, że jest niewolnicą, lecz niewolnicą wspólną. Tak się złożyło, że od jesieni nie spotkała nikogo ze stowarzyszonych w Roissy, kto rozpoznałby te żelaza, lub przyznał się do tego, że je rozpoznał. Słowo żelaza, użyte w liczbie mnogiej, które wydało się jej dwuznaczne, kiedy Sir Stephen powiedział jej, że żelazo do niej pasuje, stanowiło w gruncie rzeczy formułę rozpoznawczą i nie było w nim dwuznaczności. Sir Stephen nie skorzystał z tego, co wynika z tej formuły, to znaczy do kogo należą te żelaza, które nosi. Gdyby zadał teraz to pytanie O, co by odpowiedziała? O zawahała się.

- Do Renę i do pana - odpowiedziała.

- Nie - rzekł Sir Stephen. - Do mnie. Renę pragnie aby należała pani przede wszystkim do mnie.

O dobrze o tym wiedziała, dlaczego udawała, że jest inaczej? Już niedługo - w każdym razie zanim powróci do Roissy - przyjdzie jej zgodzić się na przyjęcie znaku ostatecznego, który nie zwolni jej wprawdzie od tego by była nadal wspólną niewolnicą, lecz będzie ponadto symbolem jej szczególnej przynależności do niego, Sir Stephena. W porównaniu z tym znakiem ślady bicia czy różgi będą doprawdy czymś dyskretnym i błahym (jaki znak, na czym będzie polegał i dlaczego Sir Stephen nazwał go ostatecznym?). O przerażona i zafascynowana zarazem umierała z ciekawości, by dowiedzieć się czegoś więcej. Z pewnością jednak Sir Stephen nie wyjaśni jej tego od razu, nie dzisiaj. Było prawdą, że przyjdzie jej na to zgodzić i to we właściwym sensie tego słowa, bo nie narzucano jej siłą niczego, na co by się wcześniej nie zgodziła - mogła odmówić, nic nie zmuszało jej by była niewolnicą, tylko jej miłość i to, że była niewolnicą. Któż by jej zabronił odejść? Na razie jednak, zanim zostanie naznaczona w ów szczególny sposób i zanim Sir Stephen nie nauczy jej takiego sposobu biczowania, który pozostawia na ciele trwałe ślady (jak to ustalili wspólnie z Renę) ma czas - akurat tyle, żeby sprowadzić mu i oddać Jacqueline. W tym momencie O zdumiona uniosła głowę i spojrzała na Sir Stephena. Dlaczego? Dlaczego Jacqueline? Jeśli nawet Jacqueline interesowała Sir Stephena, to dlaczego poprzez nią - jaki to miało związek z O?

- Z dwóch powodów - odrzekł Sir Stephen. - Pierwszy, mniej ważny to ten, że pragnę widzieć jak kocha się pani z inną kobietą.

-Jakże jednak wyobraża pan sobie - krzyknęła O - zakładając nawet, że mnie zechce, aby udało się nakłonić ją do robienia tego w pańskiej obecności?

- To doprawdy błahostka - odpowiedział Sir Stephen. - W razie potrzeby podstępem. Liczę zresztą, że uzyska pani więcej, gdyż drugi powód dla którego chcę aby ją pani uwiodła jest taki, że ma pani ją sprowadzić do Roissy.

O trzęsącymi się rękami odstawiła filiżankę, tak bardzo zdenerwowana, że wyrzuciła ją rozlewając na biały obrus fusy zmieszane z resztkami cukru. Niczym jakaś wróżka ujrzała naraz w rozlewającej się brunatnej plamie przejmujące obrazy: błyszczące oczy Jacqueline stojącej przed lokajem Pierre'm, jej odsłonięte biodra, których dotąd naprawdę nie widziała, równie złociste jak jej piersi, pod zakasaną suknią z czerwonego aksamitu, łzy spływające po jej delikatnych, puszystych policzkach, umalowane usta otwarte od krzyku, proste włosy nad czołem niczym sucha słoma - nie, to niemożliwe, tylko nie ona, tylko nie Jacqueline.

- To niemożliwe - powiedziała.

- Owszem, możliwe - odrzekł Sir Stephen. - A jak pani sądzi, skąd biorą się dziewczęta w Roissy? Wystarczy, że sprowadzi ją pani do Roissy i nic więcej nie musi panią obchodzić, a zresztą jeśli będzie chciała odejść, odejdzie. Proszę się tym zająć.

Podniósł się raptownie, rzucając na stół napiwek. O poszła za nim do samochodu, wsiadła. Zaledwie wjechali do lasku, gdy nagle skręcił w jedną z bocznych alejek i wziął ją w ramiona.
ANNE-MARIE I OBRĄCZKI

O wierzyła lub może chciała wierzyć na własne usprawiedliwienie, że Jacqueline się wypłoszy. Wkrótce została wyprowadzona z błędu. Skromna mina z jaką Jacqueline zamykała drzwi swojej garderoby była precyzyjnie obliczona na to by zwabić O, zachęcić ją do sforsowania tych drzwi, których nie mogła jakoś przekroczyć gdy były przed nią szeroko otwarte. Ponieważ decyzja O nie pochodziła koniec końców od niej samej, lecz od wyższego autorytetu, pozbawiona była elementarnej strategii, tak że Jacqueline absolutnie niczego się nie domyślała. Bawiło to O. Czuła niezwykłą rozkosz kiedy na przykład pomagała Jacqueline rozczesać fryzurę po tym jak zdjęła z siebie stroje, w których pozowała do zdjęć i włożyła czarną, wciąganą przez głowę bluzkę i turkusową kolię w kolorze jej oczu - otóż czuła tę nieoczekiwaną rozkosz na myśl o tym, że jeszcze tego samego wieczoru Sir Stephen będzie wiedział o każdym geście Jacqueline, że pozwoliła O dotknąć przez bluzkę swoich drobnych, szeroko rozstawionych piersi, że jej powieki opadły na policzki rześmiami jaśniejszymi od jej skóry, że jęknęła z rozkoszy. Kiedy O obejmowała ją, stawała się bezwładna, nieruchoma, jakby wyczekująca w jej ramionach, pozwalając rozchylić sobie usta, odciągnąć głowę do tyłu pociągnięciem za włosy. O musiała zawsze uważać, żeby oprzeć ją o futrynę albo stół i przytrzymać za łopatki. W przeciwnym razie osunęłaby się na ziemię, z zamkniętymi oczami, bez jednego krzyku. Zaraz potem gdy O wypuszczała ją z objęć, Jacqueline stawała się na powrót chłodna, roześmiana, obca. Mówiła:

- Została mi pani szminka - i wycierała usta.

Taką właśnie O lubiła ją demaskować; odnotowując skrzętnie - żeby to potem wiernie powtórzyć - jej chronicznie zaczerwienione policzki, zapach szałwi jakim przesycony był jej pot. Nie można powiedzieć, żeby Jacqueline się broniła, albo unikała O. Kiedy pozwalała się całować (a jak na razie pozwalała O jedynie na pocałunki, których sama nie odwzajemniała), można by powiedzieć, że w jednej chwili stawała się kimś innym - na dziesięć sekund, na pięć minut. Pozostałą resztę czasu była prowokująca a jednocześnie wymykająca się - z niewiarygodną wręcz zręcznością w sztuce uników, zachowując się zawsze i bezbłędnie tak, by nie dać najmniejszym słowem, gestem czy nawet spojrzeniem punktu zaczepienia czemuś, co pozwoliłoby skojarzyć tę triumfującą z tą podbitą, co pozwoliłoby pomyśleć, że tak łatwo jest zdobyć jej usta. Jedyne co mogłoby wskazywać, że być może pod powierzchnią jej spojrzenia kryje się zwykły niepokój, był niekiedy jak gdyby cień mimowolnego uśmiechu, który na jej trójkątnej twarzy przypominał uśmiech kota, równie ulotny i niezdecydowany, równie niepokojący. Jednakże O spostrzegła szybko, że wywołują go dwie rzeczy, z których Jacqueline nie zdawała sobie sprawy. Pierwsza - to kiedy dawano jej podarunki, druga - to gdy wzbudzała w kimś widoczne pożądanie - pod warunkiem jednakże, że dotyczyło to osób, które mogły być jej przydatne lub dodawać jej splendoru. A więc w czym mogła być jej przydatna O? Czy może wyjątkowo Jacqueline sprawiało po prostu przyjemność, że jest przez nią pożądana, dlatego zarazem, że schlebiał jej podziw O, a równocześnie pożądanie ze strony kobiety wydawało się jej bezpieczne i bez znaczenia? O była w każdym razie przekonana, że jeśli zamiast perłowych klipsów albo najmodniejszej chustki od Hermesa, gdzie „Kocham cię” wydrukowane jest we wszystkich językach świata od japońskiego po irokeski, wręczy jej dziesięć

albo dwadzieścia tysięcy franków, których wydawało się jej ustawicznie brakować, Jacqueline przestanie wymawiać się brakiem czasu by wpaść do niej na śniadanie albo podwieczorek, albo też przestanie wystrzegać się wzajemnych pieszczot. Jednakże nigdy się o tym nie przekonała. Zaledwie zdołała o tym powiedzieć Sir Stephenowi, który zarzucił jej opieszałość w zabiegach, kiedy do sprawy wniósł się René. Pięć albo sześć razy gdy René przychodził po O do pracy i zastawał tam również Jacqueline, wszyscy troje szli razem do Webera, lub do któregoś z angielskich barów nieopodal Madeleine. René przyglądał się Jacqueline z tą samą mieszaniną zainteresowania, pewności i beczelności z jaką patrzył w Roissy na dziewczęta będące do jego dyspozycji. Na wspaniałej i solidnej zbroi Jacqueline ta zuchwałość ślizgała się nie zadrasnąwszy jej nawet, Jacqueline w ogóle jej nie dostrzegała. Paradoksalnie, to O czuła się nią dotknięta, uważając za obelżywe wobec Jacqueline to, co uznawała za całkowicie normalne wobec siebie samej. Czy pragnęła obronić Jacqueline, czy może chciała by należała wyłącznie do niej? Nie umiała sobie na to odpowiedzieć, tym bardziej, że jak na razie jeszcze jej nie posiadała. Jeśli się to w końcu stanie, to trzeba przyznać, że dzięki René. Trzykrotnie zdarzyło się, że po wyjściu z baru, gdzie kazał pić Jacqueline o wiele za dużo whisky - tak że jej policzki stawały się czerwone i lśniące, a wzrok przytępiony - René odwoził ją do domu, zanim udał się wraz z O do Sir Stephena. Jacqueline mieszkała w jednym z tych ponurych pensjonatów rodzinnych przy Passy, gdzie umieszczono kiedyś pierwszych białych emigrantów rosyjskich, którzy już się stamtąd nie ruszyli. Przedsiónek pomalowany był w imitację dębu, pod schodami pełno było kurzu, a zielony plusz świecił wielkimi, przetartymi dziurami. Za każdym razem René - któremu nigdy nie udało się przekroczyć drzwi - chciał ją odprowadzić, za każdym też razem Jacqueline wołała „nie, dziękuję bardzo”, wyskakiwała z samochodu i zatrzaśniała za sobą drzwi, jakby miał ją za chwilę dopaść i spalić język niewidzialnego ognia. To prawda, myślała sobie O, że się za nią pali. Było godne podziwu, że przeczuwała to, choć nikt jej jeszcze nic nie powiedział. Wiedziała przynajmniej, że powinna strzec się René, choć wydawała się tak mało wrażliwa w swojej obojętności wobec innych (lecz czy naprawdę taka była? a co do pozorów niewrażliwości, to oboje z René byli siebie warci). O zrozumiała pewnego razu, gdy Jacqueline pozwoliła jej wejść do swego domu i wpuściła również do swego pokoju, dlaczego tak gwałtownie odmawia zawsze wstępu René. Cóż stałoby się z jej prestiżem, jej czarno-białą legendą z błyszczących stronic eleganckich żurnali, jeśli ktoś inny niż kobieta taka jak O zobaczyłby z jak ohydnej nory wychodzi każdego dnia to pyszne stworzenie. Nigdy nie ścielone łóżko było niedbale nakryte narzutą, spod której wyglądał kawałek szarego i tłustego prześcieradła, gdyż Jacqueline smarowała zawsze na noc twarz kremem, zasypiała zaś zbyt szybko by myśleć o jego wytarciu. Kącik do toalety musiał być kiedyś oddzielony zasłonką, po której zostały tylko dwa kółka na karniszu i parę zwisających nitek. Wszystko dawno straciło wszelką barwę, dywany, papierowe tapety, na których różowo-szare kwiaty pięły się dziwnie, jakby zastygłe w kamień na białej kracie iluzorycznej altany. Trzeba by wszystko to zerwać, zeszkrobać ściany do samego muru, wyrzucić dywaniki, wyszorować podłogę. W każdym razie należałoby natychmiast zmyć grube krechy brudu, który niczym warstwy geologiczne pokrywał emalię umywalki, porządnie przetrzeć i poustawiać flakoniki do demakijażu, pudełka z kremem, wytrzeć puderniczkę i toaletkę, wyrzucić brudne kawały waty, no i pootwierać okna. Lecz prosta, świeża i czysta, pachnąca melisą i dzikim kwieciem, nieskazitelna, doskonała, Jacqueline drwiła sobie ze swej nory. Natomiast tym z czego sobie nie drwiła i co jej było ciężarem, to jej rodzina. To z powodu jej nędznego mieszkania O mogła szczerze przedstawić jej propozycję René - propozycję, która mogła zmienić jej życie - lecz właśnie z powodu rodziny Jacqueline ją przyjęła. Chodziło o to by Jacqueline przeprowadziła się do O. Rodzina to za mało powiedziane - to było plemię czy raczej horda. Babka, ciotka, matka i jeszcze służąca, cztery kobiety od pięćdziesiątki do siedemdziesiątki, umalowane, rozkrzyczane, w górach czarnego jedwabiu, obwieszzone gagatami, szlochające o czwartej rano wśród papierosowego dymu przy słabym świetle czerwonych lampek pod ikonami, cztery kobiety pobrzękujące szklankami z herbatą i świszczące nieprzyjemnie w swoim języku, tak, że Jacqueline oddałaby pół życia, żeby o tym zapomnieć; dostawała szału, zmuszona ich słuchać, na sam dźwięk ich głosu, a nawet na sam ich widok. Kiedy widziała swoją matkę wpychającą do ust kawałek cukru, który popijała następnie herbatą, odstawiała szklankę i wybiegała do swojej

zakurzonej, nieprzyjemnej nory, zostawiając je wszystkie, babkę, matkę i jej siostrę, wszystkie trzy czarne, z farbowanymi włosami i zrosniętymi brwiami, z wielkimi oczami łani wyrażającymi dezaprobatę, w pokoju matki pełniącym rolę salonu, gdzie nawet służąca zdążyła się do nich upodobnić. Wybiegała, trzaskała drzwiami, za nią zaś rozlegało się wołanie:

- Szura, Szura, gołąbeczko - zupełnie jak w powieści Tołstoja, gdyż naprawdę nie miała na imię Jacqueline.

Jacqueline to było imię, którego używała jako modelka, imię, które pozwalało zapomnieć o tym prawdziwym, a wraz z nim o zniechęconym i czułym domu kobiet, imię, które pozwalało zaistnieć w rzeczywistości francuskiej, w solidnym świecie, gdzie istnieją mężczyźni, którzy cię poślubią, a nie zaginą w jakiejś tajemniczej ekspedycji jak jej ojciec, którego nie znała, marynarz floty bałtyckiej zaginiony gdzieś w lodach polarnych. To do niego była podobna, powtarzała sobie z wściekłością i rozkoszą - po nim miała włosy i policzki, śniadą skórę i oczy wydłużone ku skroniom. Jeżeli była za coś wdzięczna matce, to jedynie za to, że dała jej za ojca tego świetlistego demona, którego przyjęły śniegi i lody, tak jak innych ziemi. Chciała natomiast zapomnieć jej to, że pewnego dnia wydała na świat małą ciemnowłosą dziewczynkę, jej przyrodną siostrę, której ojca nie znała, a która nazywała się Natalia i miała teraz piętnaście lat. Natalię widywało się tylko w wakacje. Jej ojca nigdy. Opłacał on jednak pensję Natalii w podparyskim liceum, matce zaś Natalii wypłacał rentę, z której żyły - bez zbytku, za to w bezczynności, która była dla nich rajem - trzy kobiety oraz służąca i Jacqueline, aż do dziś. To co zarabiała Jacqueline jako modelka, jeśli nie wydawała na bieliznę, buty od najlepszych szewców, stroje od wielkich krawców - choć po cenach niskich, to i tak zbyt drogie - przepadało nie wiedzieć gdzie w rodzinnej sakiewce. Z pewnością Jacqueline mogłaby zapewnić sobie utrzymanie, nie brakowało jej do tego okazji. Miała jednego czy dwu kochanków, nie dlatego głównie, że się jej podobali - choć owszem, podobali się jej - lecz żeby sprawdzić czy zdolna jest wzbudzać pożądanie i miłość. Jeden z nich był bogaty i podarował jej piękną, różową perłę, którą nosiła na lewej ręce, lecz Jacqueline nie zgodziła się z nim zamieszkać, a kiedy on nie chciał jej z kolei poślubić, porzuciła go bez żalu, szczęśliwa, że nie jest w ciąży (myślała tak jakiś czas i żyła przez kilka dni w strachu). Nie, mieszkać z kochankiem to stracić twarz, stracić szansę na przyszłość, to postąpić tak jak jej matka z ojcem Natalii - nie, to niemożliwe. Lecz jeśli chodzi o O, wszystko było inaczej. Łatwo było uwierzyć w grzeczną bajeczkę, że Jacqueline przenosi się po prostu do koleżanki na wspólne mieszkanie. O będzie mogła osiągnąć dwa cele na raz: grać rolę kochanka, który utrzymuje i pomaga swojej dziewczynie i rolę zasadniczo sprzeczną z gwarancjami moralnymi. Obecność René była na tyle nieoficjalna, że nie groziła zawaleniu się tej fikcji. Kto jednak wie, czy właśnie ta jego obecność nie była właściwą pobudką decyzji Jacqueline? W każdym razie on należał do O i tylko do niej, można więc było śmiało czynić zabiegi u matki Jacqueline. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się O mieć tak żywego odczucia, że jest zdrajcą, szpiegiem, wysłannikiem jakiejś organizacji przestępczej, jak wówczas gdy znalazła się przed tą kobietą dziękującą jej za przyjaźń, jaką obdarzyła jej córkę. Wtedy również w głębi serca sprzeciwiała się swojej misji, temu co było powodem jej obecności tutaj. Tak, Jacqueline sprowadzi się do niej, lecz nigdy przenigdy O nie będzie na tyle posłuszna Sir Stephenowi, żeby Jacqueline porwać. A jednak... Zaledwie tylko Jacqueline zamieszkała u niej, gdzie, jak się przekonała, przyznano jej - na prośbę René - pokój, który jakoby niekiedy zajmował (jakoby, bo sypiał zawsze w łóżu O), O wbrew wszelkim jej oczekiwaniom ogarnęło natychmiast gwałtowne pragnienie by pojąć Jacqueline za jaką bądź cenę, a to oznaczało, że będzie musiała ją wydać. Poza wszystkim, mówiła sobie, uroda Jacqueline jest wystarczająco mocną rekomendacją, żebym musiała mieć pretensje co do swojej roli, a jeśli nawet powinna zostać ujarzmiona, tak jak ja, to co w tym takiego złego? - wyznawała przed sobą nieśmiało, przejęta jednak głęboko na myśl o tym, jak słodko będzie ujrzeć przed sobą Jacqueline nagą i bezbronną jak ona. Przez tydzień, odkąd Jacqueline sprowadziła się na dobre, uzyskawszy uprzednio wszelkie błogosławieństwo swojej matki, René okazał się nadzwyczaj skwapliwym opiekunem. Dzień w dzień zapraszał obydwie dziewczyny na obiad, zabierał do kina, dziwnym trafem wybierając

między filmami kryminalnymi, historiami o handlarzach narkotyków, albo o handlu niewolnikami. Siadał pomiędzy nimi dwiema, brał rękę każdej z nich i nie odzywał się. Lecz O wiedziała jak przy każdej gwałtownej scenie śledzi wyraz emocji na twarzy Jacqueline. Nie dało się z niej odczytać nic poza odrobiną wstrętu, który odginał w dół kąci jej ust. Potem odwoził je odkrytym samochodem z opuszczonymi szybami, a nocny wiatr i prędkość przyciskały do jędrnych policzków, drobnego czoła i oczu Jacqueline jej jasne, gęste włosy. Potrząsała głową, by wróciły na miejsce i przeciągała po nich ręką, jak to robią chłopcy. Przyjawszy że znajduje się u O, O zaś jest kochanką René, Jacqueline zdawała się uważać za całkiem naturalną rzecz poufałość René. Znosiła bez drgnienia powieki kiedy René wchodził do jej pokoju, pod pretekstem, że zapomniał jakiegoś dokumentu, co nie było prawdą - O wiedziała o tym, gdyż sama opróżniała szuflady wielkiego holenderskiego sekretarzyka zdobionego kwiecistą markieterią, z podwójną skórzaną klapą otwartą na stałe, który zupełnie nie pasował do René. Po co go trzymał? Od kogo go miał? Jego ciężka elegancja, jasne drewno stanowiły jedyne zbytek w tym ciemnym nieco pokoju z oknami na północ, na podwórze i którego szare ściany w kolorze stali i woskowana, zimna podłoga stanowiły kontrast z jasnymi, wesołymi pokojami od strony nabrzeża. To dobrze, Jacqueline się tu nie spodoba. Tym chętniej zgodzi się dzielić z O dwa pokoje od frontu, sypiać z nią, tak jak pierwszego dnia zgodziła się dzielić z nią łazienkę i kuchnię, pomadki, perfumy, posiłki. Co do tego O się jednak myliła. Jacqueline była namiętnie przywiązana do wszystkiego co należało do niej - na przykład do swej różowej perły -lecz absolutnie obojętna na wszystko, co do niej nie należało. Gdyby umieszczono ją w pałacu nie zainteresowałaby się tym, dopóki by jej ktoś nie powiedział: ten pałac jest pani i nie udowodnił tego aktem notarialnym. Czy szary pokój był przyjemny, czy nie, było jej doskonale obojętne i nie dlatego, żeby się z niego wyrwać przychodziła do łóżka O. Tym bardziej nie po to by okazać jej wdzięczność, której wcale nie odczuwała - a którą O jej jednak przypisywała, szczęśliwa równocześnie, że zdołała ją podejść, o czym była przekonana. Jacqueline lubiła rozkosz i wydawało się jej przyjemne i praktyczne brać ją od kobiety, w której rękach niczym nie ryzykowała. W pięć dni po tym jak rozpakowała swoje walizki, których zawartość O pomagała jej rozmieścić, gdy René odwiózł je po raz pierwszy, około 'dziesiątej, po wspólnym obiedzie i wyszedł - stanęła, po prostu naga i jeszcze mokra po kąpieli, w drzwiach pokoju O i spytała:

- Jest pani pewna, że on już nie wróci? - i nie czekając nawet na odpowiedź wśliznęła się do jej łóżka.

Pozwoliła się całować i pieścić, z zamkniętymi oczami, nie odpowiadając jedną choćby pieszczotą, jęcząc z początku cicho, potem głośniej, jeszcze głośniej, wreszcie przechodząc do krzyku. Zasnęła w pełnym świetle różowej lampki, w poprzek łóżka, z rozrzuconymi nogami, piersią nieco skrzyżowaną na bok i z rozłożonymi rękami. Widać było błyszczący pot pomiędzy dwiema piersiami. O przykryła ją i zgasiła światło. Dwie godziny później kiedy spróbowała ponownie, Jacqueline pozwoliła jej na to, lecz wyszeptwała w ciemności:

- Nie męcz mnie za bardzo, muszę wstać wcześniej rano.

Było to w czasie kiedy Jacqueline oprócz wykonywanej okresowo pracy modelki zaczynała siłą w pracy nie mniej nieregularnej, lecz bardzo absorbującej: zaangażowano ją do zagrania małych ról w filmie. Trudno było poznać czy jest z siebie dumna, czy też nie, czy widzi w tym pierwszy krok do kariery, czy chce zostać sławną gwiazdą. Zrywała się rano z łóżka, z wściekłością raczej niż z zapałem, brała prysznic, malowała się w pośpiechu, nie godziła się na więcej jak tylko na dużą filiżankę czarnej kawy, którą O ledwie miała czas jej przyrządzić, po czym pozwalała ucałować sobie czubki palców, z machinalnym uśmiechem i wzrokiem pełnym urazy: O była taka słodka i mdła w białym szlafroku z wigoniowej wełny, z wyszczotkowanymi włosami, umytą twarzą - wyglądała jak ktoś, kto za chwilę na nowo położy się spać. A przecież nie była to prawda. O jakoś nie ośmieliła się do tej pory powiedzieć o tym Jacqueline. Prawda zaś była taka, że każdego dnia kiedy Jacqueline udawała się, o tej porze kiedy dzieci idą do szkoły a drobni urzędnicy do biura, do

studia w Boulogne, gdzie były kręcone zdjęcia, O, która niegdyś zostawała w domu niemal całe przedpołudnie, teraz ubierała się również:

- Wysłałam wam samochód - mówił Sir Stephen - odwiezie Jacqueline do Boulogne, a potem wróci po panią.

Tak więc każdego ranka udawała się do Sir Stephena, a słońce po drodze padało tylko na wschodnie ściany domów - pozostałe były jeszcze nieogrzone, za to cienie pod drzewami w mijanych ogrodach stawały się coraz krótsze. Przy rue de Poitiers jeszcze nie skończono sprzątać. Nora, mulatka prowadziła O do pokoju, gdzie pierwszego wieczoru Sir Stephen zostawił ją samą, płaczącą na łóżku, czekała aż O odłoży na to łóżko swoje rękawiczki, torebkę i ubranie, żeby je stamtąd zabrać i schować do ściennej szafy znajdującej się za nią, do której miała wielki klucz. Potem podawała O lakierowane pantofelki na wysokich obcasach, które stukwały głośno przy każdym kroku i szła przodem otwierając kolejne drzwi, aż do gabinetu Sir Stephena, gdzie przystawała i przepuszczała O przez próg. O nie zdołała się nigdy przyzwycząić do tego ceremoniału i do obnażania się przed tą starą, cierpliwą i bierną kobietą, która nie odzywała się do niej jednym słowem i zaledwie na nią patrzyła, a jednak O czuła się tak samo strasznie jak w Roissy przed oczami lokajów. W filcowych bamboszach posuwała się przed nią cicho, niczym zakonnica. O nie mogła oderwać oczu, idąc za nią, od dwóch końców jej chustki, a za każdym razem gdy otwierała drzwi, od jej ciemnobrazowej chudej ręki, która na porcelanowej klamce wyglądała jakby wytoczona była ze starego drewna. Jednocześnie jednak, w przeciwieństwie do strachu jaki w niej wzbudzała, O odczuwała - i nie znajdowała w tym sprzeczności - pewien rodzaj dumy, że oto ta stara służąca Sir Stephena (kim właściwie dla niego była i dlaczego powierzył jej rolę rajfurki, do której wydawała się tak nie pasować?) jest świadkiem, że ona - jak być może wiele innych dziewcząt, które prowadziła w taki sam sposób - godna jest tego by posługiwał się nią Sir Stephen. Gdyż Sir Stephen kochał ją być może, kochał na pewno i O czuła, że bliska jest chwila, kiedy powie jej to zamiast wyłącznie dawać jej to do zrozumienia - w miarę jednak jak jego miłość i pożądanie do niej zbliżały się do siebie, trzymał ją u siebie coraz dłużej, wszystko trwało coraz wolniej, coraz bardziej drobiazgowo stawały się jego wymagania. Zatrzymywana w ten sposób całe ranki, kiedy to czasem zaledwie ją dotykał, chcąc tylko by go pieściła, O spełniała wszystkie jego żądania z uczuciem niejakiej wdzięczności, tym większej, jeśli żądania te przybierały formę rozkazu. Każde zaniedbanie pociągało za sobą następne, O zaś splancała je dokładnie, co do grosza. Wydaje się dziwne, że sprawiało jej to satysfakcję, a jednak tak właśnie było. Gabinet Sir Stephena znajdował się nad żółto-szarym salonem, gdzie spędzał wieczory i który był od niego węższy i niższy. Nie było tu kanapy albo tapczanu, a jedynie fotele w stylu Regencji, z kwiecistym obiciem. O siadała w nich niekiedy, lecz generalnie Sir Stephen wolał ją trzymać przy sobie, w zasięgu ręki, a kiedy się nią nie zajmował, ona siedziała na biurku po jego lewej stronie. Biurko stało prostopadle do ściany, O zaś mogła oprzeć się o półki pełne słowników i oprawionych roczników. Telefon stał przy jej lewym udzie - drgała ilekroć odzywał się dzwonek. To ona właśnie podnosiła słuchawkę i pytała:

- Kto mówi? - powtarzała głośno nazwisko i albo przekazywała słuchawkę Sir Stephenowi, albo na dany przez niego znak przeproszała rozmówcę.

Kiedy trzeba było kogoś przyjąć, Nora anonsowała go, Sir Stephen zaś dawał czas Norze na odprowadzenie O do pokoiku, gdzie się co rano rozbierała i gdzie następnie Nora przychodziła po nią, kiedy, po wyjściu gościa, Sir Stephen wzywał je dzwonkiem. Nora wchodziła i wychodziła z gabinetu wiele razy w ciągu ranka, już to by przynieść Sir Stephenowi kawę lub pocztę, już to odsłonić bądź zaciągnąć żaluzje, albo opróżnić popielniczki; ona jedna miała prawo wstępu do gabinetu, a w dodatku obowiązek by wchodzić bez pukania, jeśli miała coś do powiedzenia czekała zawsze bez słowa, póki Sir Stephen się do niej nie odezwie. Zdarzyło się, że pewnego razu O znajdowała się właśnie pochylona na biurku, z rękoma wspartymi o blat i wypiętymi pośladkami, kiedy Nora weszła. Uniosła głowę. Nigdy wcześniej Nora na nią nie patrzyła i zapewne O nie

ruszyłyby się. Tym razem jednak było jasne, że Nora chce napotkać jej spojrzenie. Czarne, błyszczące oczy, z których nie sposób było niczego wyczytać, w poranej i nieruchomej twarzy tak bardzo zaniepokoiły O, że zrobiła ruch by wyrwać się Sir Stephenowi. Zrozumiał: chwycił ją jedną ręką w pasie i przycisnął do blatu, żeby nie mogła się ruszyć, drugą zaś rozchylił jej uda. O, która zawsze wypełniała co do joty każdą jego zachciankę, wbrew sobie samej nie mogła się otworzyć i Sir Stephen musiał w nią wtargnąć siłą. Mimo to czuła, że mięśnie odbytu zacisnęły się mocno wokół niego i z trudem udało mu się zagłębić w nią całkowicie. Nie wyszedł z niej tak długo, póki nie mógł poruszać się w niej bez trudu. W chwili, gdy miał w nią wejść po raz drugi, zwrócił się do Nory mówiąc żeby zaczekała aż skończy i odprowadziła O do przebieralni. Zanim jednak odesłał O, ucałował ją czule w usta. Właśnie z powodu tego pocałunku ośmieliła się w kilka dni później wyznać mu, że Nora budzi w niej przerażenie.

- Spodziewam się - odrzekł. - Kiedy będzie już pani nosić mój znak i okowy - co stanie się wkrótce, jeśli oczywiście się pani zgodzi - będzie więcej powodów, żeby się jej bać.

- Dlaczego - spytała O - i jaki znak, jakie okowy? Przecież noszę już ten pierścień...

- To już będzie zależało od Anne-Marie, której obiecałem panią pokazać. Udamy się do niej po śniadaniu. Zgoda? Jest to jedna z moich przyjaciółek, a proszę zauważyć, że jak dotąd nie przedstawiłem pani nikogo z moich przyjaciół. Kiedy przejdzie pani przez jej ręce, dostarczę prawdziwych powodów, żeby się pani bała Nory.

O nie śmiała się upierać. Owa Anne-Marie, którą ją straszono, intrygowała ją teraz o wiele bardziej niż Nora. To o niej mówił Sir Stephen podczas śniadania w Saint-Cloud. Tak, to prawda, że nie знаła przyjaciół Sir Stephena, nie wiedziała nic o jego stosunkach. W sumie żyła w Paryżu tak, jakby była zamknięta w klasztorze. Jedyne osoby mające prawo do jej sekretu - Renę i Sir Stephen - miały jednocześnie prawo do jej ciała. Pomyślała sobie, że słowa „otworzyć się”, które oznaczają zazwyczaj tyle co zaufać komuś, dla niej mają tylko jeden sens, literalny, fizyczny, a przecież absolutny, gdyż otwierała w końcu każdą cząstkę ciała jaką tylko można otworzyć. Wydaje się, że taka była jej racja bytu i że Sir Stephen, tak samo jak Renę, rozumiał to w ten sam sposób kiedy mówił o swoich przyjaciółkach, tak jak wtedy w Saint-Cloud - rozumiało się samo przez się, że ci których ma poznać będą mogli bez ograniczeń rozporządzać jej ciałem. Żeby jednak wyobrazić sobie Anne-Marie i to czego Sir Stephen oczekuje od Anne-Marie względem jej osoby, na to O nie miała żadnych wskazówek, nie były tu nawet pomocne jej doświadczenia z Roissy. Sir Stephen mówił kiedyś, że chciałby widzieć jak kocha się z inną kobietą, czyżby chodziło o to (sprecyzował jednak, że chodzi tu o Jacqueline...)? Nie, to nie to. „Sama pani zobaczy” powiedział. W samej rzeczy. Lecz kiedy O opuszczała dom Anne-Marie wcale nie wiedziała więcej.

Anne-Marie mieszkała w pobliżu obserwatorium, w mieszkaniu zakończonym z boku czymś w rodzaju atelier, na górze nowego budynku wznoszącego się ponad wierzchołki drzew. Była to kobieta w wieku Sir Stephena, z czarnymi włosami przetykanymi siwizną. Jej granatowe oczy miały tak głęboki odcień, że wydawały się niemal czarne. Poczęstowała Sir Stephena i O bardzo mocną, czarną kawą w maleńkich filiżankach, gorącą i gorzką, która pokrzepiła O. Kiedy ją wypila i wstała z fotela, żeby odstawić pustą filiżankę na stolik, Anne-Marie chwyciła ją za rękę i zwracając się w stronę Sir Stephena, spytała:

- Pozwoli pan?

- Ależ bardzo proszę - odpowiedział Sir Stephen.

Wówczas Anne-Marie, która nawet na dzień dobry ani gdy Sir Stephen ją przedstawiał nie zaszczyciła O jednym choćby słówkiem bądź uśmiechem, odezwała się do niej słodko, uśmiechając się przy tym czarująco, jakby robiła jej jakiś prezent:

- Chodź, niech obejrzą twój brzusek maleńka i pośladki. Rozbierz się całkiem, tak będzie najlepiej.

Podczas gdy O spełniała posłusznie jej prośbę, zapaliła papierosa. Sir Stephen nie odrywał oczu od O. Obydwoje kazali jej stać przed sobą przez dobre pięć minut. W pomieszczeniu nie było lustro, lecz O dostrzegła swoje niewyraźne odbicie w czarnej lacy parawanu.

- Zdejmij również pończochy - powiedziała nagle Anne-Marie. - No widzisz - mówiła dalej - nie powinnaś nosić podwiązek, bo zdeformujesz sobie uda.

Czubkiem palca przejechała lekko tuż nad jej kolanem, w miejscu gdzie O związała swoje pończochy na szerokiej elastycznej opasce. Palec pozostawił tam leciutki ślad.

- Kto ci kazał tak robić?

Zanim O zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Sir Stephen:

- To chłopiec, który mi ją dał, zna go pani - Renę. - I dodał: - Ale oczywiście zastosuje się do pani zdania.

- Dobrze - powiedziała Anne-Marie. - Każę ci zaraz dać długie, ciemne pończochy i specjalny pas do ich podtrzymywania. To pas usztywniany, wysmuklający talię.

Kiedy Anne-Marie zadzwoniła i kiedy młoda dziewczyna - jasnowłosa i milcząca - przyniosła cienkie, czarne pończochy oraz wysmuklający pas z gęsto tkanego, czarnego nylonu wzmocniony licznymi, szerokimi listwami, wygiętymi do środka brzucha i wywiniętymi ponad biodra, O na stojąco, starając się utrzymać równowagę raz na jednej, raz na drugiej nodze, naciągnęła pończochy sięgające aż do końca ud. Jasnowłosa dziewczyna założyła jej pas, który z tyłu posiadał specjalną brykę dającą się przypinać i odpinać. Z tyłu również miał on szerokie sznurowanie, tak jak gorsety w Roissy, które pozwalało na dowolne ściskanie albo rozluźnianie pasa. O przypięła pończochy na przodzie i bokach czterema zapinkami, po czym dziewczyna zabrała się do sznurowania pasa, ściskając go tak mocno, jak to tylko było możliwe. O czuła jak jej talia i brzuch kurczą się pod naporem listew, które sięgały w dół niemal jej wżgórka łonowego, nie zakrywały jednak bioder. Pas był krótszy z tyłu, tak, że również pośladki znajdowały się całkowicie na wierzchu.

- Będzie lepiej - powiedziała Anne-Marie do Sir Stephena - jeśli będzie mocno ściśnięta w talii. Zobacz pan zresztą, że jeśli nawet nie będzie czasu na to, żeby się rozebrała, ten pas w ogóle nie będzie przeszkadzał. A teraz zbliż się do mnie, O.

Dziewczyna wyszła, O zaś podeszła do Anne-Marie siedzącej w niskim foteliku-karle, obitym wiśniowym pluszem. Anne-Marie pogłaskała delikatnie jej pośladki, kazała się jej położyć na równie niskim co karło pufie, po czym uniosła i rozwarła jej nogi i mówiąc, żeby się nie ruszała, chwyciła i rozchyliła jej wargi sromowe. O przyszło na myśl, że takim samym ruchem odgina się skrzela rybom na targu, albo zagląda w pysk kupowanemu koniowi. Przypomniała sobie również, że to samo zrobił lokaj Pierre, skuwszy ją uprzednio łańcuchem, pierwszego wieczoru w Roissy. Jakby nie było, jej ciało nie należało do niej, a już na pewno jedna połowa, która równie dobrze mogłaby służyć, żeby tak powiedzieć, poza nią. Dlaczego, skoro nie było to dla niej zaskoczeniem, musiała sobie za każdym razem tłumaczyć to na nowo? Dlaczego za każdym razem odczuwała ten sam paraliżujący niepokój, który wiązał ją nie tyle z tymi, w których rękach się aktualnie znajdowała, ile z tymi, którzy ją w obce ręce oddawali, który w Roissy wiązał ją z Renę, tu zaś z kim? Z Renę czy ze Sir Stephenem? Ach, tego nie wiedziała! To znaczy, nie chciała wiedzieć, gdyż należała całkowicie do Sir Stephena od kiedy... no właśnie, od kiedy? Anne-Marie kazała jej wstać i ubrać się. - Może mi ją pan przyprowadzić, kiedy tylko pan zechce - powiedziała do Sir Stephena.

- Będę w Samois (Samois... O oczekiwała, że powie: w Roissy, lecz nie, nie chodziło o Roissy - o co zatem chodziło?) za dwa dni.
- Wszystko pójdzie dobrze (co takiego pójdzie dobrze?).
- Za dziesięć dni, jeśli pani pozwoli - odpowiedział Sir Stephen. -Na początku lipca.

W samochodzie wiozącym ją do domu (Sir Stephen został u Anne-Marie) O przyszedł na myśl pewien posąg, jaki widziała w dzieciństwie w Luksemburgu: kobieta o mocno ściągniętej talii, która wydawała się tak krucha i cienka pomiędzy ciężkimi piersiami a mięsistymi pośladkami - stała pochylona w przód, by móc przejrzeć się w strumieniu u jej stóp, starannie oddanym również w marmurze - że patrząc na nią miało się obawę, iż marmur za chwilę pęknie. Jeśli Sir Stephen tak chce... Co się tyczy Jacqueline, nietrudno jej będzie powiedzieć, że to kaprys René. W tym miejscu ponownie spłynęła na nią troska, od której usiłowała uciec ilekroć do niej powracała, lecz która, o dziwo, nie była już dla niej bolesna: dlaczego René, odkąd Jacqueline zamieszkała u niej, stara się nie tyle pozostawiać ją samą z Jacqueline, co byłoby zrozumiałe, ile samemu nie zostawać z O? Zbliżał się lipiec, kiedy to René wyjedzie, nie przyjdzie odwiedzić ją do Anne-Marie, gdzie ma ją wysłać Sir Stephen. Czy powinna się pogodzić z tym, że będzie go widywać tylko wieczorami, kiedy przyjdzie mu akurat ochota zaprosić ją i Jacqueline, czy też - i sama już nie wiedziała, co było trudniejsze do przewidzenia (gdyż stosunki ich zupełnie się popsęły, przez to, że zostały tak ograniczone) -liczyć na to, że zobaczy go czasem rano, kiedy będzie u Sir Stephena, on zaś zjawi się zapowiedziany i wprowadzony przez Norę? Sir Stephen zawsze go przyjmował, René zaś obejmował O, pieścił koniuszek jej piersi, po czym omawiał z Sir Stephenem plany na następny dzień, w których nie wspominało się słowem o niej i wychodził. Czyżby tak dalece oddał ją Sir Stephenowi, żeby przestać ją kochać? Co się stanie, skoro już jej nie kocha? O wpadła w taki popłoch, że zamiast zatrzymać samochód, wysiadła machinalnie przy nabrzeżu obok swego domu, po czym natychmiast popędziła w poszukiwaniu taksówki. Na quai de Bet-hun było mało taksówek. O pobiegła aż na bulwar Sain-Germain a i tam jeszcze musiała czekać. Była cała spocona i zdyszana, gdyż ciasny pas utrudniał jej oddychanie, kiedy nareszcie taksówka zwolniła na rogu Cardinal-Lemoin. Zamachała na nią, podała adres biura, gdzie pracował René, nie wiedząc wcale czy René tam jest i czy ją przyjmie jeśli nawet jest. Nigdy tam nie była. Nie zaskoczył jej ani wielki budynek przy ulicy przecinającej Champs-Élysées, ani biura w amerykańskim stylu, lecz postawa René, który przyjął ją przecież natychmiast, zupełnie ją zbiła z tropu. Nie żeby był agresywny albo robił jej wyrzuty. Wolałaby już wyrzuty, gdyż w końcu nie dał jej prawa, żeby przychodziła mu przeszkadzać, a być może przeszkadzała mu bardzo. Odesłał sekretarkę, prosząc, żeby nie zapowiadała nikogo i nie łączyła żadnych telefonów. Potem zapytał O o co chodzi.

- Boję się, że mnie już nie kochasz - powiedziała O. Zaśmiał się:
- Tak nagle, jakże to?
- Tak, w samochodzie kiedy wracałam od...
- Od kogo?
- O milczała, René mówił dalej ze śmiechem:
- Jesteś naprawdę śmieszna.
- Od Anne-Marie.
- A za dziesięć dni masz się udać do Samois. Sir Stephen dzwonił do mnie przed chwilą. René siedział w wygodnym fotelu za biurkiem, O zaś wtuliła mu się w ramiona.
- Jest mi obojętne co ze mną zrobisz - wyszeptła - lecz powiedz mi czy mnie jeszcze kochasz.

- Moje maleństwo, kocham cię - powiedział René. - Chcę jednak żebyś mnie słuchała, a tymczasem ty mnie zupełnie nie słuchasz. Powiedziałaś Jacqueline, że należysz do Sir Stephena, powiedziałaś jej o Roissy?

O potwierdziła, że nic jej nie mówiła. Jacqueline godziła się na jej pieszczoty, ale w dniu, kiedy dowiedzie się, że O... René nie pozwolił jej skończyć, podniósł ją, wstał, oparł ją o fotel i podkasł jej

spódnicę.

- A proszę, pas elastyczny! - powiedział. - To prawda, że będziesz dużo przyjemniejsza ze ściśniętą talią.

Potem wziął ją, O zaś myślała o tym, że nie robił już tego od tak dawna, iż zaczęła wątpić czy w ogóle ma jeszcze na nią chęć, teraz zaś widziała w tym naiwnie dowód jego miłości.

- Wiesz - powiedział do niej. - Jesteś głupia, że nie porozmawiałaś z Jacqueline. Potrzebujemy jej w Roissy, a byłoby wygodniej gdybyś to ty ją tam sprowadziła. Zresztą kiedy wrócisz od Anne-Marie, nie będziesz mogła dłużej ukrywać swojej prawdziwej kondycji. O zapytała dlaczego.

- Sama zobaczysz - odrzekł René. - Masz jeszcze pięć dni i tylko pięć, ponieważ Sir Stephen ma zamiar na pięć dni przed odesłaniem cię do Anne-Marie, zacząć cię biczować codziennie - z pewnością będziesz mieć pełno pręg, jak się wtedy wytłumaczysz Jacqueline?

O nie odpowiedziała. René nie wiedział przecież, że Jacqueline nie interesowała w niej nic poza namiętnością, którą O jej okazywała i że nie patrzyła na nią nigdy. Żeby ukryć ślady pejcza, wystarczyło tylko uważać by nie kapać się w obecności Jacqueline i nosić nocną koszulę. Jacqueline nic nie zauważyła. Nie zauważyła, że O nie nosi majtek i w ogóle niczego: O jej nie interesowała.

- Posłuchaj - ciągnął René. - Jest jedna rzecz, którą w każdym razie musisz jej powiedzieć i to zaraz: to, że jestem w niej zakochany.

- A czy to prawda? - spytała O.

- Chcę ją mieć - powiedział René - i jeśli ty nie możesz albo nie chcesz nic zrobić, to ja zrobię to co trzeba.

- Nie zgodzi się nigdy na Roissy - odrzekła O.

- Ach nie? Dobrze więc - powiedział René. - W takim razie zmusi się ją.

Tego samego wieczoru, właściwie już ciemną nocą, kiedy Jacqueline spała, O odrzuciła prześcieradło żeby popatrzeć na nią przy świetle lampy, po tym jak powiedziała jej „René jest w tobie zakochany”, bo powiedziała jej to przecież i to bezzwłocznie. O, która na wyobrażenie o jej kruchym, delikatnym ciele zoranym biczem, jej rozdartym kroczu, niewinnych ustach zmuszonych do wycia, puszek na policzkach sklejonym łzami, jeszcze miesiąc temu byłaby przejęta grozą, powtarzała sobie ostatnie słowa René i była szczęśliwa. Jacqueline wyjechała, żeby powrócić nie wcześniej jak na początku sierpnia, jeśli skończą się zdjęcia do filmu, w którym grała - nic nie trzymało O w Paryżu. Zbliżał się lipiec, ogrody pełne były karmazynowego geranium, wszystkie story w oknach w południe były opuszczone, René narzekał, że musi jechać do Szkocji. O miała przez chwilę nadzieję, że weźmie ją z sobą. Lecz poza tym, że nie brał jej nigdy do swojej rodziny, dobrze wiedziała, że odstąpi ją Sir Stephenowi, jeśli tego zażąda. Sir Stephen oświadczył, że w dniu kiedy René odleci do Londynu, zgłosi się po nią. Miała wakacje.

-Jedziemy do Anne-Marie - powiedział. - Czekają już na panią. Proszę nie brać walizki, nic nie będzie pani potrzebne.

Nie było to mieszkanie w okolicy Obserwatorium, gdzie po raz pierwszy O spotkała się z Anne-Marie, lecz niski dom w głębi wielkiego ogrodu, znajdujący się na skraju lasu de Fontainebleau. O nosiła od tamtej pory swój usztywniany pas, który wydawał się bardzo przydatny Anne-Marie: ścisnęła go co dzień mocniej, tak że można było nieomalże objąć ją teraz w pasie dwiema dłońmi - Anne-Marie będzie zadowolona. Kiedy przybyli, była druga po południu, dom spał i tylko pies zaszczekał słabo na głos dzwonka: wielki wolarz flamandzki o szorstkiej sierści, który obwąchał O

pod sukienką. Anne-Marie siedziała pod czerwonym bukiem, w końcu trawnika, który znajdował się w kącie ogrodu, na wprost okien jej pokoju. Nie wstała na powitanie.

- Otóż i O - odezwał się Sir Stephen. - Wie pani co należy robić. Kiedy będzie gotowa? Anne-Marie popatrzyła na O.

- Nie uprzedził jej pan? A więc, zacznę natychmiast. Na początek trzeba liczyć z pewnością dziesięć dni. Przypuszczam, że będzie pan chciał sam założyć ogniwa i monogram? Niech pan wróci za piętnaście dni. Wszystko powinno być skończone za następne piętnaście.

O chciała się odezwać, zadać pytanie.

- Chwileczkę, O - powstrzymała ją Anne-Marie. - Pójdź teraz do pokoju, który jest od frontu, rozbierz się, zostaw jedynie sandały i wróć tu do nas.

Pokój był pusty, duży biały pokój z zasłonami z fioletowego płótna. O położyła torebkę, rękawiczki i ubranie na krzeselku przy drzwiach ściennej szafy. Lustra nie było. Wyszła powoli, oślepiona słońcem, zanim nie znalazła się w cieniu buka. Sir Stephen stał wciąż przed Anne-Marie, pies zaś leżał u jej stóp. Czarno-siwe włosy Anne-Marie błyszczały jakby były wysmarowane pomadą, niebieskie oczy wydawały się czarne. Była ubrana na białą, przewiazaną lakierowanym paskiem i w lakierowanych sandałach założonych na boscie nogi - można było zobaczyć czerwony lakier na jej paznokciach, taki sam jak na paznokciach rąk.

- O - powiedziała. - Padnij na kolana przed Sir Stephenem. O uklękła, z rękoma skrzyżowanymi na plecach. Koniuszki jej piersi drżały leciutko. Pies miał minę jakby chciał się na nią rzucić.

- Turc, do nogi - zawołała Anne-Marie. - Czy zgadzasz się, O, nosić okowy i monogram Sir Stephena, którymi pragnie cię on naznaczyć, nie wiedząc w jaki sposób zostaną ci one nałożone?

- Tak - odpowiedziała O.

- A więc teraz odprowadzę Sir Stephena, a ty poczekał tutaj. Sir Stephen pochylał się i chwycił piersi O, podczas gdy Anne-Marie wstała z leżanki. Pocałował ją w usta i wyszeptał:

- Jesteś moja, O, naprawdę jesteś moja? - po czym puścił ją, żeby pójść za Anne-Marie.

Szczęknęła brama wejściowa, Anne-Marie wracała. O zgiąwszy nogi przysiadła na obcasach, ręce zaś położyła na kolanach -wyglądała niczym egipska statuetka. W domu mieszkały jeszcze trzy inne dziewczęta, każda miała swój pokój na pierwszym piętrze. O dostała maleńki pokój na parterze, tuż obok Anne-Marie. Anne-Marie wołała na nie żeby zeszły do ogrodu. Wszystkie trzy, tak samo jak i O, były nagie. Jedyne osoby w tym gineceum, starannie ukrytym za wysokim parkanem, z zamkniętymi okiennicami odgradzającymi je od zakurzonej uliczki, otóż jedyne osoby, które były tu ubrane, to Anne-Marie oraz służba: kucharka i dwie pokojowe, starsze od Anne-Marie, poważne i surowe w wielkich spódnicach z czarnej alpaki i nakrochmalonych fartuchach.

- Ona nazywa się O - rzekła Anne-Marie, która usiadła na nowo. -Przyprowadźcie ją tu bliżej, żebym ją sobie lepiej obejrzała.

Dwie dziewczyny podniosły O, obie brunetki, z włosami równie czarnymi na głowie co na łonie, z koniuszkami piersi wydłużonymi i prawie fioletowymi. Trzecia była mała, krągła i ruda. Na kredowej skórze jej piersi odznaczała się nieco przerażająca siatka zielonych żył. Dwie dziewczyny popchnęły O całkiem blisko Anne-Marie, która przesunęła palcem po trzech czarnych pręgach

przecinających w poprzek jej uda na przodzie i powtarzały się również z tyłu, na pośladkach.

- Kto cię biczował - zapytała. - Sir Stephen?

- Tak - odpowiedziała O.

- Czym i kiedy?

- Trzy dni temu, szpicrutą.

- Przez miesiąc, począwszy od jutra, nie będziesz chłostana. Za to zrobimy to dzisiaj, na twoje przybycie, jak tylko skończę cię oglądać. Sir Stephen nie chłostał cię nigdy po wewnętrznej stronie ud, z szeroko rozstawionymi nogami? Nie? No tak, mężczyźni tego nie wiedzą. Wkrótce zobaczymy jak to jest. Pokaż no, jak wygląda teraz twoja talia. Ach! Jest dużo lepiej!

Anne-Marie pociągnęła za pas, żeby jeszcze bardziej go ścieśnić. Następnie wysłała małą rudą dziewczynę, żeby przyniosła inny pas i kazała go jej założyć. Był również z czarnego nylonu, tak mocno usztywniony i ciasny, że czuła, jakby jej założono bardzo szeroki pas skórzany. Nie miał zapinek do pończoch. Jedna z brunetek zasznurowała go, przy czym Anne-Marie kazała jej go ścisnąć z całej siły.

- To potworne - powiedziała O.

- Istotnie - odrzekła Anne-Marie. - Masz być dzięki temu ładniejsza, a że jeszcze nie jesteś, będziesz go musiała nosić cały czas. Powiedz mi teraz w jaki sposób Sir Stephen najchętniej się tobą posługuje. Muszę to wiedzieć.

Trzymała ją ręką za podbrzusze i O nie mogła odpowiedzieć. Dwie dziewczyny usiadły na ziemi, trzecia, jedna z brunetek, u stóp leżanki Anne-Marie.

- Odwróćcie ją - powiedziała Anne-Marie. - Niechże zobaczę pośladki.

O została odwrócona i przygięta w dół, a ręce obydwu dziewczyn rozchyliły ją z tyłu.

- No tak - powiedziała Anne-Marie. - Nie potrzebujesz odpowiadać - swój znak powinnaś nosić na pośladkach. Wstań. Założymy ci teraz bransolety. Colette przyniesie zaraz skrzynkę i wylosujemy, kto cię wychłoscze. Colette, idź po żetony! Potem przejdziemy do sali muzycznej.

Colette była wyższą z dwu brunetek, druga nazywała się Claire, a mała ruda - Yvonne. O nie zauważyła wcześniej, że wszystkie one noszą, podobnie jak w Roissy, skórzane obroże i bransolety na przegubach. Co więcej, takie same skórzane bransolety miały na kostkach nóg. Kiedy Yvonne dopasowała O właściwe bransolety, Anne-Marie podała O cztery żetony, prosząc by wręczyła każdej z nich po jednym, nie patrząc jakie posiadają numery. O rozdała żetony. Dziewczęta obejrzały każda swój i nie mówiły nic, czekając aż odezwie się Anne-Marie.

- Mam dwójkę - powiedziała Anne-Marie. - Kto ma jedynekę? Miała ją Colette.

- Odprowadź O, jest twoja.

Colette chwyciła O za ręce i wykręciwszy je do tyłu spięła razem bransolety. Potem popchnęła O naprzód. Na progu wielkich, przeszklonych drzwi w skrzydle budynku prostopadłym do głównej fasady, Yvonne, która szła przed nimi wzięła od O jej sandały. Drzwi prowadziły do pomieszczenia, które w głębi posiadało coś w rodzaju rotundy, nieco wyższej od reszty. Sufit w formie płytko sklepionej kopuły podtrzymywany był przez dwie cienkie kolumny wybiegające z dwóch końców łuku sklepienia i oddalone od siebie o jakieś dwa metry. Wysoka na prawie cztery schodki estrada wchodziła pomiędzy nie zaokrąglonym cyplem. Podłoga rotundy, jak i całego pomieszczenia pokryta była czerwonym filcem. Ściany były białe, zasłony w oknach czerwone,

kanapy okalające rotundę z czerwonego filcu, takiego samego jak na podłodze. W części prostokątnej sali, która była szersza niż głębsza, znajdował się kominek, a naprzeciwko kominka stało wielkie radio z adapterem i regalem na płyty obok. To dlatego nazywano tę salę muzyczną. Przez drzwi koło kominka łączyła się ona z pokojem Anne-Marie. Drzwi symetryczne do tamtych, były drzwiami ściennej szafy. Poza kanapami i sprzętem grającym nie było tu innych mebli. Podczas gdy Colette kazała usiąść O na brzegu estrady, która pośrodku opadała stromo (schody znajdowały się po bokach kolumnienek), dwie pozostałe dziewczyny zamknęły przeszklone drzwi, zaciągnąwszy uprzednio żaluzje. O ze zdziwieniem spostrzegła, że drzwi są podwójne. Anne-Marie śmiejąc się powiedziała do niej:

- To po to, żeby nikt nie usłyszał jak krzyczysz. Ściany są wyciszone korkiem, na zewnątrz nie słychać co się tutaj dzieje. Kładź się.

Chwyła ją za ramiona i położyła na czerwonym filcu, potem pociągnęła ją odrobinę w przód. Ręce O uczepliły się brzegu estrady, gdzie Yvonne przymocowała je do stalowego kółka, pośladki O nie miały teraz oparcia. Anne-Marie podciągnęła jej kolana do piersi, potem zaś O poczuła jak jej nogi naprężają się nagle ciągnięte w tym samym kierunku: dwa pasy przechodzące przez bransolety na kostkach zostały przywiązane do kolumnienek wysoko nad jej głową. Wznosiła się teraz ponad estradą w taki sposób, że widać było tylko jej szeroko rozciągnięte krocze i pośladki. Anne-Marie pogłaskała delikatnie wnętrze jej ud.

- To takie miejsce na ciele, gdzie skóra jest najdelikatniejsza - powiedziała. - Nie należy jej uszkodzić. Rób to ostrożnie, Colette.

Colette stała nad nią, a jej szeroko rozstawione, opalone nogi tworzyły most, pod którym O dostrzegła sznureczki bicia, który trzymała w ręku. Przy pierwszych piekących-smagnięciach wymierzonych w krocze, O jęczała tylko. Colette przechodziła raz na lewo, raz na prawo, przerywała, zaczynała od nowa. O wyrывała się ze wszystkich sił, myślała, że pasy ją rozszarpia. Nie chciała błagać, prosić o litość. Lecz Anne-Marie chciała doprowadzić ją do tego.

- Szybciej - mówiła do Colette. - I mocniej! O opierała się, lecz na próżno. Minutę później krzyczała i płakała, podczas gdy Anne-Marie tuliła i pieściła jej twarz.

-Jeszcze chwilę - mówiła - i zaraz będzie koniec. Tylko pięć minut. Minęło dwadzieścia pięć. Colette, przerwiesz kiedy minie trzydzieści, powiem ci.

Lecz O wyła:

- Nie, nie, litości - nie mogła już dłużej, nie mogła wytrzymać już ani sekundy.

A jednak musiała znieść wszystko aż do końca, Anne-Marie zaś uśmiechnęła się do niej gdy Colette schodziła z estrady.

- Podziękuj mi - powiedziała Anne-Marie i O podziękowała.

Zdawała sobie doskonale sprawę dlaczego Anne-Marie tak bardzo zależało na tym, żeby ją wychłostać. Nigdy nie wątpiła, że kobiety są bardziej okrutne i nieprześlągane niż mężczyźni. Lecz O wiedziała, że Anne-Marie nie chodzi tak bardzo o zaimplementowanie swojej władzy nad nią, ile o to, by ustanowić pomiędzy sobą a O pewną wspólnotę. O nie mogła tego nigdy pojąć, musiała jednak uznać jako fałszywą niezaprzeczalną i ważną ów stały splot sprzecznych odczuć jakich doświadczała: uwielbiała w istocie karę cielesną i choć kiedy była jej poddawana oddałaby wszystko, żeby wyrwać się i uciec, to kiedy się kończyła, była szczęśliwa, że ją zniosła, tym bardziej szczęśliwa im okrutniejsza i bardziej długotrwała była ta kara. Anne-Marie wiedziała dobrze na czym polega zarówno przyzwolenie jak sprzeciw O i to, że jej podziękowanie nie jest

tylko czczym słowem. Była w jej postępowaniu jeszcze inna racja, którą jej teraz przedstawiła. Pragnęła otóż, żeby każda dziewczyna wchodząca do jej domu i zmuszona żyć w tym całkowicie żeńskim świecie, przekonała się, iż jej kobiecość nie tylko nic na tym nie straci w porównaniu z innymi kobietami, lecz przeciwnie - stanie się bardziej namacalna i wyostrzona. To z tego powodu wymagała, żeby dziewczęta były cały czas nagie. Sposób w jaki O została związana i wychłostana też nie miał niczego innego na celu. Dzisiaj, przez resztę popołudnia, czyli jeszcze przez trzy godziny pozostanie tu na estradzie z uniesionymi i szeroko rozwartymi nogami, twarzą do ogrodu, tak by wszystkie mogły ją widzieć. Nie opuści jej pragnienie by zewrzeć nogi. Jutro zaś będzie Claire, Colette albo Yvonne, którym O będzie się mogła przyglądać. Takie postępowanie zabiera o wiele za dużo czasu i jest zanadto drobiazgowe (podobnie jak sposób biczowania), żeby stosowano je w Roissy. O przekona się jednak jak bardzo jest skuteczne. Kiedy stąd wyjdzie, oprócz tego, że będzie nosić ogniwa i monogram, powróci do Sir Stephena o wiele bardziej ugruntowana i prawdziwa w swoim niewolnictwie, niż to sobie potrafi wyobrazić. Nazajutrz rano, po śniadaniu, Anne-Marie powiedziała do O i Yvonne, żeby poszły z nią do jej pokoju. Wzięła z sekretarzyka szkatułkę z zielonej skóry, którą położyła na łóżku i otworzyła. Dziewczęta usiadły przy niej na podłodze.

- Yvonne nic ci nie mówiła? - zwróciła się do O. O zaprzeczyła ruchem głowy. Cóż takiego miałyby powiedzieć Yvonne?

- Sir Stephen również nie, to wiem. No więc to są te obrączki, które chcę ci założyć.

Były to ogniwa z matowego, nierdzewnego żelaza, podobnie jak pierścieni. Wykonane były z okrągłego pręta o grubości kredki i miały wydłużony kształt: przypominały ogniwa grubego łańcucha. Anne-Marie pokazała O, że każde z nich składa się z dwu części w kształcie U, zachodzących jedna na drugą.

- To tylko model próbny - powiedziała. - Można go zdejmować. Te prawdziwe, jak się przekonasz, posiadają w środku sprężynę, którą trzeba mocno przygiąć i wcisnąć w odpowiednie wycięcie, gdzie zostaje zablokowany. Kiedy się je raz założy, nie można już ich zdjąć - trzeba by je przepiłowywać.

Każde ogniwo miało długość dwóch członów małego palca, który można było wsunąć do środka. Na każdym zawieszony był, niczym kolejne oczko łańcucha, lub tak jak zwisająca część kolczyka, stanowiąca jakby przedłużenie ucha w tej samej płaszczyźnie, krążek z takiego samego metalu o szerokości równej długości ogniwa. Po jednej jego stronie znajdowało się niello przedstawiające trzy ramiona zagięte w formie trójkąta, po drugiej nie było nic.

- Na drugiej stronie znajdzie się twoje imię, godność, imię i nazwisko Sir Stephena, a pod spodem skrzyżowany bicz i szpicruta. Yvonne nosi podobny krążek przy obroży. Ty jednak będziesz go nosić między nogami.

- Ależ... - próbowała odezwać się O.

- Tak, tak, wiem - przerwała jej Anne-Marie. - Dlatego właśnie przyprowadziłam Yvonne. Pokaż nam swoje krocze, Yvonne.

Ruda dziewczyna podniosła się z podłogi i położyła się na wznak na łóżku. Anne-Marie rozwarła jej uda i pokazała O, że jeden płatek jej warg sromowych w połowie swojej długości i u samej podstawy jest przeбитý jakby za pomocą dziurkacza. Przez otwór przechodziło całkowicie żelazne ogniwo.

- Przebiję cię w jednej chwili, O - powiedziała Anne-Marie. - To drobnostka. O wiele dłużej trwa zakładanie klamerek, żeby zszyć razem wierzchnią warstwę skóry z błoną śluzową na spodzie. To o

wiele mniej bolesne niż bat.

-To znaczy, że nie stosuje pani narkozy!?! - krzyknęła O przerażona.

- Ależ, nigdy w życiu - odpowiedziała Anne-Marie. - Zostaniesz związana odrobinę mocniej niż wczoraj i to wystarczy. Chodź.

W osiem dni później, Anne-Marie zdjęła O klamerki i założyła jej próbną obrączkę. Mimo, iż okazała się lżejsza, niż to na oko wyglądało, gdyż była wydrążona w środku, to jednak ważyła swoje. Surowy metal przebijający ciało wyglądał jak jakieś narzędzie tortury. Co będzie jak dojdzie jeszcze krążek, który jest cięższy? To barbarzyńskie urządzenie rzucało się w oczy przy pierwszym spojrzeniu.

- Oczywiście - powiedziała Anne-Marie, kiedy O poczyniła uwagę na ten temat. - Czy zrozumiałaś już teraz o co chodziło Sir Stephenowi? Ktokolwiek, czy to w Roissy, czy też w innym miejscu, nawet ty sama przed lustrem, ktokolwiek uniesie ci spódnicę natychmiast dostrzeże te kółka pomiędzy twoimi nogami, a kiedy cię obróci - również monogram na pośladkach. Być może któregoś dnia uda ci się przepiłować żelazne ogniwo, ale monogramu nie pozbedziesz się już nigdy.

- Wydaje mi się - odezwała się Colette - że nietrudno jest usunąć tatuaże (to właśnie ona wytatowała na białej skórze Yvonne, na samym wzgórku łonowym, niebieskimi literami, ozdobnymi jak haftowane monogramy, inicjały właściciela i pana Yvonne).

O nie zostanie wytatuowana - odrzekła na to Anne-Marie. O wpatrywała się w nią kiedy to mówiła. Colette i Yvonne milczały zbite z tropu. Anne-Marie wahała się jakiś czas czy mówić dalej.

- Dalej, niechże pani mówi - powiedziała O.

- Moje małe biedactwo, nie śmiałam ci tego powiedzieć: zostaniesz naznaczona żelazem. Sir Stephen poprosił mnie o to w liście, dwa dni temu.

- Żelazem? - zawołała Yvonne.

- Rozpalonym żelazem.

Od pierwszego dnia O dzieliła ze wszystkimi życie domu Anne-Marie. Panowała tu całkowita i rozmyślna beczynność. Rozrywki były nieurozmaicone. Dziewczętom wolno było spacerować po ogrodzie, czytać, rysować, grać w karty, stawiać pasjansa. Mogły wylegiwać się w swoich pokojach albo opalać na słońcu. Czasami rozmawiały ze sobą-wszystkie razem albo po dwie - całymi godzinami, czasem znów siedziały po prostu bez słowa u stóp Anne-Marie. Posiłki wyglądały zawsze podobnie: obiad przy świecach, herbatka w ogrodzie. I było coś absurdalnego w naturalności z jaką dwie służące obsługiwały nagie dziewczęta siedzące za uroczystym stołem. Wieczorem Anne-Marie wyznaczała jedną z nich, by spała z nią - niekiedy kilka razy z rzędu tę samą. Pieściła ją i kazała sobie pieścić, budząc się najczęściej tuż przed świtem, a potem zasypiała ponownie, odesławszy uprzednio dziewczynę do swego pokoju. Wstający dzień zabarwiał na wpół tylko zaciągnięte, fioletowe zasłony na kolor malwy, a Yvonne opowiadała, że Anne-Marie jest tyleż piękna i wyniosła kiedy poddaje się pieszczotom, ile niestrudzona w swoich wymaganiach. Żadna z dziewcząt nie widziała jej nigdy zupełnie nagiej. Uchylała tylko i podnosiła swoją białą koszulę z nylonowej dzianiny, lecz nie zdejmowała jej. Ani to jakich mogła doznać rozkoszy nocą, ani to kogo wybrała poprzedniego wieczoru nie miało wpływu na jej decyzję następnego popołudnia - zawsze odbywało się losowanie. O trzeciej, pod czerwonym bukiem, gdzie wokół stołu z białego kamienia ustawione były ogrodowe fotele, Anne-Marie wyjmowała kubek z zetonami. Każda brała jeden. Ta, która wylosowała najniższy numer odprowadzona była do sali muzycznej i zostawała przywiązana na estradzie, tak jak niegdyś O. Zostawało jej jeszcze (z wyjątkiem O, która była wyłączona ze sprawy do swego wyjazdu) wskazać prawą lub lewą rękę Anne-Marie, w której trzymała ona kule: czarną i białą. Czarna oznaczała, że dziewczyna zostanie

wychłostana, biała, że nie. Anne-Marie nigdy nie oszukiwała, nawet jeśli w wyniku losowania ta sama dziewczyna była skazywana, bądź też oszczędzana przez kilka kolejnych dni. Chłosta małej Yvonne, która szlochała i wzywała swego ukochanego, powtarzała się w ten sposób przez cztery dni. Jej uda z siatką zielonych żył, podobnie jak piersi, otwierały się ukazując różowe ciało przebite grubym, żelaznym kółkiem, co wyglądało tym bardziej przejmująco, że Yvonne była całkowicie wydepilowana.

- Po co to? - spytała jej O. - I do czego ci to kółko, skoro nosisz swój krążek przy obroży?
- On mówi, że jestem bardziej naga, gdy jestem wygolona. Kółko, jak sądzę, jest po to, żeby móc mnie przywiązać.

Zielone oczy Yvonne i jej trójkątna twarz przywodziły O na myśl Jacqueline. Czy Jacqueline uda się do Roissy? Wcześniej czy później Jacqueline trafi tutaj i zostanie rozciągnięta na tej estradzie.

- Nie chcę - powtarzała O - nie chcę, nie zrobię nic, żeby ją tu sprowadzić. I tak powiedziałam jej za dużo. Jacqueline nie jest stworzona do chłosty i piętnowania żelazem.

Lecz okowy i razy tak bardzo pasowały do Yvonne, a jej pot i jęki były tak słodkie, jak słodkim było ją do nich przymuszać. Gdyż Anne-Marie dwukrotnie już dawała jej do ręki bicz ze sznurków, każąc jej wychłostać Yvonne (jak na razie była to jedyna jej ofiara). Za pierwszym razem, przez chwilę, wahała się i na pierwszy krzyk Yvonne cofnęła się nawet, lecz kiedy zaczęła od nowa, Yvonne zaś na nowo zaczęła krzyczeć, ogarnęła ją jakaś straszliwa rozkosz, tak wielka, że wbrew sobie samej czuła jak śmieje się z radości i z trudem zdołała się powściągać, żeby nie bić jej z całej siły. Potem zaś została z Yvonne, gdy leżała związana na estradzie, całując i przytulając ją od czasu do czasu. Niewątpliwie w jakiś sposób przypominała ją samą. Przynajmniej uczucie Anne-Marie zdawało się tego dowodzić. Czy skusiły ją milczenie i pokora O? Kiedy tylko rany O zaczęły się zablizniać, Anne-Marie powiedziała:

-Jak żałuję, że nie mogę cię wychłostać. Kiedy tu powrócisz... Ach, w każdym razie będę cię przynajmniej codziennie przywiązywać.

I odtąd, każdego dnia, kiedy dziewczęta w sali muzycznej schodziły z estrady, O zajmowała ich miejsce i pozostawała tam, póki nie odezwał się dzwonek na obiad. I Anne-Marie miała słusność: rzeczywiście nie mogła przez te dwie godziny myśleć o czym innym, jak tylko o tym, że jest rozpostarta i odsunięta, z ciężarem zwisającym jej pomiędzy nogami, tym większym odkąd doszło jeszcze jedno kółko. O niczym innym, jak o swoim niewolnictwie i widomych znakach tego niewolnictwa. Któregoś wieczoru przyszły do niej z ogrodu Claire i Colette. Podeszły do O i obejrzały od drugiej strony krążek przyczepiony do ogniwa. Nie było jeszcze na nim żadnych inskrypcji.

- Czy to Anne-Marie wprowadziła cię wtedy do Roissy?
- Nie - odrzekła O.
- A mnie Anne-Marie, dwa lata temu. Wracam tam pojutrze.
- Nie należysz do nikogo? - spytała O.
- Claire należy do mnie - odezwała się zniecierpliwiona Anne-Marie. - Twój pan przybywa jutro rano, O. Dzisiejszej nocy będziesz spała ze mną.

Krótką, letnią noc bladła powoli, a o czwartej nad ranem wstający dzień zagasił ostatnie gwiazdy. O, która spała z zaciśniętymi nogami została wyrwana ze snu ręką Anne-Marie, która wśliznęła się pomiędzy jej uda. Lecz Anne-Marie chciała ją tylko obudzić, żeby O ją pieściła. Jej błyszczące w półmroku oczy, siwe włosy z czarnymi pasmami, obcięte krótko i częściowo schowane w poduszce, lekko sfalowane, nadawały jej wyglądu króla wygnańca, odważnego libertyna. O musnęła ustami

twardy koniuszek jej piersi, ręką wewnątrz jej ud. Anne-Marie ustąpiła natychmiast - lecz nie było to przeznaczone dla O. Rozkosz, od której otworzyła szeroko oczy, była rozkoszą anonimową, bezosobową - O była jedynie jej narzędziem. Było jej obojętne, że O patrzyła z uwielbieniem na jej gładką, odmłodziłą twarz, jej piękne, dyszące usta, wsłuchiwała się w jej rozkoszne jęki, kiedy chwyciła wargami i zębami nabrzmiąły wierzchołek, ukryty" w zagłębieniu pomiędzy jej udami. Po prostu złapała O za włosy, żeby przycisnąć ją mocniej do siebie, a kiedy było po wszystkim powiedziała tylko:

- Zaczynaj na nowo.

O w podobny sposób kochała Jacqueline. Bezwolną i oddaną trzymała w swoich ramionach. Miała ją, a przynajmniej tak się jej zdawało. Lecz to podobieństwo gestów nic nie znaczyło. O nie posiadała Anne-Marie. Anne-Marie żądała pieszczot, nie troszcząc się co odczuwa ktoś, kto ich dostarcza, poddając się im z jakąś niesłychaną, bezczelną swobodą. A przecież była jednak czuła i słodka dla O, całowała jej usta i piersi i zatrzymała ją u siebie jeszcze przez godzinę, zanim ją odesłała. Zdjęła jej żelazne ogniwa.

- To ostatnie godziny - powiedziała - kiedy będziesz mogła spać bez nich. Te, które ci wkrótce założymy, nie dadzą się zdjąć.

Długo i delikatnie głaskała O po pośladkach, a potem zaprowadziła do pokoju gdzie mieszkała i gdzie znajdowało się jedyne w całym domu lustro - lustro o trzech taflach, zawsze zamknięte. Otworzyła je, żeby O mogła się przejrzeć.

- Ostatni raz widzisz siebie nietkniętą - powiedziała. - To tutaj, w tym miejscu, gdzie jesteś tak gładka i krągła, wyciśnięte zostaną inicjały Sir Stephena, po jednej i drugiej stronie. Zaprowadzę cię przed to lustro w wigilię twojego wyjazdu - nie poznasz się wtedy. Sir Stephen ma jednak rację. Idź teraz spać, O.

Lecz strach nie pozwolił O zasnąć i kiedy Colette przyszła po nią o dziesiątej, musiała pomóc się jej wykapać, uczesać i umalować usta - O drżała na całym ciele. Usłyszała jak szcęknięła brama wejściowa: Sir Stephen był już tutaj.

- Chodźmy już, O - powiedziała Yvonne. - On czeka.

Słońce było już wysoko, żaden podmuch nie poruszał listkami buka: można by powiedzieć, że odlany jest z miedzi. Pies zmęczony upałem leżał pod drzewem, a ponieważ słońce nie zdążyło się jeszcze schować za gęstą koronę, przeświecało przez końce gałęzi i to one rzucały jedyny o tej porze słaby cień na stojący pod bukiem stół: kamienny blat usiany był jasnymi, ciepłymi plamami. Sir Stephen stał nieruchomo przy stole, Anne-Marie siedziała obok.

- Oto i ona - odezwała się Anne-Marie, kiedy Yvonne przyprowadziła do niej O. - Ogniwa mogą być założone kiedy tylko pan zechce, jest już przekłuta.

Sir Stephen nic nie odpowiedział, tylko przyciągnął O do siebie, pocałował i unosząc ją nagle, położył na blacie stołu, pochylił się nad nią i pozostał tak dłuższą chwilę. Potem znów ją pocałował, pogłaskał jej brwi i włosy, a wreszcie prostując się powiedział do Anne-Marie:

- Natychmiast, jeśli pani pozwoli.

Anne-Marie wzięła skórzaną szkatułkę, postawiła ją na fotelu i podała Sir Stephenowi dwa osobne kółka, gdzie wypisane było imię O i jego własne.

- Gotowe - powiedział Sir Stephen.

Yvonne uniosła jej nogi i O poczuła chłodny metal, który Anne-Marie wsunęła w jej ciało. Zakładając drugą część, Anne-Marie zwróciła uwagę na to, żeby krążek zwrócony był rysunkiem w stronę uda, inskrypcją zaś do wnętrza. Sprężyna okazała się jednak tak sztywna, że ogniwa nie dało się zatrzasnąć. Trzeba było wysłać Yvonne po młotek. Rozciągnięto więc O na stole, z szeroko rozwartymi i zwisającymi za brzeg nogami i dopiero wtedy, opierając kółko na blacie, który posłużył im za kowadło, udało im się wbić trzpień do środka. Sir Stephen przyglądał się temu bez słowa. Kiedy wszystko było gotowe, podziękował Anne-Marie i pomógł O się podnieść. Zauważyła wtedy, że nowe okowy są o wiele cięższe od tych prowizorycznych, które nosiła przedtem. Lecz te były już na stałe.

- A teraz pański monogram, nieprawdaż? - powiedziała Anne-Marie do Sir Stephena.

Sir Stephen skinął głową i przytrzymał roztrzęsioną O, chwytając ją w pasie. Nie miała na sobie swojego czarnego gorsetu, lecz jej talia była już tak sklepią i cienka, że wyglądała jakby się miała za chwilę złamać. Biodra wydawały się przez to bardziej zaokrąglone, a piersi cięższe. W sali muzycznej, gdzie idąc za Anne-Marie i Yvonne, Sir Stephen wniósł raczej niż wprowadził O, siedziały u stóp estrady Colette i Claire. Podniosły się na ich wejście. Na estradzie stał już duży, okrągły piecyk z jednym paleniskiem. Anne-Marie wyjęła z szafy pasy i kazała przywiązać O mocno przez talię i na wysokości kolan, brzuchem do kolumny. Związano jej również ręce i nogi. Oszałała ze strachu, poczuła rękę Anne-Marie na pośladkach - wskazywała, w którym miejscu należy wycisnąć piętno. Usłyszała syk ognia i odgłos zamykanego okna w absolutnej ciszy. Mogłaby odwrócić głowę i zobaczyć. Nie miała jednak siły. I naraz poczuła, że przeszywa ją straszliwy ohydny ból, pod którego wpływem wrzasnęła i wyprężyła się w swoich więzach... Nie dowiedziała się nigdy kto zanurzył w jej ciele dwa rozpalone żelaza, czy głos liczył powoli do pięciu, ani na czyj znak żelaza zostały wyciągnięte. Kiedy ją odwiązano, osunęła się w ramiona Anne-Marie i przez jedną chwilę, zanim wszystko wokół niej zawirowało, pociemniało i przestała odczuwać cokolwiek, zobaczyła pomiędzy dwoma falami nocy, trupio bladą twarz Sir Stephena. Sir Stephen odwiózł O do Paryża na dziesięć dni przed końcem lipca. Żelazne kółka przyczepione do lewego płatka jej sromu, na których wypisane było, najogólniej rzecz biorąc, że jest własnością Sir Stephena, sięgały do jednej trzeciej uda, a przy każdym kroku kołysały się między nogami niczym serce w dzwonie, przy czym grawerowany krążek był cięższy niż ogniwo, na którym był zawieszony. Znaki wypalone żelazem, wysokie na trzy palce i szerokie na połowę swej wysokości, wyglądały jak wyrzeźbione dłutem i miały blisko centymetr głębokości. Starczyło lekko musnąć ją w tym miejscu ręką, żeby wyczuć je pod palcami. Z powodu tych okowów i piętna O odczuwała szaloną dumę. Gdyby była z Jacqueline, to zamiast je ukrywać, tak jak niegdyś ukrywała ślady pejczy, które pozostawił na jej ciele Sir Stephen, na kilka dni przed jej wyjazdem, biegłaby teraz do niej, żeby się nimi pochwalić. Jacqueline wróciła jednak dopiero osiem dni później. Renę też był nieobecny. Przez te osiem dni O, na żądanie Sir Stephena, kazała sobie uszyć kilka letnich sukienek na upalne dni i sukien wieczorowych. Pozwolił jej tylko na dwa warianty obydwu modeli: jeden z zamkiem błyskawicznym od góry do dołu (O miała już podobne) i drugi składający się z szerokiej, wachlarzowej spódnicy, dającej się jednym ruchem zadrzeć do góry, noszony zawsze z gorsetem sięgającym pod same piersi i bolerkiem zapinanym przy szyi. Wystarczyło zdjąć bolerko, żeby obnażyć ramiona i piersi lub tylko je rozpiąć, jeśli chciało się zobaczyć piersi. Nie było kwestii co do kostiumów kąpielowych, O nie mogła ich nosić: żelazne kółka wystawałyby spod niego. Sir Stephen powiedział jej, że tego lata będzie się kąpać wyłącznie nago. O mogła się przekonać, że lubi, gdy jest przy nim, nawet jeśli nie ma na nią akurat ochoty, niejako machinalnie chwycić ją za łono, ścisnąć całą garścią jej futerko, wcisnąć dłoń pomiędzy jej uda i szperać tam długo, powoli. Rozkosz jaką ona sama odczuwała trzymając w ten sposób wilgotną i rozpaloną Jacqueline zaciskającą uda na jej dłoni, była próbką i zarazem gwarancją rozkoszy Sir Stephena. Rozumiała, że

nie chce, aby było to choćby odrobinę trudniejsze. W sukienkach z prążkowanego albo groszkowanego diagonalu, w kolorach szaro-białym albo błękitnym i białym, które O wybrała na letnią spódniczkę i dopasowane, zapinane bołerko, czy też w poważniejszych sukniach, bufiastych, z czarnego nylonu, skromnie umalowana, bez kapelusza i z rozpuszczonymi włosami, O wyglądała na młodą intelektualistkę. Wszędzie gdzie zabierał ją Sir Stephen, brali ją za jego córkę, albo siostrzenicę, tym bardziej, że od jakiegoś czasu zwracał się do niej przez ty, ona zaś w dalszym ciągu używała pluralis maiestatis. Sami we dwoje w Paryżu, przechadzając się po ulicach i oglądając wystawy butików, lub spacerując wzdłuż bulwarów, gdzie bruki pokryte były kurzem - tak było sucho - patrzyli nie bez zdziwienia na przechodniów, uśmiechających się do nich tym uśmiechem, jaki posyła się ludziom szczęśliwym. Zdarzyło się, że Sir Stephen zaciągał ją znienacka do jakiejś bramy, gdzie było ciemno i dolatywał zapach piwnicy, tulił ją, całował i mówił jej, że ją kocha. O zaczęła wysokimi obcasami o próg bramy, w miejscu gdzie wykrojone są mniejsze, zwykle drzwi. Spoglądali w głąb podwórka, gdzie w oknach suszyła się bielizna. Oparta łokciami o balkon jasnowłosa dziewczyna przyglądała im się nieruchomo, a kot mruczał na nich gdzieś pod nogami. Spacerowali tak po Gobelins, Saint-Marcel, rue Mouffetard, byli u Templariuszy i w Bastylji. Któregoś razu Sir Stephen kazał jej nagle wejść do ubogiego hoteliku na godziny, gdzie recepcjonista chciał najpierw, żeby wypełnili formularze, potem zaś powiedział, że to niepotrzebne, jeśli chcą zostać tylko godzinę. Tapeta w pokoju była błękitna, w wielkie, złociste piwonie, a okno wychodziło na brudne podwórko-studnię, skąd dolatywał smród śmietnika. W słabym świetle żarówki u wezłowania można było jednak zobaczyć na marmurowym kominku przewrócone pudełko z pudrem ryżowym i śniegowe szpilki. Na suficie nad łóżkiem znajdowało się duże lustro. Pewnego razu Sir Stephen zaprosił wraz z O na śniadanie dwóch swoich rodaków, będących przejazdem w Paryżu. Zamiast wezwać ją do siebie, przyszedł po nią do jej mieszkania przy bulwarze de Bethun, godzinę wcześniej. O zdążyła już wziąć kąpiel, nie była jednak uczesana, umalowana ani ubrana. Ze zdziwieniem spostrzegła, że Sir Stephen ma ze sobą torbę do golfa. Zdziwienie jej szybko jednak zniknęło: Sir Stephen kazał jej otworzyć torbę. W środku znajdowały się skórzane pejcze, dwa nieco grubsze, z czerwonej skóry, dwa cienkie i długie ze skóry czarnej, bicz do flagellacji z długimi rzemieniami w kolorze zielonym, zawiniętymi na końcach, inny ze sznurków z licznymi supłami, bicz na psa z jednego, grubego kawałka skóry i z plecioną rękojeścią, wreszcie skórzane bransolety, takie jak w Roissy oraz sznury do wiązania. O ułożyła to wszystko, jedno przy drugim, na łóżku. Pomimo całego swego doświadczenia i przejść jakie ją spotkały, trzęsła się cała. Sir Stephen przytulił ją do siebie.

- Co wybierasz, O? - zapytał.

Ona jednak zaledwie mogła mówić i czuła już, że pot spływa jej pod pachami.

- Co wybierasz? - powtórzył. - No, dobrze, skoro milczysz, to najpierw mi pomożesz

Zażądał gwoździ, a wymyśliwszy jak zawiesić skrzyżowane bicze i pejcze, żeby tworzyły coś w rodzaju dekoracji, pokazał O miejsce pomiędzy lustrem a kominkiem, dokładnie naprzeciw jej łóżka, gdzie kawałek boazerii doskonale się do tego nadawał. Wbił gwoździe. Bicze i pejcze miały kółka na końcu rękojeści, które można było zaczepić na hakach w kształcie litery X, co pozwalało je bez trudu zdejmować i zawieszać. Wraz z bransoletami i zwiniętymi sznurami, O miała w ten sposób, na wprost łóżka kompletną panoplię narzędzi kary. Była to urocza panoplia, świetnie zharmonizowana, jak koło i obcęgi na obrazach przedstawiających świętą Katarzynę męczennicę, albo młot i gwoździe, korona cierniowa, włócznia i różgi na obrazach Męki Pańskiej. Kiedy wróci Jacqueline... lecz przecież chodziło tu również o Jacqueline. Trzeba było wreszcie odpowiedzieć na pytanie Sir Stephena. O nie mogła, więc wybrał sam: bicz na psa. U La Perouse'a, w małym, osobnym gabinecie, gdzie postacie a la Watteau, o nieco już wyblakłych barwach, przypominały na zanurzonych w cieniu ścianach aktorów z teatru lalek, O została posadzona sama na kanapie, mając po swej lewej i prawej stronie dwóch przyjaciół Sir Stephena siedzących w fotelach - sam Sir Stephen zajął miejsce naprzeciwko niej. Jednego z tych mężczyzn O widziała w Roissy, nie pamiętała jednak, czy należała wówczas do niego. Drugim był wysoki, rudy chłopak o szarych

oczach, który z pewnością nie miał więcej jak dwadzieścia pięć lat. Sir Stephen powiedział im w dwóch słowach dlaczego zaprosił O i kim ona jest. Słuchając go, O znów zdziwiona była wulgarnością jego języka. Za kogo jednak, jeśli nie za dziwkę, mogłaby uchodzić dziewczyna, która w obecności trzech mężczyzn, nie licząc wchodzących i wychodzących kelnerów, podających kolejne dania, godziła się rozpiąć gorset, żeby pokazać piersi, których koniuszki były pomalowane pomadką, a na dodatek przez ich białą skórę biegły dwie sine pręgi, świadczące, że została zbita pejczem? Posiłek trwał długo, a dwaj Anglicy pili dużo. Przy kawie, kiedy przyniesiono już likiery, Sir Stephen przepchnął stół na przeciwległą ścianę i zadarłszy najpierw do góry jej suknię, żeby pokazać swoim przyjaciołom w jaki sposób O jest naznaczona, oddał im ją. Mężczyzna, którego spotkała w Roissy załatwił się z nią szybko nie ruszając się z fotela ani nawet nie dotykając jej palcem, kazał jej natychmiast uklęknąć przed sobą, zabrać się za jego męskość i pieścić ją dopóki nie wyładował się w jej ustach. Potem kazał, żeby doprowadziła go do porządku i wyszedł. Natomiast rudy chłopak, którego poruszyło do głębi posłuszeństwo O, jej żelazne okowy i ślady sznura, jakie dostrzegł na jej ciele, zamiast rzucić się na nią - jak się tego spodziewała - ujął ją za rękę i sprowadził po schodach, nie zważając na drwiące uśmieшки kelnerów, po czym złapał taksówkę i zabrał do siebie do hotelu. Wypuścił ją dopiero w nocy, przeorawszy z szaloną pasją jej łono i pośladki, które srogo poranił - taki okazał się gruby i twardy - upojony nagłą wolnością, że mógł oto spenetrować kobietę z obu stron, a na dodatek został przez nią potraktowany w ten sposób, jaki podpatrzył właśnie w restauracji, a teraz postanowił sam wypróbować (do tej pory nie ośmielił się zażądać tego od nikogo). Nazajutrz, o drugiej, kiedy O przyszła do Sir Stephena, który ją wezwał do siebie, zastała go z twarzą smutną i postarzałą.

- Eric zakochał się w tobie do szaleństwa, O - powiedział. - Przyszedł dziś rano błagać mnie bym ci zwrócił wolność i oznajmić, że chce się z tobą ożenić. Pragnie cię ocalić. Wiesz, jak postępuję z tobą, O, a skoro jesteś moja, to nie wolno ci odmówić. Wiesz jednak, że zawsze możesz odmówić tego, żeby należeć do mnie. Mówiłem mu o tym. Przyjdzie tu o trzeciej.

O zaczęła się śmiać.

- Czy to trochę nie za późno? - powiedziała. - Poszaleliście obydwaj. Gdyby Eric nie przyszedł tu dziś rano, cóż robiłby pan ze mną po południu? Poszlibyśmy na spacer i to wszystko? W takim razie chodźmy na spacer. A może w ogóle by mnie pan nie wezwał? No cóż, w takim razie idę...

- Nie - przerwał jej Sir Stephen. - Wezwałbym cię i tak, O, ale nie po to, żebyśmy poszli na spacer. Chciałbym...

- Proszę mówić.

- Chodź, tak będzie prościej.

Wstał i otworzył drzwi naprzeciw kominka, symetrycznie względem drzwi wejściowych do gabinetu. O myślała zawsze, że to drzwi od ściennej szafy. Tymczasem zobaczyła maleńki buduar, świeżo wymalowany i obity ciemnopąsowym jedwabiem. Połowę pokoiku zajmowała zaokrąglona estrada, z dwiema kolumnami po bokach, taka sama jak ta w sali muzycznej w Samois.

- Ściany i sufit są wybite korkiem, drzwi wyściełane, a w oknach kazał pan zapewne wstawić podwójne szyby? Sir Stephen skinął głową.

- Kiedy to pan przygotował? - spytała O.

- Przed twoim powrotem.

- No więc dlaczego...?

- Dlaczego czekałem z tym aż do dzisiaj? Bo czekałem aż przejdiesz przez inne ręce niż moje. Ukarzę cię teraz. Nigdy tego nie robiłem, O.

- Ależ należę do pana - powiedziała O. - Proszę mnie ukarać. Kiedy przyjdzie Eric...

W godzinę później, na widok O, rozciągniętej groteskowo pomiędzy dwiema kolumnami, chłopak zbladł, wymamrotał coś i uciekł. O myślała, że nigdy go już nie zobaczy. Spotkała go potem w Roissy, pod koniec września, gdzie zajmował się nią przez trzy kolejne dni, dziko się nad nią znęcając.

SOWA

To, że mogła się kiedyś wahać z opowiedzeniem Jacqueline o swojej rzeczywistej kondycji (jak to słusznie nazwał René) wydawało się teraz O zupełnie niezrozumiałe. Anne-Marie uprzedzała ją, że wróci zupełnie odmieniona. Nigdy by jednak nie sądziła, że aż do tego stopnia. Wydawało się jej zupełnie naturalne - odkąd wróciła Jacqueline, bardziej jeszcze promienna i świeża niż zazwyczaj - żeby nie kryć się przed nią ani w czasie kąpieli, ani gdy się przebierała. Zachowywała się tak jak zawsze gdy była sama. Jacqueline nie przywiązywała jednak uwagi do wszystkiego co nie było nią samą i trzeba było dopiero, żeby nazajutrz po swoim przyjeździe weszła przypadkiem do łazienki w chwili, gdy O wychodząc z wody przekraczała brzeg wanny i zawadziła żelaznym krążkiem o emalię - dziwny dźwięk zwrócił uwagę Jacqueline. Odwróciła głowę w jej stronę i zobaczyła naraz krążek zwisający pomiędzy nogami O i pręgi na jej piersiach i udach.

- Co ci się stało? - zapytała.

- To Sir Stephen - odpowiedziała O. I dodała jeszcze jakby od niechcenia:

- René oddał mnie jemu. Jestem naznaczona jego imieniem. Popatrz tylko.

I nie przestając wycierać się ręcznikiem, podeszła do Jacqueline (która z wrażenia przysiadła na taborecie) na tyle blisko, żeby mogła wziąć krążek do ręki i odczytać napis. Potem zsunąwszy z siebie peniuar, odwróciła się i wskazując ręką litery S i H wypalone głęboko na pośladkach, powiedziała:

- Tu mam jego monogram. Reszta to ślady pejsza. Chłoscze mnie zazwyczaj sam, lecz czasami każe to robić swojej czarnej służącej.

Jacqueline patrzyła na nią nie mogąc wydobyć z siebie słowa. O roześmiała się, potem chciała ją objąć, Jacqueline wystraszona odepchnęła ją i uciekła do pokoju. O bez pośpiechu wytarła się do sucha, wyperfumowała się, wyszczotkowała włosy. Założyła swój pas, pończochy, pantofelki i kiedy ona z kolei popchnęła drzwi do pokoju, napotkała w lustrze wzrok Jacqueline, która siedząc przy toalecie czesała się bezwiednie, sama nie wiedząc co robi.

- Zasznurowuj mi pas, tylko mocno. Jesteś bardzo zdziwiona. René jest w tobie zakochany, czy nic ci nie mówił?

- Nie rozumiem - odrzekła Jacqueline.

I naraz wyznała to, co najbardziej ją dziwiło:

- Wyglądasz, jakbyś była z tego dumna, nie rozumiem.

-Kiedy René zawiezie cię do Roissy, zrozumiesz. Sypiasz już z nim? Potężny rumieniec oblał twarz Jacqueline, która zaprzeczyła ruchem głowy w sposób tak nieprzekonujący, że O znowu zaniosła się śmiechem.

- Kłamiesz, kochanie - głupia jesteś. Masz prawo z nim sypiać. To nie jest wcale powód, żeby mnie

odpychać. Pozwól się popieścić, to opowiem ci o Roissy.

Jacqueline spodziewała się gwałtownej sceny zazdrości w wykonaniu O i ustąpiła teraz czy to z powodu ulgi jaką odczuła, czy to z ciekawości, co O ma jej do opowiedzenia, czy może po prostu dlatego, że lubiła te cierpliwe, powolne i namiętne pieścizoty, jakimi obdarzała ją O? W każdym razie ustąpiła.

- Opowiadaj - odezwała się następnie do O.

- Dobrze - odrzekła O. - Ale najpierw ucałuj moje piersi. Czas, żebyś się czegoś nauczyła, jeśli chcesz się na coś przydać René. Jacqueline zrobiła to o co ją prosiła i to tak dobrze, że O jęknęła.

- Opowiadaj - powtórzyła raz jeszcze.

Opowieść O, mimo iż wierna i przejrzysta, wbrew materialnym dowodom jakie miała na własnym ciele, wydała się Jacqueline jakimś majaczeniem.

- Wracasz tam we wrześniu? - spytała.

- Kiedy wrócimy z wakacji na Południu - odpowiedziała O. - Zabiorę cię tam, albo René cię zabierze.

- Zobaczę to chętnie - podchwyciła Jacqueline - ale tylko zobaczę.

- Z pewnością można i tak - potwierdziła O, przekonana o czymś zgoła przeciwnym.

Wiedziała jednak, że skoro uda się jej przekonać Jacqueline, żeby przestąpiła kraty Roissy, Sir Stephen będzie wystarczająco zadowolony - tam już wystarczy lokaj, łańcuchów i bieży, żeby nauczyć Jacqueline grzeczności. Wiedziała też, że w willi niedaleko Cannes, gdzie miała spędzić miesiąc z René, Jacqueline i nim oraz małą siostrzyczką Jacqueline Jacqueline poprosiła o zgodę, żeby ją ze sobą zabrać - nie dlatego, żeby to od niej zależało, ale matka Jacqueline kazała jej uzyskać zgodę O, pokój, w którym będzie mieszkać i gdzie Jacqueline trudno będzie odmówić spędzenia z nią co najmniej poobiedniej sjeisty, kiedy nie będzie René, oddzielony jest od pokoju Sir Stephena ścianą posiadającą zamaskowany otwór w siatce wyobrażonej na iluzjonistycznym malowidle, pozwalający, po podniesieniu zasłonki widzieć i słyszeć wszystko równie dobrze, jakby się stało obok łóżka. Jacqueline będzie wystawiona na spojrzenie Sir Stephena, gdy O będzie ją pieścić, a kiedy się o tym dowie, będzie już za późno by się bronić. O myślała z rozkoszą, że wyda Jacqueline podstępem, gdyż czuła się obrażona widząc Jacqueline wobec jej stanu - napiętnowanej i chłostanej niewolnicy - który dla O był przedmiotem dumy.

O nigdy dotąd nie wyjeżdżała na Południe. Stale niebieskie niebo, niemal nieruchome morze i nietknięte wiatrem sosny pod słońcem w zenicie, wszystko to wydawało się jej kamienne i wrogie.

- Nie ma tu prawdziwych drzew - powtórzyła sobie ze smutkiem w wonnym lesie pełnym cyst i krzewinek mącznicy, gdzie wszystkie kamienie i nawet mchy były ciepłe i obojętne pod dotykiem ręki. -Morza nie czuć morzem - mówiła jeszcze.

Miała mu za złe, że wyrzucało tylko wstrętne algi - rozlazłe i żółtawe - przypominające łajno, że jest zbyt błękitne, że obmywa brzeg zawsze w tym samym miejscu. Lecz ogród wokół willi, który był dawnym folwarkiem przerobionym teraz na nowo, był daleko od morza. Wysoki mur z prawej i z lewej oddzielał posiadłość od sąsiadów. Skrzydło dla mieszkańców zwrócone było jedną stroną na dziedziniec wjazdowy, drugą zaś stroną - od ogrodu - gdzie z pokoju O na pierwszych piętrze wychodziło się wprost na taras, zwrócone było na wschód. Wierzchołki wielkich, czarnych wawrzynów sięgały dachówek stanowiących balustradę tarasu. Trzciniowe olatowanie chroniło taras przed południowym słońcem, czerwone płytki, którymi był wyłożony, były takie same jak na

podłódze w pokoju. Z wyjątkiem ściany oddzielającej pokój O od pokoju Sir Stephena - a była to ściana wielkiej alkowy zakończonej łukiem i odgraniczonej od reszty pokoju czymś w rodzaju balustrady podobnej do balustrady przy schodach, z kręconymi, drewnianymi trellisami - pozostałe ściany były wybielone wapnem. Grube, białe dywany na posadzkach były bawełniane, zasłony z żółtego i białego płótna. Były tam dwa fotele pokryte takim samym płótnem i składane na troje kambodżańskie materace. Resztę umeblowania stanowiła wspiana, pękata komoda z orzecha, w stylu epoki Regencji i długi, wąski stół wiejski, jasny i wywoskowany jak lustro. O porozwieszała sukienki w szafie na ubrania. Komoda posłużyła jej za toaletkę. Małą Natalie umieszczono tuż obok O i rano, kiedy wiedziała, że O zażywa kąpeli słonecznej na tarasie, wychodziła również i kładła się obok niej. Była to mała dziewczynka o bardzo jasnej cerze, nieco pulchna lecz delikatna, z oczami wydłużonymi w stronę skroni, tak jak jej siostra, ale czarnymi i lśniąco-czarnymi, co upodabniało ją trochę do Chinki. Czarne włosy były obcięte równo tuż nad brwiami, tworząc grubą grzywkę, tak samo prosto miała je obcięte ponad karkiem. Miała drobne piersi, zwarte i drżące, dziecięce, ledwie zarysowane biodra. Kiedyś przypadkiem, gdy szukając swojej siostry, weszła na taras, zobaczyła O opalającą się samotnie, leżącą płasko na brzuchu, na kambodżańskim materacu. To, co wywołało sprzeciw w Jacqueline, w niej obudziło pragnienie i zazdrość. Wypytała swoją siostrę. Odpowiedź Jacqueline, która sądziła, że zniechęci małą opowiadając jej historię, którą usłyszała od O, niczego nie zmieniła w uczuciach Natalie, wręcz przeciwnie. Zakochała się w O. Zdołała wytrzymać ponad tydzień, potem zaś, w niedzielne popołudnie zaaranżowała wszystko tak, żeby zostać z O sama. Upał był mniejszy niż zazwyczaj. Renę, który pływał przez część przedpołudnia, spał teraz na kanapie, w chłodnym pokoju na parterze. Jacqueline, urażona tym, że woli spać, przyszła do alkowy O. Morze i słońce sprawiły, że była jeszcze bardziej złocista: jej włosy, brwi, rzęsy, runo na podbrzuszu, nawet włosy pod pachami wydawały się być posypane złotym proszkiem, a ponieważ nie była umalowana, jej usta miały ten sam różowy odcień co różowe ciało pomiędzy udami. Żeby Sir Stephen - którego niewidzialną obecność czuła nieustannie na sobie - mógł lepiej widzieć szczegóły, O starała się jak najczęściej rozchyłać nogi Jacqueline i trzymać je w świetle: u wezglowia zapaliła bowiem lampkę. Okienne były zamknięte, pokój prawie ciemny, pomimo promyczka, który wpadł przez szparę pomiędzy nimi. Jacqueline jęczała przeszło godzinę pod pieszczotami O, aż wreszcie, z wyprężonymi piersiami, rękami odrzuconymi w tył, ściskając z całej siły drewniane drążki przy wezglowiu, zaczęła krzyczeć, gdyż O, rozchyliwszy szeroko płatki jej sromu otoczonego jasnym futerkiem, zaczęła powoli kasać wypukłość na ciele, w miejscu gdzie się łączyły pomiędzy udami delikatne i sprężyste wargi. O poczuła pod językiem jak jest gorąca i twarda, robiła wszystko by Jacqueline nie przestała krzyczeć, dopóki nie wyładowała się jednym nagłym wybuchem, pęknięta sprężyna, mokra z rozkoszy. Potem odesłała ją do siebie, gdzie Jacqueline natychmiast zasnęła. Była już na nogach, kiedy o piątej przyszedł po nią Renę, żeby wraz z Natalie wziąć ją nad morze, na małą żaglówkę, tak jak to robili zwykle. Późnym popołudniem zrywał się lekki wietrzyk.

- Gdzie jest Natalie? - zapytał Renę.

Natalie nie było w pokoju ani w całym domu. Wołali ją po ogrodzie. Renę doszedł aż pod lasek z dębami korkowymi, który rósł na przedłużeniu ogrodu. Nikt nie odpowiadał.

- Poszła już pewnie nad zatoczkę - powiedział Renę - albo jest na żaglówce.

Wyszli nie wołając już więcej. Wtedy to O rozciągnięta na materacu na tarasie, spostrzegła między dachówkami balustrady Natalie biegnącą w stronę domu. Wstała, założyła szlafrok - była zupełnie naga, tak było mimo wszystko upalnie - i zawiązywała właśnie pasek kiedy Natalie wpadła naraz z furią i rzuciła się na nią.

- Poszła sobie, nareszcie sobie poszła - krzyczała. - Słyszałam ją, O, obie was słyszałam! Podśluchiwałam pod drzwiami. Przytulałaś ją i pieściłaś. Dlaczego nie pieścisz mnie, dlaczego

mnie nie przytulisz? Dlatego, że jestem czarna i nieładna? Ona cię nie kocha, O, a ja cię Kocham.

Zaniosła się płaczem. „Ładne rzeczy!” pomyślała sobie O.

Wepchnęła małą na fotel, z komody wyjęła chusteczkę (była to chusteczka Sir Stephena) i kiedy Natalie uspokoiła się trochę, wytarła jej twarz. Natalie całując ją po rękach, prosiła teraz, żeby O jej przebaczyła.

- Nawet jeśli nie chcesz mnie przytulać, O, zatrzymaj mnie przy sobie. Zatrzymaj mnie na zawsze. Gdybyś miała psa, pozwoliłabyś, żeby był przy tobie. Jeśli nie chcesz mnie przytulać, a miałabyś ochotę mnie zabić, to możesz mnie zabić, tylko nie odsuwaj mnie od siebie.

- Przestań, Natalie, nie wiesz co mówisz - wyszeptała O cicho. Wtedy mała, równie cicho, osuwając się na kolana O, która przygarnęła ją do siebie, odpowiedziała:

- Och, dobrze wiem co mówię! Któregoś dnia podejrzałam cię na tarasie. Widziałam inicjały i to, że masz wielkie sine pręgi. A Jacqueline powiedziała mi wszystko.

- Co ci powiedziała?

- Gdzie byłaś, O, i co z tobą robili.

Mówiła ci o Roissy?

- Powiedziała mi też, że zostałam, że byłaś...

- Że co byłam?

- Że nosisz żelazne kółka.

- Tak - odpowiedziała. O - I co jeszcze?

- I jeszcze, że Sir Stephen codziennie cię chłoszcze.

- Owszem - odpowiedziała O - a teraz trzeba już iść. Idź już, Natalie. Natalie, nie ruszając się z miejsca, podniosła głowę w jej stronę i O zobaczyła naraz jej wzrok pełen uwielbienia.

- Naucz mnie wszystkiego, O, błagam cię! Chcę być taka jak ty. Zrobię wszystko, co mi każesz. Przrzeknij, że weźmiesz mnie z sobą, kiedy będziesz wracać tam, gdzie mówiła Jacqueline.

- Jesteś za mała - powiedziała O.

- Nieprawda, nie jestem za mała, mam ponad piętnaście lat - krzyczała z wściekłością. - Wcale nie jestem za mała, spytaj Sir Stephena - powtórzyła, gdyż właśnie wszedł.

Natalie uzyskała przyrzeczenie, że pozostanie przy O i że zostanie wzięta do Roissy. Sir Stephen zabronił jednak O uczyć ją jakichkolwiek pieszczot, całować ją - choćby tylko w usta - i pozwalać, żeby Natalie ją całowała. Chciał, żeby przybyła do Roissy nietknięta czyjąkolwiek ręką, czyimikolwiek ustami. Zażądał natomiast - skoro nie chciała opuszczać O - żeby odtąd była z nią w każdym momencie, żeby patrzyła jak O kocha się z Jacqueline, jak pieści jego samego, jak mu się oddaje, żeby była przy niej również wtedy, gdy będzie ją chłostał, lub gdy będzie ją smagać różgami stara Nora. Pocałunki, jakimi O będzie obdarzać jej siostrę, widok jej ust na ustach Jacqueline, z pewnością wzbudzą w małej dziką zazdrość i nienawiść. Lecz Natalie, skulona na dywanie w sypialni O, niczym mała Dinar przy łóżku Szeherazady patrzyła na O, która na klęczkach brała pokornie w usta napęczniałą i sztywną męskość Sir Stephena, O schyloną i rozchylającą własnoręcznie pośladki, żeby ułatwić mu wejście, bez żadnego innego uczucia poza uwielbieniem, niecierpliwością i pożądaniem. Czy O zanadto liczyła na obojętność, a zarazem na zmysłowość Jacqueline, czy też może Jacqueline uznała w swojej naiwności, że ze względu na Renę, dalsze uleganie O może być dla niej niebezpieczne, dość że naraz tego zaprzestała. W tym

samym mniej więcej czasie zaczęła trzymać René, z którym spędzała niemal wszystkie noce i wszystkie dnie, jakby na dystans. Nigdy wprawdzie nie wyglądała na osobę zakochaną. Patrzyła na niego chłodno, a kiedy się uśmiechała, to uśmiech ten omijał jego oczy. Przyjmując, że była przy nim równie swobodna, co przy niej - co było prawdopodobne - O nie mogła się oprzeć przekonaniu, że ta swoboda do niczego Jacqueline nie zobowiązuje. Tymczasem René usychał z pożądania, zagubiony przy niej i sparaliżowany nieznaną dotąd miłością, miłością niepokojącą, która nie zapewniała wzajemności, pełną obawy, że może zostać odrzucona. Żył, sypiał w tym samym domu co Sir Stephen, w tym samym domu co O, chadzał z nimi na spacer, rozmawiał z nimi: nie widział ich jednak i nie słyszał. Patrzył, słuchał, mówił gdzieś poza nimi, jakby poprzez nich, bez przerwy usiłując dotknąć, w niemym, wyczerpującym wysiłku, przypominającym wysiłek jaki zdarza się we śnie, kiedy chcesz wyskoczyć z jadącego tramwaju czy schwycić balustrady walącego się mostu, usiłując zatem dociec racji bytu, istoty Jacqueline, która powinna kryć się gdzieś wewnątrz, pod jej złocistą skórą, tak jak pod porcelanową powłoką ukryty jest mechanizm, dzięki któremu wydają głos lalki. Oto więc, myślała O, oto więc nadszedł dzień, którego tak się bałam - kiedy stałam się dla René cieniem dawnego życia.

Nie jestem nawet smutna, czuję do niego jedynie litość i mogę patrzeć na niego co dzień, bez żadnej urazy, że już mnie nie kocha, bez goryczy, bez żalu. A przecież jeszcze parę tygodni temu, biegłam błagać go, żeby powiedział, że mnie kocha. To była moja miłość? Tak lekka, tak łatwa do odwołania? Jakiego zresztą odwołania: jestem szczęśliwa. Wystarczyło więc, że oddał mnie Sir Stephenowi, żebym uwolniła się od niego i w nowych ramionach tak natychmiast narodziła się do nowej miłości? Bo i czym był René wobec Sir Stephena? Sznurem skręconym z siana, słomianym powrozem, kulą u nogi zrobioną z korka

- oto czym okazały się naprawdę więzy, które jej narzucił i które tak łatwo zerwał. Lecz cóż za wytchnienie, jaka słodycz z powodu żelaznych okowów, przebijających ciało i których ciężar czuje się bez przerwy, piętna, którego nie da się nigdy wymazać, ręki waszego pana, która kładzie was na kamiennym łożu, miłości do pana, który wie jak, bez litości, wziąć sobie to co chce, a co należy do niego. O pomyślała sobie na koniec, że kochała René tylko po to, żeby nauczyć się jak kochać i z pokorą i radością oddawać się Sir Stephenowi. Jednakże widok René - kochała go zawsze za to, że był przy niej taki swobodny - który chodził teraz jak spętany, jak gdyby brnął przez zarośnięty sitowiem staw, z pozoru spokojny, lecz posiadający w głębi ukryty nurt, otóż widok ten wywołał w O nienawiść do Jacqueline. René domyślił się tego - czyżby O była na tyle nieroztropna, żeby dać to po sobie poznać? To był błąd. Obie z Jacqueline udały się po południu do Cannes, do fryzjera, potem jadły lody na tarasie la Reserve. Jacqueline w swoich spodniach do kolan i czarnym, lnianym trykocie, przyćmiewała wszystkich wokół, tak gładka, tak złocista, tak wyniosła, tak świetlista w słońcu, tak zuchwała i tak niedostępna. Powiedziała O, że umówiła się z reżyserem, z którym kręciła film w Paryżu, w sprawie zdjęć plenerowych, prawdopodobnie gdzieś w górach, koło Saint-Paul-de-Vence. Chłopak okazał się bezpośredni i śmiały. Nie musiał nic mówić. Było oczywiste, że kocha się w Jacqueline. Wystarczyło na niego spojrzeć. Czy było w tym coś zaskakującego? Już bardziej zaskakująca była Jacqueline. Rozłożona w bujanym fotelu słuchała go jak mówił o terminach, spotkaniach, o trudnościach z uzyskaniem pieniędzy na dokończenie filmu. Zwracał się do niej przez „ty”, Jacqueline zaś odpowiadała mu kiwając bądź kręcąc głową i przysmykając do połowy oczy. O siedziała naprzeciwko niej, chłopak pomiędzy nimi. Bez trudu dostrzegła, że pod przymkniętymi powiekami Jacqueline łowi skwapliwie wszelkie objawy pożądania chłopaka, tak jak to robiła zawsze, przekonana, że nikt tego nie zauważy. Najdziwniejsze było jednak zobaczyć ją zaniepokojoną, z rękoma wzdłuż ciała, bez cienia uśmiechu, poważną - O nie widziała jej nigdy takiej przy René. Jakiś przelotny uśmiech zjawił się na jej wargach dopiero w chwili, kiedy O pochyliła się, żeby odstawić szklankę z wodą z lodem i spojrzenia ich się skrzyżowały - O zrozumiała, że Jacqueline zdaje sobie sprawę, że została przejrzana. Nie speszzyło jej to bynajmniej - to O się zaczerwieniła.

- Za gorąco ci? - spytała Jacqueline. - Idziemy za pięć minut. A zresztą do twarzy ci z tym.

Potem uśmiechnęła się znowu, lecz tym razem z taką nieukrywaną czułością, zwracając wzrok na swego rozmówcę, że wydawało się pewne, iż chłopak rzuci się zaraz na nią, by ją pocałować. A jednak nie. Był za młody, żeby poznać się na tej beczelności ukrytej za tym pozornym bezruchem i milczeniem. Pozwolił Jacqueline wstać, podał jej rękę, powiedział do widzenia. Miała do niego dzwonić. Powiedział jeszcze do widzenia cieniowi, jakim była dla niego O i stojąc na chodniku patrzył w ślad za czarnym Buickiem toczącym się aleją pomiędzy rozgrzanymi słońcem domami, a zbyt niebieskim morzem. Palmy wyglądały jak wycięte z blachy, przechodnie jak nie najlepiej odlane, woskowe manekiny, poruszane jakimś absurdalnym mechanizmem.

- Czy to właśnie sprawia ci przyjemność? - spytała O Jacqueline, gdy samochód wyjechał z miasta i zaczął wspinać się na górską drogę nad urwiskiem.

- Obchodzi cię to? - odrzekła Jacqueline.

- To obchodzi Renę - odparowała O.

- To co również obchodzi Renę i Sir Stephena, a jak dobrze zrozumiałam, jeszcze pewną ilość innych mężczyzn, to fakt, że bardzo źle siedzisz. Pognieciesz sobie spódnice.

O nie poruszyła się.

- coś mi się zdaje - powiedziała jeszcze Jacqueline - że nie wolno ci nigdy zakładać nogi na nogę?

Lecz O nie słuchała jej już. Cóż ją obchodziły groźby Jacqueline? Czy Jacqueline groziła jej, że doniesie na nią z powodu tej błaźniny, po to by O nie naskarżyła na nią Renę? O miałyby nawet na to ochotę. Lecz Renę nie zniosłby tego, gdyby dowiedział się, że Jacqueline go okłamuje i że pragnie być od niego niezależna i decydować o sobie poza jego osobą. Jak wyjaśnić Jacqueline, że milczy tylko dlatego, bo nie chce widzieć jak Renę traci twarz, jak blednie przed nią, a być może okaże się na tyle słaby, że nawet jej nie ukarze? Bała się również jego wściekłości z jaką patrzyłby na nią, zwiastunkę złych nowin i donosicielkę. Jak dać Jacqueline do zrozumienia, że nic nie powie i żeby nie wyglądało to na targ, coś za coś? Jacqueline albowiem była przekonana, że O strasznie się boi, że zmroził ją strach przed tym co się z nią stanie, jeśli Jacqueline ją zdradzi. Kiedy wysiadły z samochodu, na dziedzińcu starego domostwa, nie odzywały się do siebie słowem. Jacqueline, nie patrząc na O, zerwała łodygę białego geranium, które rosło koło fasady domu. O szła przy niej na tyle blisko, że czuła delikatny, mocny zapach kwiatu, który mięła w rękach. Może sądziła, że zamaskuje w ten sposób zapach własnego potu, srebrzącego się nadmiernie na jej ciele i tworzącego ciemniejsze plamy pod pachami czarnego trykotu? W dużej sali z czerwoną posadzką i ścianami wybielonymi wapnem, Renę był sam.

- Spóźniłyście się - zaczął, gdy weszły do środka. - Sir Stephen czeka na ciebie obok - dorzucił zwracając się do O. - Jesteś mu potrzebna i nie wygląda na zadowolonego.

Jacqueline wybuchnęła śmiechem. O spojrzała na nią i zrobiła się czerwona.

- Mogłybyście wybrać sobie inny moment - powiedział Renę, który wytłumaczył sobie fałszywie śmiech Jacqueline i niepokój O.

- Nie chodzi o to - powiedziała Jacqueline. - Nie wiesz jednak, Renę, że twoja śliczna, posłuszna dziewczynka, wcale nie jest taka posłuszna, kiedy ciebie nie ma. Popatrz tylko na jej sukienkę - jest cała wygnieciona.

O stała pośrodku pokoju, na wprost Renę. Kazał się jej odwrócić, ale nie ruszyła się.

- Zakłada też nogę na nogę - dodała Jacqueline - ale tego oczywiście nie da się zobaczyć. Ani tego jak zaczepia chłopców.

- To nieprawda - krzyknęła O. - To ty tak robisz! - i rzuciła się na Jacqueline.

Renę zdążył złapać ją w ostatniej chwili zanim uderzyła Jacqueline, ona zaś wrywała się w jego rękach, pragnąc poczuć, że jest od niego słabsza i zależna od jego łaski, kiedy, podniósłszy głowę, zauważyła Sir Stephena stojącego w drzwiach, który patrzył na nią. Jacqueline wtuliła w kanapę swoją małą twarzyczkę stężoną ze strachu i złości, O zaś czuła, że Renę, mimo tego, iż zajęty przytrzymywaniem jej, zwraca uwagę tylko na Jacqueline. Przestała się szarpać i bojąc się, żeby Sir Stephen nie pomyślał sobie, że naprawdę zawiniła, powtórzyła jeszcze raz, tym razem cicho:

- To nieprawda, przysięgam panu, że to nieprawda.

Bez słowa, nie patrząc na Jacqueline, Sir Stephen dał znak Renę, żeby ją puścił, O zaś, żeby szła za nim. Lecz po drugiej stronie drzwi, przyparta natychmiast do ściany i schwycona za podbrzusze i piersi, z ustami otworzonymi językiem Sir Stephena, jęczała ze szczęścia i poczucia wolności. Koniuszki jej piersi stwardniały pod palcami Sir Stephena. Drugą ręką natomiast tak brutalnie miętosił jej łono, że mało nie zemdliała. Nie ośmieliłaby się nigdy powiedzieć mu, że żadna rozkosz, żadna radość, żadne wyobrażenie nie mogło się równać ze szczęściem jakie czuła z powodu absolutnej swobody z jaką się nią posługiwał, że wiedział, iż nie musi się od niczego powstrzymać, że nie ma dla niego żadnych ograniczeń w czerpaniu rozkoszy z jej ciała. Pewność, że kiedy ją dotyka czy to po to by ją pieścić, czy też by ją zbić, że gdy żąda od niej czegoś, robi to wyłącznie z własnej ochoty, pewność, że bierze pod uwagę tylko własną rozkosz napełniała O taką radością, że często na samą myśl o tym czuła jak spada na nią jakby ognisty płaszcz, rozpalona zbroja obejmująca ją od ramion do kolan. Teraz, kiedy stała oparta o ścianę, z zamkniętymi oczami, szepcząc „kocham pana” gdy starczało jej tchu, ręce Sir Stephena, mimo iż zimne niczym źródło przy tej gorącej zbroi, wędrujące z góry na dół po jej ciele, rozpalały ją jeszcze mocniej. Ustąpiły delikatnie, opuszczając na powrót jej spódnicę na mokre uda i zapinając bolerko.

- Chodź, O - powiedział. - Jesteś mi potrzebna.

Wtedy, otworzywszy oczy, O ujrzała naraz, że jest tu jeszcze ktoś. Duży pokój o pustych, bielonych ścianach, podobny do sali przez którą się wchodziło, otwierał się poprzez wielkie, oszklone drzwi na ogród, a na tarasie poprzedzającym ogród, siedział w wiklinowym fotelu, z papierosem w ustach, olbrzym o łysej czaszce i z ogromnym brzuchem wypychającym mu rozpiętą koszulę i płócienne spodnie. Patrzył na nią. Podniósł się i skierował w stronę Sir Stephena, który wypchnął O przed siebie. O zobaczyła zwisający z kieszonki na zegarek, krążek z emblematem Roissy. Jednakże Sir Stephen przedstawił O uprzejmie i wskazując na olbrzyma, powiedział „Komendant”, nie nazywając go po imieniu. Po raz pierwszy odkąd miała do czynienia z kimś z towarzystwa z Roissy (nie licząc Sir Stephena), została zaskoczona tym, że całowano ją w rękę. Wszyscy troje weszli na powrót do pokoju, pozostawiając otwarte okno. Sir Stephen podszedł do kominka w kącie i zadzwonił. O zobaczyła na chińskim stoliku obok kanapy, butelkę whisky, syfon i szklanki. Nie dzwonił zatem po coś do picia. Jednocześnie dostrzegła również na podłodze przy kominku wielkie białe pudła z tektury. Mężczyzna z Roissy zasiadł w plecionym fotelu, Sir Stephen natomiast przysiadł na okrągłym stoliku, tak że jedna noga zwisała mu poza blat. O, której wskazano miejsce na kanapie, posłusznie uniosła spódnicę i poczuła na udach delikatne uklucie bawełnianego obicia. Weszła Nora. Sir Stephen kazał jej rozebrać O i wziąć jej ubranie. O pozwoliła zdjąć z siebie bolerko, sukienkę, usztywniany pas, którym była ściśnięta i pantofelki. Kiedy już była naga, Nora wyszła, O zaś, powróciwszy automatycznie do regulaminu z Roissy, wiedząc, że Sir Stephen oczekuje od niej wyłącznie idealnego posłuszeństwa, została na środku pokoju ze spuszczoneym wzrokiem, tak że raczej domyśliła się niż zobaczyła Natalie wślizgującą się przez otwarte okno,

ubraną na czarno, jak jej siostra, na boso i w milczeniu. Z pewnością Sir Stephen musiał wcześniej mówić o Natalie. Zadowolili się podaniem mężczyźnie jej imienia (choć o nic nie pytał) i poprosił, żeby napelniła szklanki. Kiedy podała im whisky, wodę selterską i lód (a brzęk trącanych szklanek był jedynym odgłosem rozdzierającym absolutną ciszę), Komendant, ze szklanką w ręce, podniósł się z fotela, w którym siedział przez cały czas gdy O się rozbierała, i zbliżył się do niej. O była przekonana, że schwyci ją zaraz za pierś, albo ściśnie ręką za jej podbrzusze. On nie tknął jej jednak, zadowolając się obejrzeniem jej sobie z bliska, przyglądając się rozchyłonym ustom, rozstawionym nogom. Obszedł ją naokoło, przyglądając się uważnie piersiom, udom, pośladkom, a to jego milczące zainteresowanie i bliskość monstrualnego ciała tak ją speszyły i przerażały, że O nie wiedziała już sama czy chce uciekać, czy też przeciwnie - pragnie by rozciągnął ją na ziemi i zmiążdżył. Była tak poruszona, że wbrew regule, podniosła wzrok na Sir Stephena, szukając u niego jakiegoś ratunku. Zrozumiał to, uśmiechnął się, podszedł do niej i schwycił jej rękę, wykręcił je do tyłu i przytrzymał w swoich. Poddała mu się z zamkniętymi oczami i jak we śnie czy przynajmniej w mrocznym półśnie, spowodowanym wyczerpaniem - tak jak niegdyś w dzieciństwie, gdy wychodząc z narkozy słyszała lekarzy, którzy przekonani, że wciąż jeszcze śpi, rozmawiali o niej, o jej włosach, jasnej skórze, płaskim brzuchu, na którym pojawiał się właśnie pierwszy puszek - teraz słyszała nieznajomego komplementującego ją przed Sir Stephenem, szczególnie chwającego wdzięk jej jakby za dużych piersi i cienkiej talii oraz okowy, grubsze i okazalsze niż do tej pory zdarzyło mu się widzieć. Dotarło również do niej, że Sir Stephen musiał mu ją obiecać na przyszły tydzień, gdyż teraz dziękował mu za to. Wtedy Sir Stephen, ująwszy ją za kark, powiedział czule, żeby się obudziła i poszła wraz z Natalie na górę, do swojego pokoju, gdzie ma poczekać. Wszystko przez to, że była tak skołowana, a Natalie, upojona radością, że zobaczy O z kimś innym niż Sir Stephenem, tańczyła wokół niej coś w rodzaju tańca czerwonoskórych i wykrzykiwała:

Jak myślisz, czy włoży ci również w usta? Widziałas jak patrzył na twoje usta? Ach, jaka jestem szczęśliwa, że on ma na ciebie chęć! Na pewno cię wychłoscze: trzy razy oglądał twoje blizny, kiedy zauważył, że byłaś biczowana. Przynajmniej przez jakiś czas nie będziesz myślała o Jacqueline.

- Ale ja wcale nie myślę bezustannie o Jacqueline - powiedziała O. - Głupia jesteś.
- O nie! wcale nie jestem głupia - odrzekła mała. - Dobrze wiem, że ci jej brakuje.

Była to prawda, choć nie do końca. Tym czego jej brakowało nie była, ściśle mówiąc, Jacqueline, lecz dziewczęce ciało, z którym można robić co się chce. Natalie nie była jej zakazana, mogła wziąć Natalie, a jedynym powodem, że nie chciała złamać zakazu była pewność, że za kilka tygodni dostanie ją w Roissy i że przedtem właśnie przy niej, i dzięki niej Natalie zostanie rozdzwiczona. O pragnęła jak najprędzej zniszczyć tę ścianę powietrza, przestrzeni, pustki, jaka istnieje między Natalie a nią, a jednocześnie znajdowała upodobanie w czekaniu, do którego została zmuszona. Powiedziała o tym Natalie, która skinęła głową, lecz nie wierzyła jej:

- Gdyby Jacqueline tu była i tylko zechciała, pieściłabyś ją na pewno.
- Na pewno - odpowiedziała O ze śmiechem.
- A widzisz... - zakończyła dziewczynka.

Czy warto było w ogóle jej tłumaczyć, że nie, O nie jest zakochana ani w Jacqueline, ani zresztą w Natalie, czy jakiejś innej, konkretnej dziewczynie, lecz w dziewczętach jako takich i że można być zakochanym w swoim własnym obrazie i odbiciu - uważając inne za piękniejsze od siebie. Rozkosz jaką sprawiał jej widok dziewczyny dyszącej pod jej pieszczotami, te przymknięte oczy, te koniuszki piersi twardniejące pod jej wargami i zębami, to że można zagłębić rękę pomiędzy jej uda i pośladki, czuć jak zaciskają się wokół palców i słysząc jak jęczy, odwrócić jej głowę do siebie - rozkosz ta była dla niej tak przejmująca dlatego, że stanowiła nieustający dowód na to, jakiej

rozkoszy dostarczała ona sama, kiedy ona z kolei zaciskała uda na czyjejs ręce i jęczała, z tą tylko różnicą, że nie dostarczała jej dziewczętom, a tylko mężczyznom. Uważała ponadto, że dziewczęta, które pieściła, miały prawo do mężczyzny, tak jak i ona, i że była z nimi tylko w zastępstwie. Gdyby Sir Stephen wszedł do jej sypialni, w czasie kiedy jeszcze Jacqueline przychodziła do niej w czasie sjeści, mogłaby bez najmniejszych skrpułów - a wręcz z największą rozkoszą - przytrzymać rękami jej rozwarte nogi, jeśli miałby akurat ochotę ją posiąść, zamiast patrzeć przez zamaskowany otwór, jak to zwykle czynił. Można byłoby ją użyć do naganiania zwierzyny - była jak tresowany sokół, który bezbłędnie spada na ofiarę i przynosi ją w dziobie swemu panu. I właśnie... Teraz, kiedy wspominała z bijącym sercem delikatne, różowe wargi Jacqueline okryte jasnym futerkiem, jeszcze bardziej delikatne i różowe kółeczko pomiędzy pośladkami, które ośmieliła się sforsować tylko trzykrotnie, usłyszała Sir Stephena ruszającego się za ścianą. Wiedziała, że może ją zobaczyć, jednak nie sprawdzała tego i po raz kolejny poczuła się szczęśliwa z tego powodu, że jest stale wystawiona na jego spojrzenia, że zamknięta jest jakby w więzieniu jego spojrzeń. Mała Natalie siedziała na białym dywanie niczym mucha na mleku, O zaś stojąc przy pękatej komodzie służącej jej za toaletkę, nad którą mogła się przegłądać do połowy w starodawnym lustrze, zielonkawym i zmaconym jak powierzchnia stawu, rozmyślała o rycinach z końca ubiegłego wieku, gdzie nagie kobiety przechadzają się w półmroku apartamentów, w środku lata. Kiedy Sir Stephen popchnął drzwi, odwróciła się tak gwałtownie, przyciskając się plecami do komody, że kółka, które nosiła między nogami, zawadziły o jeden z jej brązowych uchwytyów i zadzwoniły.

- Natalie - rzekł Sir Stephen. - Idź po białe pudło, które leży na dole, w drugiej sali.

Wróciwszy, Natalie położyła pudło na łóżku, otworzyła je i wyjęła to co zawierało, podając kolejne przedmioty Sir Stephenowi. Były to maski. Zarazem peruki i maski, zrobione tak, żeby zakrywać całkowicie głowę, z otworami na oczy, usta i podbródek. Krogulec, sokół, sowa, lis, lew, byk - same maski zwierząt, w miarę ludzkie, wykonane jednak z futra bądź piór prawdziwych zwierząt z rzęsami wokół oczu, jeśli zwierzę miało rzęsy (tak jak lew) i opadające nisko, aż do ramion, na których się opierały. Wystarczyło tylko ściągnąć tasiemkę schowaną pod spodem, w miejscu gdzie nakrycie opadało na plecy, żeby maska przylegała ściśle tuż nad górną wargą (w miejscu gdzie wypadały dziurki od nosa znajdowały się otwory) i wzdłuż policzków. W środku, pomiędzy wewnętrzną warstwą skóry, a zewnętrznym pokryciem, znajdowała się wymodelowana i usztywniona, tekturowa armatura, nadająca jej odpowiednią formę. Przed dużym lustrem, w którym mogła się oglądać od stóp do głów, O przymierzyła kolejno wszystkie maski. Najbardziej osobliwą, tą, która zarazem najbardziej ją zmieniała a jednocześnie wydawała się jej najbardziej naturalną, okazała się jedna z masek sowy-pójdźki (były takie dwie), z pewnością dlatego, że była z płowo-beżowych piór, zlewających się z kolorem jej opalonej skóry. Okrycie z piór zakrywało jej niemal całkowicie ramiona, opadało z tyłu do połowy pleców, z przodu zaś aż do miejsca, gdzie zaczynają się piersi. Sir Stephen kazał jej zetrzeć szminkę z ust, a potem, kiedy założyła maskę na powrót, powiedział:

- A więc będziesz sową Komendanta. Przepraszam cię, O, ale będziesz prowadzana na smyczy. Natalie, poszukaj w pierwszej szufladzie mojego sekretarzyka - znajdziesz tam smycz i obcęgi.

Natalie przyniosła smycz i obcęgi, przy pomocy których Sir Stephen przypiął jej koniec do kółka, które O miała między nogami. Smycz, a właściwie łańcuszek na jakim prowadzi się psa, miał jakieś półtora metra długości i posiadał na końcu karabinek. Sir Stephen powiedział Natalie, gdy O znowu włożyła maskę, żeby wzięła smycz i przeszła się po pokoju, prowadząc O za sobą. Natalie trzy razy okrążyła pokój, ciągnąc za sobą przypiętą za krocze, nagą i ubraną w maskę O.
- No tak - powiedział Sir Stephen. - Komendant miał rację, trzeba cię będzie całkowicie wydepilowac. To jutro, a na razie zatrzymaj smycz.

Tego wieczoru, po raz pierwszy w towarzystwie Jacqueline, Natalie, Renę i Sir Stephena, O jadła

obiad nago, z łańcuszkiem między nogami, przechodzącym z tyłu przez pośladki, którym była kilka razy przewiązana w pasie. Nora usługiwała sama, O zaś unikała jej wzroku: Sir Stephen kazał ją przywołać dwie godziny wcześniej. To właśnie świeże ślady bicza, bardziej jeszcze niż żelazne kółka i piętno wypalone na pośladkach, tak bardzo zbulwersowały dziewczynę z Instytutu Piękności, gdzie nazajutrz O poszła się depilować. Na próżno usiłowała jej wytłumaczyć, że depilacja na wosk, który po stwardnieniu odrywa się jednym ruchem wraz z włosami, nie jest czymś bardziej bolesnym od smagnięcia pejcza, na próżno powtarzała, że jest szczęśliwa ze swego losu - w żaden sposób nie udało się złagodzić jej zgorzienia i strachu. Jedynym skutkiem jej uspakajających wywodów było to, że zamiast z litością, jak to miało miejsce na początku, patrzyła teraz na nią z obrzydzeniem. Mimo grzecznych podziękowań, kiedy już było po wszystkim i opuszczała kabinę, gdzie wcześniej siedziała rozkraczona, jakby miała się kochać, mimo sporej sumki jaką jej zapłaciła, O czuła, że dziewczyna chce aby wyszła jak najprędzej i nigdy nie wracała. Cóż ją to obchodziło? Dla niej było jasne, że był jakiś zgrzyt w zestawieniu owłosionego wzgórka i maski z piór, oczywiście było również, że wygląd egipskiej statuetki, jaki nadawała jej maska i który podkreślały jej szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi, wymagał tego, żeby jej ciało było całkowicie gładkie. Lecz tylko na wizerunkach bóstw u ludów prymitywnych można zobaczyć tak przesadnie zaznaczoną szparkę, spod której ukazuje się grzebyk cieńszych warg sromowych. Czyż nie spotyka się również takich, które są w tym miejscu przekłute obrączką? O przypomniała sobie rudą, pulchną dziewczynę od Anne-Marie, która mówiła, że jej pan posługuje się kółkiem między nogami po to tylko, żeby przypinać ją przy swoim łóżku i że chciał by była wydepilowana, ponieważ dopiero wtedy jest zupełnie naga. O bała się, że może się to nie spodobać Sir Stephenowi, który tak lubił łapać ją w tym miejscu za futerko, ale myliła się: uznał to za bardziej podniecające i kiedy założyła maskę - zarówno usta jak i wargi sromowe miała nieumalowane i jasne - prawie, że nieśmiało pieścił ją tam, w taki sposób, w jaki pieści się zwierzę, które się chce obłaskawić. Nic nie powiedział jej na temat miejsca gdzie miał ją zaprowadzić - nie mówił kiedy się tam udadzą ani kim będą goście Komendanta. Resztę popołudnia spędził jednak śpiąc u niej, a wieczorem kazał przynieść obiad dla nich dwojga do jej pokoju. Wyjechali minutę przed północą, czarnym Buickiem, gdzie O siedziała nakryta przepastną, brązową peleryną jaką nosi się w górach i w drewnianych chodakach na nogach. Natalie, w czarnych spodniach i bluzce, trzymała ją na smyczy, której karabinek przypięty był do bransolety, którą miała na prawej ręce. Sir Stephen prowadził. Księżyc, niemal już w pełni, był wysoko i wielkimi, śnieżnobiałymi smugami oświetlał im drogę. Drzewa i domy w wioskach, przez które wiodła droga, były czarne, jakby tonęły w chińskim atramencie, wszędzie tam gdzie nie dochodziło jego światło. Kilka grupek stało jeszcze przed wejściem i dało się odczuć pewne poruszenie na widok jadącego czarnego samochodu (Sir Stephen nie otworzył dachu). Psy szczekały. Z boku, gdzie padało światło księżyca, oliwki wyglądały jak złote chmury wzbijające się dwa metry nad ziemią, cyprysy zaś jak czarne pióropusze. Nic nie było rzeczywiste w tym pejzażu, który noc zmieniała w urojenie, chyba że zapach szałwi i lawendy. Droga szła cały czas w górę, a jednak ciepły podmuch ciągnął tu od ziemi. O zrzuciła płaszcz z ramion. Nikt jej nie widział, bo nikogo więcej tu nie było. Dziesięć minut później, kiedy minęli lasek młodych dębów, który rósł w górze po jednej stronie drogi, Sir Stephen zwolnił przed bramą wjazdową pośrodku długiego muru, która otworzyła się, kiedy samochód się zbliżał. Zaparkował na zewnętrznym dziedzińcu, podczas gdy brama zamknęła się za nim na powrót, potem wysiadł i kazał również wysiąść Natalie i O, która na jego polecenie zostawiła w samochodzie swój płaszcz i chodaki. Za drzwiami, które popchnął, znajdował się wirydarz z renesansowym sklepieniem łukowym, posiadający tylko trzy boki. Czwarty bok wyłożonego kamiennymi płytami dziedzińca stanowił taras, będący jego przedłużeniem. Jakieś dwanaście par tańczyło na tarasie i na dziedzińcu, kilka mocno wydekoltowanych kobiet i mężczyzn w białych kurtkach siedziało przy stoliczkach oświetlonych świecami, radio z gramofonem stało w lewym krużganku, bufet zaś mieścił się w prawym. Lecz księżyc świecił równie jasno co świece i kiedy padł prosto na O, którą prowadziła za sobą Natalie, mały czarny cień, ci którzy ją spostrzegli przerwali taniec, a niektórzy mężczyźni wstali od stolików. Chłopak przy gramofonie, sądząc, że coś się dzieje, odwrócił się również i zdumiony, zatrzymał płytę. O nie szła dalej, a Sir Stephen stał

również nieruchomo dwa kroki za nią. Komendant rozgarnął tych, którzy otoczyli O i podszedł do niej z kandelabrem w rękę, żeby przyjrzeć się jej z bliska.

- Kto to? - pytali. - Do kogo należy?

- Do was, jeśli chcecie - odpowiedział i pociągnął Natalie i O w kąt tarasu, gdzie oparta o murek stała kamienna ławka wyściełana materacem.

Kiedy O usiadła, oparłszy się plecami o murek, z rękoma na kolanach, Natalie zaś na posadzce u jej nóg, ze smyczą w rękę, odszedł z powrotem do gości. O szukała oczu Sir Stephena i zrazu nie udało się jej ich odnaleźć. Potem dostrzegła go w końcu, leżącego na szeszlunku w innym kącie tarasu. Mógł ją widzieć, była już spokojna. Muzyka zabrzmiała na nowo i pary znów zaczęły tańczyć. Jedna, dwie zbliżały się do niej - z początku jakby przypadkiem - potem jedna już całkiem otwarcie: to kobieta pociągnęła swego partnera. O wbiła w nich spojrzenie swoich obwiedzionych dodatkowo brązową kredką oczu, szeroko otwartych jak oczy nocnego ptaka, którego wyobrażała i tak silna była ta iluzja, że nikt nie pomyślał nawet, żeby ją o coś spytać - wydawało się to naturalne, tak jakby była prawdziwą sową, głuchą na ludzką mowę i niemą. Od północy do świtu, który począł rozjaśniać niebo na wschodzie około piątej, w miarę jak księżyc tracił swój blask i zniżał się po zachodniej stronie, podchodzono do niej wiele razy i dotykano, kilka razy otaczano ją kółkiem, rozchyłano jej nogi, szarpiać jej smycz i oświetlając trzymanymi w rękę kandelabrami z prowansalskiego fajansu - czuła jak płomienie ogrzewają jej wnętrze ud - żeby zobaczyć jak przymocowany jest łańcuszek. Zdarzył się również pewien pijany Amerykanin, który śmiejąc się złapał ją w tym miejscu ręką, lecz kiedy zdał sobie sprawę, że trzyma w rękę żywe ciało wraz z przechodzącym przez nie żelazem, natychmiast otrzeźwiał i O zobaczyła naraz przerażenie i wstręt malujące się na jego twarzy, takie samo jakie widziała już na twarzy dziewczyny, która ją depilowała. Odszedł. Była jeszcze pewna bardzo młoda dziewczyna, z odkrytymi ramionami i małą perłową kolia na szyi, w białej sukni z pierwszego balu, dwoma herbacianymi różami przy pasku i w złocistych pantofelkach na nogach, której chłopak kazał usiąść blisko O, po jej prawej stronie. Potem wziął ją za rękę i zmusił by popieściła piersi O, które zadrżały pod chłodną, delikatną dłonią, kazał dotknąć jej krocza, żelaznego kółka i dziurki, przez którą było przewleczone. Mała spełniła to posłusznie i bez słowa, a kiedy chłopak powiedział, że zrobi jej tak samo, nie cofnęła ręki. Jednakże mimo iż posługiwali się O w ten sposób, biorąc ją za jakiś eksponat do pokazów, nikt ani razu nie zwrócił się do niej słowem. Czyżby była z kamienia, albo z wosku, czy też może stworzeniem z innego świata? Czy sądzono, że jest to niepotrzebne, czy może nikt nie ośmielił się do niej odezwać? W każdym razie, gdy wstał już dzień, a wszyscy tancerze poszli, Sir Stephen i Komendant, obudziwszy Natalie, która spała u jej stóp, kazali O się podnieść, zaprowadzili na środek dziedzińca, odpięli jej smycz, zdjęli maskę i rozciągnąwszy na stole, posiedli ją po kolei.

W ostatnim rozdziale, który został usunięty, O wraca do Roissy, gdzie Sir Stephen ją porzuca.

Tutaj następuje krótka scenka, którą przedstawimy jak sekwencję z filmu: w środku nocy, korytarz w wagonie pierwszej klasy, Train Bleu. Wysoki, zwalisty mężczyzna, widzimy go tylko od strony pleców, przechodzi obok drzwi kolejnych kabin, zatrzymuje się przy numerze jedenaście. Drzwi uchylają się, ukazuje się twarz pełna słodyczy i w szczelinie rozsuwanych drzwi naga sylwetka kobiety w rozchełstany szlafroku. Kobieta pyta:

- Ukochany mój, to pan? - i zaraz potem, spostrzegając pomyłkę: - O, przepraszam.

Ale mężczyzna w otwartej dłoni trzyma medalion: na złotym tle stalowolśniący triskele-symbol Roissy. O spogląda na mężczyznę i bez słowa otwiera drzwi. Kołysanie pociągu, stukot kół, gwizd lokomotywy. O i Carl stoją naprzeciwko siebie w świetle lampki. Carl mówi cicho:

- To było ładne, proszę powtórzyć.

- Nie mam obowiązku - odpowiada O. - Tak pani myśli?

O spuszcza wzrok i kręci przecząco głową.

- Proszę zapalić światło - mówi Carl i O wyciąga rękę do przełącznika, którym zapala się lampę nad łóżkiem. Zasłona na oknie nie jest opuszczona, widać księżyc w pełni i czarno-biały krajobraz, wiatr pochyla wierzby rosnące nad rzeką, księżyc przebiega między chmurami. Carl ma na sobie długi i ciężki szlafrok, pantofle z lakierowanej skóry. Rozwiązuje pasek i widać, że O stara się na niego nie patrzeć. On także to widzi, zsuwa szlafroczek z jej ramion, obraca ją w prawo, w lewo, ogląda z przodu, z profilu, z tyłu, potem popycha na łóżko. Widać jej piersi, głowę odchyloną do tyłu; nogi są rozchylone, jedna na kuszetce, druga opiera się o podłogę; widać wypukłe, całkowicie gładkie łono i pierścień przechodzący przez jedną z warg, jak kolczyk przebijający opuszkę ucha. Carl pochyla się, jego lewa ręka zbliża się do jej biodra, prawą - niewidoczną z tej strony - rozchyła nieco bardziej swój ciężki szlafrok. Czy trzeba pokazywać coś więcej?

Train Bleu przyjeżdża do Paryża około dziewiątej. O ósmej O wstała i zdecydowanym krokiem udała się na śniadanie, na nogach miała buty na wysokich obcasach. Wokół jej serca utworzyła się jakby skorupa, pancerz obojętności, której nie potrafiła zrozumieć. Przemierzyła korytarze dzielące jej przedział od wagonu restauracyjnego, wypijała zbyt gorzką kawę i zjadła jajka na bekonie. Sir Stephen siedział naprzeciwko niej. Jajka były mdłe; zapach papierosów, kołysanie pociągu sprawiły, że O poczuła lekki zawrót głowy. Jednak kiedy rzekomy Niemiec usadowił się obok Sir Stephena, ani jego spojrzenie wlepione w usta O, ani wspomnienie uległości z jaką oddała mu się w nocy nie zmieszały jej. Nie wiedziała czemu ma zawdzięczać to, że bez skrępowania patrzy na przesuwane się za oknem drzewa i łąki, odczytuje nazwy stacji. Domy, które nie stały tuż przy torach kryły się w drzewach i we mgle; potężne słupy z żelaza osadzone w betonowych postumentach przemierzały rozległą równinę, przekazywały sobie ledwo widoczne druty wysokiego napięcia, co trzysta metrów, aż po horyzont. Kiedy przejeżdżali przez Villeneuve Saint-Georges, Sir Stephen zaproponował, żeby wrócili do swoich przedziałów. Carl zerwał się, stuknął obcasami i skłonił się w pół, żegnając O. Szarpnięcie pociągu wytrąciło go z równowagi, zachwiał się i usiadł, a O roześmiała się. Czy zdziwiło ją to, że gdy tylko weszli do przedziału, Sir Stephen, który ani przez chwilę od czasu wyjazdu nie zwrócił na nią uwagi, pochylił ją na stos walizek nagromadzonych na ławeczce i zadarł jej plisowaną spódnicę? Była zachwycona i wdzięczna. Wiedziała, że gdyby ktoś zobaczył ją tak na klęczkach z piersiami rozplaszczonymi na bagażach, ubraną, w czarne pończochy i podwiązki, jej wypięte pośladki naznaczone jak walizka, uznałby to za widok śmieszny. Zawsze, kiedy umieszczano ją w tej pozycji, przychodziły jej na myśl wszystkie niepokoje, ale i upokarzające, ośmieszające skojarzenia wiążące się z "podkasaniem" oraz z tym drugim określeniem, którego Sir Stephen rak, jak niegdyś Renè, używał za każdym razem, gdy oddawał ją do czyjejś dyspozycji. Upokarzające słowa Sir Stephena były jej miłe, odczuwała to za każdym razem. Jednak to uczucie było niczym wobec uszcześliwienia i dumy, jaką odczuwała, można powiedzieć, że czuła się jakby "w glorii" - za każdym razem, gdy zechciał ją osiąść, gdy ciało jej na tyle przypadło mu do smaku, że wchodził w nią i zamieszkiwał przez jakiś czas. O wydawało się, że żadne poniżenie, żadne upokorzenie nie było zbyt wygórowaną ceną za to szczęście. Jęczała przez cały czas kiedy tkwił w niej, kiedy kołysanie pociągu rzucało ich o siebie. Dopiero kiedy rozlega się dźwięk hamulców, kiedy wagony po raz ostatni drgnęły zderzając się ze sobą, kiedy dojechali na Dworzec Lyonński - wysunął się z niej i kazał jej wstać.

Przy wyjściu, pod schodami, w miejscu gdzie podejżdżają samochody prywatne, młodzieniec w mundurze podoficera wojsk lotniczych, stojący przy dużym, czarnym samochodzie, zsalutował na widok Sir Stephena. Otworzył drzwi i zaprosił O do środka. Kiedy usiadła na tylnym siedzeniu, a

bagaze zostały ułożone z przodu, Sir Stephen pochylił się na chwilę, pocałował ją w rękę i uśmiechnął się do niej jeszcze raz, po czym zatrzasnął drzwi. Nie powiedział nic, ani do widzenia, ani do zobaczenia, ani zegnaj. O myślała, że wsiądzie razem z nią. Samochód ruszył tak szybko, że nie zdążyła zawołać go i kiedy przycisnęła się do szyby, aby pomachać mu ręką, było już za późno: rozmawiał z bagażowym i był odwrócony plecami. Nagle cała jej obojętność, to co chroniło ją w tajemniczy sposób przez całą podróż zniknęło, było tak, jakby brutalnie zerwano jej opatrunek z rany. W myślach poczęła powtarzać w kółko jedno jedyne zdanie: Nie pożegnał się ze mną, nie spojrzął na mnie. Samochód pędził na wschód, wyjechał z Paryża, O nie widziała nic. Płakała. Jej twarz była zalana łzami jeszcze pół godziny później, kiedy samochód zjechał do lasu rosnącego przy szosie i zatrzymał się na leśnej drodze w cieniu wysokich buków. Padał deszcz, zamknięte okna samochodu pokryte były mgiełką. Kierowca opuścił oparcie swojego fotela, przeszedł na tył samochodu i kazał położyć się O na tylnym siedzeniu. Samochód był tak niski, że stopy O uderzyły w sufit, kiedy podniósł jej nogi, żeby w nią wejść. Korzystał z niej prawie godzinę, a ona ani przez chwilę nie próbowała mu się wyrwać. Była przekonana, że miał do tego prawo, a jedyną pociechę po brutalnym rozstaniu z Sir Stephenem, jedynym ukojeniem jej lęku, była absolutna cisza, w której odbywało się to wszystko. Młody człowiek brał ją parę razy, zaledwie pozwolił sobie na przenikliwy jęk w chwili rozkoszy, aż do wyczerpania sił. Mógł mieć dwadzieścia pięć lat, o szczupłej twarzy, surowej i wrażliwej, czarne oczy. Dwukrotnie dotknął palcem mokrego policzka O, ale ani przez chwilę nie zbliżył do niej twarzy. Było oczywiste, że nie ośmielił się, chociaż zupełnie bez skrępowania wbijał w nią aż po gardło swoją męskość tak długą i grubą, że przy każdym ruchu, kiedy uderzał tym taranem w dno zdobywanego przybytku, z oczu O od nowa tryskały łzy. Kiedy wreszcie skończył, O opuściła spódniczkę, zapięła sweterek i marynarkę, które rozchyliła, żeby mógł dotknąć jej piersi; zdążyła przyczesać się, upudrować i umalować usta w czasie kiedy młody człowiek poszedł w krzaki. Przestało padać, pnie buków błyszcząły w szarym świetle. Tuż obok samochodu, na nasypie z lewej strony rosły czerwone naporstnice, tak blisko, że O mogłaby je zerwać wyciągając rękę przez otwarte okienko. Chłopak wrócił, zamknął drzwi, które pozostawił otwarte, uruchomił samochód i powrócił na szosę. W ciągu piętnastu minut dojechali i przejechali przez wieś, której O nie rozpoznała, ale kiedy samochód zwolnił jadąc przez dłuższy czas wzdłuż muru długiego parku i zatrzymał się przed domem całym pokrytym winoroślą, wreszcie zrozumiała: to było tylne wejście do Roissy. Wysiadła; chłopak w mundurze wyciągnął walizki. Brama z litego drzewa, pomalowana na ciemnozielony kolor i polakierowana, otworzyła się, nim zdążyła zastukać lub zadzwonić: widziano ją od wewnątrz. Przeszła przez próg; wyłożona kafelkami sień była pusta, obiciu na ścianach były z marszczonego perkalu w kolorach czerwonym i białym. Dokładnie naprzeciwko niej znajdowało się ogromne lustro na całą szerokość ściany, odbijała się w nim cała jej postać (szczupła i prosta w szarym kostiumie, w płaszczu na ramionach), walizki stojące przy niej na podłodze, zamykające się za nią drzwi. W rękę trzymała gałązkę wrzosu, którą machinalnie przyjęła od młodego człowieka który ją przywiózł, śmieszny i dziecinny souvenir, którego nie śmiała rzucić na wypastowane kafelki podłogi, a który nie wiedzieć czemu przeszkadzał jej. Ależ nie, wiedziała dlaczego: kto to jej mówił, że wrzos zrywany w podparyskim lesie przynosi nieszczęście? Już lepiej byłoby zerwać te naporstnice, których babcia zabraniała jej dotykać, bo są trujące.

Położyła gałązkę wrzosu we wnęce okienka, przez które wpadało do sieni światło z zewnątrz. W tej samej chwili weszła Anne-Marie, a za nią mężczyzna w stroju ogrodnika. Ogrodnik wziął walizki O.

- No, więc jednak jesteś-powiedziała Anne-Marie - Sir Stephen dzwonił prawie dwie godziny temu, miałaś przyjechać samochodem prosto tutaj. Co się stało?

- Kierowca... - powiedziała O - myślałam, że... Anne-Marie roześmiała się.

- Ach, tak? - powiedziała - Zgwałcił cię, a ty pozwoliłaś mu na to? Nie, Co nie było przewidziane,

wcale nie miał do tego prawa. Ale to nic nie szkodzi, po to tu jesteś - i dodała - dobrze zaczynasz, opowiem o tym Sir Stephenowi, to mu się spodoba.

- Czy on tu przyjedzie? - spytała O. - Nie powiedział kiedy, ale chyba tak.

Lęk, który ścisnął piersi O ustąpił, popatrzyła z wdzięcznością na Anne-Marie; jakże pięknie i kwitnąco wyglądała w aureoli siwiejących włosów. Miała na sobie czarne spodnie i bluzkę, marynarkę z czerwonego płótna. Wyraźne reguły obowiązujące kobiety w Roissy jej nie dotyczyły.

- Dzisiaj zjesz obiad u mnie - powiedziała do O i przygotowujesz się. Kiedy gong wybijie trzecią, zaprowadzą cię tam, gdzie masz pójść.

O poszła za Anne-Marie bez słowa, lekka i radosna: Sir Stephen ma przyjechać.

Apartament Anne-Marie zajmował część skrzydła oficyny stanowiącego przedłużenie właściwego zamku w stronę szosy. Składał się na salon połączony z rodzajem małego buduaru, pokój i łazienka; drzwi, przez które O weszła, zapewniały Anne-Marie całkowitą swobodę poruszania się. W jej domu w Sannois okna wychodziły na ogród, tutaj podobnie, okna salonu i pokoju Anne-Marie wychodziły prosto na park. Park był zawsze pusty, porośnięty gęstą roślinnością, wielkie drzewa nietknięte jeszcze były nadchodzącą jesienią, natomiast winorośl na ścianach zaczynała już się czerwienić. O, stojąc pośrodku salonu przyglądała się białym boazeriom, meblom z ciemnego orzecha w wiejskim stylu Dyrektoriatu, wielkiej sofie obitej, podobnie jak fotele, materiałem w żółte i niebieskie prążki. Podłoga była pokryta niebieską wykładziną. Na sięgających do podłogi oknach wisiały zasłony z błękitnej tafty.

- Rozmarzyłaś się, O - powiedziała nagle Anne-Marie - na co czekasz, rozbieraj się! Zabierzemy twoje rzeczy i dostaniesz wszystko, co ci będzie potrzebne. Kiedy będziesz naga, chodź tutaj. Torebka, rękawiczki, marynarka, sweterek, spódnica, pończochy - O położyła to wszystko na krześle stojącym przy drzwiach, buciki postawiła pod krzesłem. Następnie podeszła do Anne-Marie, która nacisnęła dwukrotnie przycisk dzwonka przy kominku, a potem usiadła na sofie.

- Po tej depilacji widać ci małe wargi - krzyknęła Anne-Marie dotykając ich lekko. - Nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś tak wypukła, ani że szpara sięga tak wysoko.

- Przecież - powiedziała O - u wszystkich...

- Nie, kochanie, nie u wszystkich - powiedziała Anne-Marie.

Nie puszczając O odwróciła się w stronę wysokiej dziewczyny o ciemnych włosach, która właśnie weszła do pokoju. prawdopodobnie wezwana dźwiękiem dzwonka:

-Popatrz, Monique, to jest dziewczyna, którą nazaczyłam tego lata dla Sir Stephena, prawda, że udało się?

O poczuła dłoń Monique, lekką i chłodną, jej dotyk na pośladku i na bruzdach wyżłobionych przez rozpalone żelazo. Potem, ręka wsunęła się między jej uda i schwyciła medalion zawieszony u podbrzusza.

- Jest też przekluta? - spytała Monique.

- Ach, tak, oczywiście kazał mi też ją sobie zakolczykować - odpowiedziała Anne-Marie, a O nagle zaczęła zastanawiać się, czy "oczywiście" oznacza, że Anne-Marie znajdowała oczywistym fakt

dokonania tej operacji, czy oznaczało to, że taki jest zwyczaj Sir Stephena; w takim wypadku oznaczałoby to, że kazał zrobić to samo innym przed nią. Zdziwiona swoją śmiałością usłyszała własny głos, zadający dręczące ją pytanie Anne-Marie. Jeszcze bardziej zaskoczona była tym, że AnneMarie odpowiedziała jej.

- To nie twoja sprawa, O, ale ponieważ jesteś tak zakochana i tak zazdrosna, mogę ci jednak powiedzieć, że nie. Często poszerzałam i chłostałam dla niego dziewczyny, ale ty jesteś pierwszą, którą nazaczyłam. Myślę, że tym razem naprawdę zakochał się w tobie.

Potem zaprowadziła O do łazienki i kazała jej się umyć, tymczasem Monique poszła po obrożę i bransolety dla niej. O odkręciła kran, zmyła makijaż, wyszczotkowała włosy i weszła do wanny. namydlała się powoli. Nie zwracała uwagi na to co robi, rozmyślała o dziewczynach, które przed nią spodobały się Sir Stephenowi, odczuwała jednocześnie ciekawość i uradowanie. Ciekawość: chciałaby móc je poznać. Nie dziwiło jej to, że kazał je wszystkie poszerzać i chłostać, ale odczuwała zazdrość na myśl, że po raz pierwszy zrobiono to z nią nie dla niego. Stała pochylona w wannie, plecami do lustra na ścianie, palcami namydlała wewnątrz podbrzusza i pośladki, splukując pianę rozsunała je, żeby przejrzeć się w lustrze: chciałaby to zobaczyć u którejś z tamtych dziewczyn. Jak długo Sir Stephen je trzymał? Tak więc nie pomyliła się sądząc, że stara Norah ćwiczyła przed nią inne dziewczyny, równie drżące przed nią, równie nagie i uległe. To, że była jedyną, która nosi jego żelaza i jego inicjały, wypełniało ją poczuciem szczęścia. Wyszła z wody i wytarła się. Anne-Marie zawołała ją.

Na łóżku Anne-Marie pokrytym pikowaną narzutką z białoczerwonego perkaliku (z tego samego materiału były podwójne zasłony w oknie) spoczywał plik sukien, gorsety, pantofle na wysokim obcasie i skrzynka z bransoletami. Anne-Marie usiadła na brzegu łóżka, kazała O uklęknąć przed sobą, wyciągnęła z kieszeni płaski klucz otwierający zamki obróż i bransolet. Klucz był przymocowany do jej paska długim łańcuszkiem. Przymierzyła O kilka obroży zanim znalazła taką, która obejmowała jej szyję dokładnie w środku, dopasowaną tak, że z trudem można było ją obrócić wokół szyi, jeszcze trudniej było wsunąć palec pomiędzy skórę a metal. Następnie na przeguby rąk założyła jej bransolety, ściśle przylegające tuż ponad stawami. Naszyjniki i bransolety, które O nosiła i widziała u innych w zeszłym roku były zrobione ze skóry i o wiele węższe; te były z nierdzewnej stali, złożone z połączonych zawiasami segmentów, tak jak złote bransoletki niektórych zegarków. Były szerokie na prawie dwa palce i przy każdej z nich umieszczony był pierścień z tego samego metalu. Skórzana uprząż, którą nosiła w zeszłym roku nigdy nie zrobiła na O wrażenia czegoś tak chłodnego, nie wywoływała tak silnego uczucia definitywnego uwięzienia. Stał była tego samego koloru i o tym samym matowym połysku, co żelaza wiszące u jej podbrzusza. Anne-Marie powiedziała jej, w momencie gdy zatrzasnął się ostatni zamek zamykający obrożę, że nie będzie ich zdejmować ani w dzień, ani w nocy, nawet do kąpieli - dopóki pozostanie w Roissy. O wstała i Monika poprowadziła ją za rękę przed wielkie lustro złożone z trzech tafli, uszminkowała jej usta jasną czerwienią; był to raczej płyn, który nakładała pędzelkiem, i który ciemniał w miarę schnięcia. Tą samą czerwienią pomalowała jej sutki i czubki piersi oraz małe wargi pomiędzy udami, podkreślając miejsce w którym spotykały się na sklepieniu łona. O nigdy nie dowiedziała się, jaki był skład tego barwnika, ale był to raczej rodzaj farby niż szminka, nie ścierała się przy potarciu i z trudem schodziła pod wpływem płynu do zmywania makijażu, a nawet alkoholu. Pozwolono jej upudrować się, i dobrać pantofle, kiedy jednak chciała wziąć jeden z rozpylaczy do perfum z toaletki Anne-Marie, ta krzyknęła:

- Czyś ty oszalała, O? Jak myślisz, po co Monique cię umalowała? Przecież wiesz, że odkad założono ci te żelaza, nie masz prawa się dotykać.

Wzięła do ręki rozpylacz i O zobaczyła w lustrze jak na jej piersiach i pod pachami lśnią malutkie kropelki, tak jakby były pokryte potem. Następnie Anne-Marie posadziła ją na ławeczce przed

toaletką, każąc jej unieść i rozchylić uda, Monique przytrzymała ją za kolana w tej pozycji. Obłok perfum, który się rozszedł po jej podbrzuszu i pomiędzy pośladkami zapiekł ją tak bardzo, że jęknęła i szarpnęła się.

- Przytrzymaj ją, aż wyschnie - powiedziała AnneMarie - potem znajdziesz dla niej gorset.

O ze zdziwieniem stwierdziła, że ściśnięty gorset sprawia jej przyjemność. Posłusznie wciągała brzuch i wdychała powietrze, kiedy Anne-Marie jej kazała, a Mouique zawiązywała sznurówki. Gorset sięgał jej do piersi, rozchyłał je nieco, był tak skonstruowany, że wysuwały się one do przodu i wydawały się tym bardziej swobodne i wrażliwe.

-Twoje piersi są naprawdę stworzone dla szpicruty, O - powiedziała Anne-Marie - zdajesz sobie z tego sprawę?

- Wiem - powiedziała O - ale błagam panią... Anne-Marie roześmiała się

- Och, to nie ode mnie zależy - powiedziała - ale jeśli klienci będą mieli ochotę, to będziesz mogła sobie błagać do woli.

Słowo "klient" wzburzyło ją bardziej niż nagły lęk przed batem. Dlaczego "klienci"? Nie miała jednak czasu zastanawiać się nad tym, bo zajęło ją to, co Anne-Marie nie zdając sobie z tego sprawy objawiła jej w chwilę później.

Stała przed lustrem w pantoflach na obcasie, z talią ściśniętą w gorsecie. Monique podeszła do niej, niosąc na ręce spódnicę i kasaczek z żółtego jedwabiu wyszywany w szary wzór roślinny.

-Nie, nie-krzyknęła Anne-Marie - najpierw mundurek.

udami odzianymi w czarne obcisłe spodnie, jak na szesnastowiecznych obrazach, które można oglądać w muzeum - i rzemienie bata przypiętego do pasa. U stóp Foteli stały taborety, O biorąc przykład z pozostałych trzech dziewczyn usiadła na jednym z nich, rozkładając suknię dookoła. Dalej patrzyła na stojącego nieruchomo mężczyznę, teraz nieco z dołu. Cisza była tak przytłaczająca, że O nie śmiała nawet poruszyć się: jedwab jej sukni szeleścił zbyt głośno. Niespodziewany dźwięk zaskoczył ją tak, że aż krzyknęła. Przeskakując przez parapet do pokoju wszedł ciemnowłosy przysadzisty młodzieniec w kostiumie do jazdy konnej, ze szpicrutą w ręku, przy jego wysokich butach złociły się niewielkie ostrogi.

- Piękny obrazek - powiedział -jesteście bardzo grzeczne, nie ma na was amatora? Już od piętnastu minut przyglądam się wam przez okno. Jednak ślicznotka na żółto - dodał, przesuwając koniec szpicruty po piersiach O, która zadrżała - nie jest taka znowu grzeczna.

O wstała. W tym momencie weszła Monique w satynowej sukni koloru malwy, podkasanej na brzuchu, trójkąt czarnego runa wskazywał miejsce, gdzie zaczynały się jej długie uda (które O widziała przedtem tylko z tyłu). Za nią weszło dwóch, mężczyzn. O rozpoznała jednego z nich: to właśnie on rok temu oznajmił jej reguły panujące w Roissy. On także ją Poznał i uśmiechnął się do niej.

- Pan ją zna? - spytał młodzieniec.

- Tak, nazywa się O - odpowiedział mężczyzna. Jestznaczona przez Sir Stephena, który przejął ją od Renè R. Spędziła tutaj kilka tygodni w zeszłym roku, pana wtedy nie było. Jeżeli pan ją chce, Franck, to proszę...

- Sam nie wiem - powiedział Franck. - Ale czy wie pan, co robiła pańska O? Przyglądam jej się od kwadransa, ona mnie nie widziała, tylko cały czas przyglądała się Josè, ale nie wyżej niż do pasa.

Trzej mężczyźni roześmiali się. Franck wziął O za czubek piersi i pociągnął ją ku sobie.

- Odpowiedz, kurewko, na co miałaś ochotę? Na bat Josè, czy na jego fiuta?

O purpurowa ze wstydu palącego jej policzki, straciwszy wszelkie rozumienie w tym co było jej dozwolone lub zakazane. szarpnęła się do tyłu i wyrwała się z rąk chłopaka krzycząc. „Zostawcie mnie, zostawcie mnie!” Złapał ją kiedy wpadła na fotel i przyprowadził z powrotem.

- Niepotrzebnie uciekasz, bat dostaniesz ud Josè już zaraz.

Ach! nie jęczeć, nie błagać, nie żebrać łaski i wybaczenia! Ale jęczała i płakała i prosiła o łaskę, wiła się, by uniknąć uderzeń, próbowała całować po rękach Francka, który trzymał ją, kiedy lokal ją chłostał. jedna z jasnowłosych dziewczyn i Noelle podniosły ją i opuściły jej spódnicę.

- Teraz wezmę ją ze sobą – powiedział Franck – potem powiem wam co o niej myślę.

Ale kiedy przysła za nim do pokoju, położyła się naga na jego łóżku. patrzył na nią długo i zanim położył się obok niej powiedział:

- Wybacz mi, O, ale przecież twój kochanek także każe cię chłostać. prawda?

- Tak - powiedziała O i zawahała się.

- Proszę, mów - powiedział.

spytała O.

- Jakiego Syryjczyka - spytała Noelle

- No, tego czarnego, z kręconymi włosami, z ogromnym brzuszyskiem, z którym poszłaś na górę, kiedy przyszłyśmy do baru. Tak więc - pomyślała O - można nie pamiętać... Ale nie, Noelle odpowiedziała jej:

- Oh! gdybyś go widziała nago: gruba świnia!

- No widzisz - powiedziała O.

- Ależ nie - powiedziała Noelle - co to szkodzi? Wylizywał mnie przez dobre pół godziny, ale chciał wejść mi między pośladki, oczywiście miałam być na czworakach. Wiesz, on dobrze płaci.

O również została dobrze opłacona, pieniądze spoczywały w szufladzie jednego ze stolików nocnych.

- Trochę tak, a poza tym nigdy mnie za mocno nie biją.

O chciała powiedzieć: „masz szczęście”. ale nagle zdała sobie sprawę, że wcale tak nie uważa. Miała zapytać jeszcze Noelle dlaczego bito ją jedynie trochę, co sadziła o łańcuchach i czy lokaje...

- Ale Noelle obróciła się na drugą stronę na swoim łóżku i westchnęła:

- Ach, jak mi się chce spać! Nie zwracaj sobie głowy O, śpij.

O zamilkła.

O dziesiątej rano przychodził lokaj i zdejmował łańcuchy. Potem kąpiel, toaleta, badanie u Anne-Marie, o ile nie miały służby w pokojach Wielkiej Klauzury, wówczas natychmiast musiały przywdziewać swe uniformy (pozostawiano im swobodę co do ubierania się lub nie) - aż do czasu, gdy te, których kolej przypadła na dany dzień szły do restauracji lub do baru, pozostałe zaś do refektarza. Te jednak, które szły do refektarza nie ubierały się: po co, skoro obowiązywała tam nagość? Na każdym piętrze znajdowało się pomieszczenie, w którym można było zjeść śniadanie. Drzwi od pokojów pozostawały otwarte na korytarz, wolno było odwiedzać się w nich wzajemnie. Jedynie O. Yvonne i trzecia dziewczyna, również nosząca żelaza, Julienne. Zostały z samego rana wezwane, aby odebrać chłostę. Została im wymierzono kolejno na platformie schodów. Pochylano je i przywiązywano do balustrady, bito na tyle łagodnie, by nie pozostawiać śladów, Zawsze jednak dość długo, by wydobyć z nich krzyki, błagania i czasami łzy. Pierwszego ranka, gdy O została uwolniona, rzuciła się na łóżko jęcząc. Tak bardzo piekły ją poślądki. Noelle wzięła ją w ramiona, aby ją pocieszyć. Była miła, ale nie bez cienia pogardy. Jak można zgodzić się na założenie żelaznego pierścienia? O bez trudu przyszło przyznać się, że, jest z tego powodu szczęśliwa i że jej kochanek bije ją codziennie.

- Więc jesteś przyzwyczajona - powiedziała Noelle. - Nie narzekaj, przecież brakowałoby ci tego.

- Być może - powiedziała O. - Nie narzekam, ale co do przyzwyczajenia się, co to, to nie, nie mogę się przyzwyczać...

- W każdym razie - powiedziała Noelle - będziesz miała szansę przyzwyczać się, bo nie sączę, by często zdarzało się, że będziesz bita tylko raz dziennie. Mężczyźni od razu potrafią zorientować się, gdy widzą dziewczynę taką jak ty. Poza tym te pierścienie na podbrzuszu, to piętno... Nie mówiąc już o tym, że będziesz to miała zapisane w twojej fiszce.

- W mojej fiszce? - zapytała O - jakiej fiszce, co to znaczy.

- Jeszcze nie masz fiszki, ale możesz być spokojna, jak już będziesz miała, to będzie to tam napisane.

Kiedy trzy dni później Anne-Marie zaprosiła O na obiad, chętnie odpowiedziała jej na wszystkie pytania dotyczące owych fiszek.

- Czekam na twoje zdjęcia, na odwrocie karty, którą wyśle mi Sir Stephen wypisze się informacje na twój temat, to znaczy nie wymiary, dane personalne, wiek i tak dalej, tylko twoje cechy szczególne i twoje, że tak powiem ernploi... To zawsze zawiera się w dwóch linijkach i wiem, co on tam napisze.

Pewnego ranka zrobiono zdjęcia O w studiu bardzo podobnym do tego, w którym niegdyś pracowała. Znajdowało się ono na poddaszu prawego skrzydła. Umalowano ją tak, jak niegdyś ona malowała modelki, w czasach, które wydawały jej się bardziej odległe niż wczesne dzieciństwo. Sfotografowano ją ubraną w mundurek, w galowej, żółtej sukni, z podkasaną spódnicą, nagą - z przodu, z tyłu, z profilu: na stojąco, na leżąco, opartą o stół z rozchylonymi nogami, pochyloną z wypiętym siedzeniem, na kolanach i ze związanymi rękami. Czy te wszystkie jej zdjęcia zostaną w Roissy?

- Tak - powiedziała Anne-Marie - znajdą się w twojej kartotece. Z najlepszych porobi się odbitki dla klientów.

O była skonsternowana, kiedy dwa dni później Anne-Marie pokazała jej zdjęcia; były to tym niemniej dobre zdjęcia, nie było ani jednego, które nie mogłoby się znaleźć w jednym z albumów sprzedawanych półlegalnie w kioskach z gazetami. O miała wrażenie, że naprawdę rozpoznaje siebie tylko na jednym. Stała na nim naga, przodem do aparatu, oparta o stół, z rękami podłożonymi pod pośladki, z rozchylonymi kolanami tak, że wyraźnie widać było żelaza pomiędzy udami i wargi na podbrzuszu równie wyraźnie rozchylone, jak jej półotwarte usta. Patrzyła przed siebie, jej twarz miała wyraz zagubiony i nieobecny. Nie tylko ona rozpoznała siebie na tym Zdjęciu:

- Przede wszystkim będziemy dawać to zdjęcie - powiedziała Anne-Marie. - Możesz zobaczyć z drugiej strony, albo nie, pokażę ci fiszkę Sir Stephena.

- Teraz zobacz na odwrocie zdjęcia - powiedziała Anne-Marie.

-Sir Stephenowi najbardziej podoba się to - powiedziała Anne-Marie- i to. (O była na nim na klęczkach z podkasaną spódnicą.)

- A więc - krzyknęła O - on je widział?

- Tak, przyjechał wczoraj i wczoraj wypełnił tę fiszkę.

- Ale kiedy - spytała pobladła O, poczuła, jak jej gardło zaciska się i łyzy podchodzą do oczu - kiedy, dlaczego się ze mną nie spotkał?

- Ale widział cię- powiedziała Anne-Murie - wczoraj weszłam z nim do biblioteki i ty tam byłaś. Byłaś z Komendantem. Byliście tylko wy dwoje w pokoju, ale on nie chciał przeszkadzać Komendantowi.

Wczoraj, wczoraj po południu w bibliotece, O na klęczkach, w zielonobłękitnej sukni zadartej nad pośladkami... Nie poruszyła się, kiedy usłyszała otwierające się drzwi: miała w ustach członka Komendanta.

- Dlaczego płaczesz? - spytała Anne-Marie. - Bardzo mu się podobałaś. Nie płacz, głupiutka.

Ale O nie mogła powstrzymać łez.

-Dlaczego mnie nie wezwał? Czy od razu wyjechał, co robił, dlaczego nic mi nie powiedział? - jęczała.

- No tak, tylko by tego brakowało, żeby zdawał przed tobą sprawę ze swojego postępowania. Myślałam, że cię lepiej wytresował, muszę mu to powiedzieć. Zaslugujesz...

Anne-Marie przerwała: ktoś stukał do drzwi. Był to ten, którego zwano Panem na Roissy. Jak dotąd nie zwrócił uwagi na O i nawet jej nie dotknął. Ale zapewne w tym momencie wyglądała szczególnie pociągająco lub może prowokująco. Była całkiem naga, jej twarz i usta były mokre od łez, drżała na całym ciele. Kiedy Anne-Marie odesłała ją kazać jej się ubrać - dochodziła już trzecia - on sprostował:

- Nie, niech zaczeka na mnie w korytarzu.

Pograżona w rozpacz O znalazła pociechę z najmniej spodziewanej strony, w wydarzeniu, które na pozór nie miało w sobie nic pocieszającego, Pojawił się ów rzekomy Niemiec, do którego należała już dwukrotnie w obecności Sir Stephena. Trzeba przyznać, że nie było w nim nic miłego: był brutalny, o chciwym wyrazie twarzy, pogardliwy, o rękach i sposobie wysławiania się woźnicy. Ale powiedział O, którą kazał wezwać do baru, że przysłał go Sir Stephen i zaprosił ją na kolację. Jednocześnie podał jej kopertę. O przypomniała sobie - i jej serce nagle zaczęło bić szybciej - kopertę, którą znalazła na stoliku w salonie Sir Stephena po pierwszej nocy spędzonej u niego. Otworzyła: był to liścik od Sir Stephena, w którym polecał jej zachowywać się tak, żeby Carl chciał wrócić do niej, podobnie jak w czasie podróży żądał od niej, aby zwabiła go do swojego przedziału. I dziękował jej. Carl wyraźnie nie znał zawartości listu. Sir Stephen musiał dać mu do zrozumienia coś innego. Kiedy O wsunęła z powrotem kartkę do koperty i podniosła na niego oczy (siedział na stołku przy barze a ona stała przed nim), odezwał się do niej głosem chrapliwym i powolnym, brzmiało to tym powolniej, że źle mówił po francusku, w dodatku z germańskim akcentem:

- A więc, będzie pani posłuszna? - Tak - powiedziała O.

Ach, tak! Będzie posłuszna. On będzie myślał, że to jemu będzie posłuszna. Carl był jej kompletnie obojętny, ale skoro Sir Stephen w jakikolwiek sposób zechciał wykorzystać ją do swoich celów, jakiegokolwiek byłyby jego zamiary! Popatrzyła na Carla wzrokiem pełnym słodyczy: jeśli uda jej się dokonać tego, by miał ochotę powrócić - dlaczego Sir Stephen chciał zatrzymać go w Paryżu (to przynajmniej zrozumiała z jego listu), było dla niej nieistotne - jeżeli uda jej się, być może Sir Stephen wynagrodzi ją, być może przyjedzie. Zebrała lśniąca fałdy swojej sukni, uśmiechnęła się do Niemca i przeszła przed nim idąc do restauracji. Może dokonał tego jej wdzięk, który, gdy chciała tego, był ujmujący, a może jej uśmiech, ale z zaskoczeniem zobaczyła, że twarz Carla staje się mniej naburmuszona i lodowata. Wysilał się podczas kolacji, żeby zwracać się do niej uprzejmie. W ciągu pół godziny O dowiedziała się o nim więcej, niż Sir Stephen powiedział jej kiedykolwiek: był on Flamandem i prowadził interesy w Kongo Belgijskim, podróżował do Afryki trzy lub cztery razy do roku samolotem, dowiedziała się, że kopalnie dostarczają wysokich dochodów.

- Jakie kopalnie - spytała O. Ale on jej nie odpowiedział. Wypił dużo, jego oczy nieustannie wpatrywały się w usta O i w jej piersi poruszające się pod koronką; oczka były tak duże, że niekiedy widać było umalowane sutki. Kiedy O zaprowadziła go do recepcji, żeby zamówił pokój, powiedział:

- Proszę podać mi do pokoju whisky i różgę. Kiedy posiadał ją tak, jak tamten Syryjczyk posiadał Noelle, zresztą tak jak O we własnej osobie oddała mu się wobec Sir Stephena, kiedy kazał jej się pieścić, i kiedy unosząc po raz trzeci szpicrutę schwycił ręce O mimo jej woli próbujące zatrzymać jego ramię, O wyczytała w jego oczach radość tak gwałtowną, że zrozumiała, iż nie może się spodziewać od niego najmniejszej oznaki litości (nie miała na to nadziei ani przez chwilę), ale również, przede wszystkim, że powróci.

Od czasu do czasu prowadzono O do jednego z tych pokoi na parterze wychodzących na park, być może do tego, który kiedyś zajmowała. Kiedyś pomyślała, że będzie tam mieszkać bardzo długo, szczęśliwa na swój sposób, i powiedziała to do samej siebie cichym głosem. tak jak przemawiają nocne cienie.

- Są sny które powracają bez końca. skąd wiadomo, że to są sny? Czy moje życie nie jest snem na jawie? Powróciłam do tego domu, który nie jest moim domem i nie jest domem tego, którego kocham. Mimo to on chce, on żąda, żebym tu mieszkała. Mój pokój jest cichy i mroczny, duże okno sięgające do podłogi wychodzi na park. Wielkie łóżce jest tak niskie, że ledwo przypomina łóżko, ledwo odróżnia się od podłogi i od muru, do którego przylega - Wszystko, co nie jest tym łóżkiem

znajduje się w sąsiednim pomieszczeniu, drzwi od tego pomieszczenia są niewidoczne w tapicerii jest tam wanna, szafa, toaleta. W moim pokoju naprzeciwko łóżka znajduje się wielkie lustro. Częściowo jest ono przymocowane do drzwi. Jeżeli poruszy się, to znaczy, że ktoś wchodzi.

To nie był on. Czy mówiłam, że byłam wtedy naga. To był lokaj, który przyniósł tacę, Herbata dla trzech osób i kanapki z rzeżuchą, biskwity i bardzo słodkie ciasto z owocami prawie czarne tak jak w Londynie. Ustawił tacę na rogu łoża i wyszedł. Wielki owczarek pirenejski, który szedł za nim krok w krok, usiadł obok tacy, równie cichy i zakłopotany jak ja. Patrzyłam na nas, na niego i na mnie, w lustrze odcinaliśmy się jasnym tonem od ciemnej czerwieni ścian i zasłon; właśnie w lustrze dostrzegłam po mojej lewej stronie otwierające się okno od parku. Wszedł on, uśmiechnął się do mnie, objął mnie, kiedy wstałam. Ukłękłam na dywanie przy łóżku, żeby nalać mu herbaty i podałam mu filiżankę, połamalam i posmarowałam masłem biskwity, ukroiłam plasterki ciasta. Dla kogo była trzecia filiżanka? Odgadł, że chcę zadać pytanie.

- Ktoś do ciebie za chwilę przyjdzie. - Kto?

- Czy to ważne? Ktoś, kogo lubię. - Pan nie zostanie?

- Niezupełnie.

Niezupełnie - nie od razu zrozumiałam. Potem zorientowałam się, że wielkie lustro było lustrem tylko od mojej strony i że drzwi były przezroczyste, po drugiej ich stronie znajdowało się drugie pomieszczenie, z którego można było obserwować, jeśli ktoś chciał, co działo się w moim pokoju. Oczywiście było wiele pokoi urządzonych podobnie. Dlaczego mówię o moim pokoju? Przecież więzień mówi moja cela, chociaż jej nie wybierał, natomiast ja sama wybrałam los więźnia. "Jeśli zgodzisz się należeć do mnie, będę tobą rozporządzał." Te słowa wypowiedziane tylko raz, których nie powtórzył nigdy więcej, krążyły bez końca w mojej głowie, jak płyta odtwarzana wciąż na nowo. Wysoki, szczupły chłopiec przyprawiony przez lokaja, teraz witany przez Sir Stephena otrzymywał od niego władzę nad nią. Sir Stephen odstawił filiżankę. Nalałam herbaty nieznanemu, który powiedział: "Isn't she saoeed" "She's yours", powiedział Sir Stephen i wyszedł. Nie warto było odstawiać tacy z herbatą. Na ogromnym łożu było dość miejsca. Któż potrafi zatrzeć sny?

Rzadko zdarzało się, że członkowie Klubu lub goście przychodzili do restauracji czy do baru w towarzystwie kobiety, ale zdarzało się to jednak czasami. Nie było zakazu wstępu dla kobiet, mogły wchodzić nawet do pokoi - pod warunkiem jednakże, że znajdowały się w towarzystwie mężczyzn. Wprowadzający mężczyzna nie musiał nic dopłacać, płacił tylko za to, co zjadły lub wypity i nie musiał podawać ich nazwiska. Jedyna różnica, jaka istniała w tym punkcie między Roissy i zwykłym hotelem na godziny to fakt, że biorąc pokój trzeba było jednocześnie zamówić dziewczynę. W wielkiej sali, gdzie panował tropikalny upał, gdzie rosły ogromne filodendrony i paprocie, zdejmowały futra, czasem nawet górę od kostiumu. Ich pewność siebie, która maskowała być może brak tej pewności, ich ciekawość, której usiłowały nadać pozory arogancji, ich uśmiechy, które miały być pogardliwe i które z pewnością niekiedy rzeczywiście wyrażały prawdziwą pogardę - drażniły dziewczęta i dostarczały znakomitej zabawy tym z mężczyzn, którzy dobrze znali Roissy, członkom Klubu i klientom.

Podczas ośmiu dni, kiedy O miała służbę w restauracji, przy obiedzie pojawiły się trzy, każda innego dnia. Trzecia z nich, wysoka, o jasnych włosach, była w towarzystwie młodego mężczyzny, którego O zauważyła już wcześniej przy barze. Usiedli przy jednym ze stolików należących do jej rewiru, we wnęce okiennej. Prawie natychmiast jeden z członków Klubu, niejaki Michel przysiadł się do nich i skinął na O. Michel był raz z O. Kiedy mężczyzna przedstawiał go kobiecie, O usłyszała: "Moja żona". Na ręce miała obrączkę z małymi diamencikami i prawie czarnym

szafirem. Michel uklonił się, usiadł, a kiedy matre d'hôtel przyjął zamówienia, rozkazał czekającej O:

- Przynieś pani album.

Młoda kobieta niedbale przewracała kartki albumu, z pewnością pominęłaby fotografię O, ale mąż zwrócił jej uwagę:

>- Zobacz, to chyba ta, jest bardzo podobna. Podniosła oczy na O, bez uśmiechu.

- Naprawdę? - powiedziała,

Proszę przewrócić stronę - powiedział Michel.

Przeczytałaś opis? - zapytał jej mąż.

Młoda kobieta zamknęła album nie odpowiadając. Ale kiedy O poszła po przystawki i powróciła potem, zobaczyła, że tamta mówi coś z ożywieniem, a Michel śmieje się. Na jej widok zamilkli wszyscy troje, jednak kiedy przynosiła kawę, usłyszała, jak mąż nalega:

-No więc, zdecyduj się.

Michel dodał coś, czego O nie zrozumiała, młoda kobieta wzruszyła ramionami. W pokoju nie rozebrała się, musnęła O suchą ręką, a jej wydawało się, że poczuła na ciele pazury wielkiego, drapieżnego ptaka. Potem patrzyła jak pieści jej męża i jak oddaje się mu. Nie zbili jej, nie znęcali się nad nią, nie lżyli jej; odeszli, zostawiając ją nagą. Zwracali się do niej grzecznie; nigdy nie czuła się bardziej upokorzona.

- Te dziwki - powiedziała Noelle, kiedy udało jej się wyciągnąć z O, którą widziała razem z parą, i którą wypytywała, co się właściwie stało i jakie były jej wrażenia - te dziwki, to takie same kurwy jak my, przecież że tak, inaczej by tu nie przyjeżdżały, ale za co one się uważają! Gdybym mogła, to spoliczkowałabym je.

To uczucie wobec kobiet z zewnątrz, przybywających do Roissy było stałe i wszystkie dziewczyny zgadzały się co do tego. Zdarzało się, że Noelle, zresztą wszystkie inne dziewczyny, także O, zazdrościły kobietom, przywiezionym do Roissy przez ich kochanków, było to jednak z powodu zainteresowania, jakim darzyli je ich kochankowie, nie było w tym jakiegokolwiek urazy czy też prawdziwej zazdrości. Podczas swojego pierwszego pobytu O nawet nie domyślała się, jak ciepłe uczucia budzi wokół siebie, chęć rozmowy z nią, pomożenia jej, ciekawość, kim jest, chęć pocałowania, u dziewczyn które po jej przybyciu rozebrały ją, umyły, uczesały, umalowały i znów ubrały w gorset i suknię, następnie zajmowały się nią codziennie i na próżno próbowały z nią porozmawiać, kiedy wydawało im się, że nikt nie widzi; tym bardziej na próżno, że O nigdy nie próbowała odpowiedzieć. Gdy teraz na nią przyszła kolej, by obsługiwać pokoje, to znaczy udać się razem z Noelle do pomieszczeń Wielkiej Klauzury i zajmować się toaletą dziewczyn tam przebywających, O była wstrząśnięta ilością powtórzeń, wielokrotnym wcieleniem tego, czym sama ongiś była, a co teraz oddawano w jej ręce; nigdy nie mogła powstrzymać drżenia przekraczając próg jednego z czerwonych pokoi. Bo wszystkie były czerwone. Największą przykrość sprawiało jej to, że nigdy nie zdołała z całą pewnością stwierdzić, który z nich sama zajmowała w swoim czasie. Trzeci? Za oknem słychać było szum wierzby. Blade astry, które kwitną przez całą jesień, rozwinęły się właśnie. Zbliżało się wrześnieowe zrównanie dnia z nocą. Ale również za oknem piątego pokoju rosła wierzba i rosły astry. Zamieszkiwała go smukła, drżąca dziewczyna o jasnej cerze, na jej udach widniały pierwsze fioletowe smugi od szpicruty. Nazywała się Claude. Jej

kochankiem był chuderlawy mężczyzna w wieku lat około trzydziestu, który trzymał ją za ramiona i patrzył na nią z pasją w oczach, kiedy leżąc na plecach otwierała swoje delikatne, rozpalone podbrzusze mężczyźnie, którego nigdy przedtem nie widziała, słuchał, jak jęczała pod jego ciężarem, Tak kiedyś Renè trzymał O za ramiona. Noelle myła dziewczynę, O malowała ją, zawiązywała jej gorset i zakładała suknie. Miała delikatne piersi o różowych sutkach, okrągłe kolana. Była milcząca i zagubiona. Ona i dziewczyny takie jak ona, które należały do wtajemniczonych, i które tylko oni dzielili pomiędzy siebie, które oddawały się w milczeniu i które opuszczają Roissy z żelaznym pierścieniem na palcu, kiedy tylko wtajemniczeni uznają że są już gotowe i dość wytresowane, aby pozwolić poza Roissy swoim kochankom prostytuować je dla ich rozkoszy, były dla dziewczyn prostytuujących się w Roissy dla pieniędzy, dla zysków i przyjemności członków Klubu, a nie dla kochającego mężczyzny, przedmiotem zaciekawienia i niekończących się domysłów. Czy powrócą kiedyś do Roissy? Czy jeśli powrócą, znów zostaną zamknięte w Wielkiej Klauzurze, czy też choćby na kilka dni zostaną uwolnione od nakazu milczenia i umieszczone we wspólnocie? Była pewna dziewczyna, którą jej kochanek pozostawił na sześć miesięcy w Klauzurze, zabrał potem i nigdy już nie przywiózł. Natomiast O spotkała Jeanne, która spędziła już rok w Zgromadzeniu, potem wyjechała, potem wróciła znowu; była to ta Jeanne, którą Renè pieścił na jej oczach i która patrzyła na O z takim podziwem i zazdrością. Dziewczyny ze Zgromadzenia były bite i zakuwane w łańcuchy tak jak tamte, były jednak wolne. Ich wolność nie polegała na tym, by mogły uniknąć bicia, kiedy znajdowały się w Roissy, ale w każdej chwili mogły stamtąd wyjechać, jeśli tylko chciały tego. Te, które były najokrutniej traktowane wyjeżdżały najrzadziej. Noelle zostawała na dwa miesiące, potem wyjeżdżała na trzy miesiące, powracała znowu, kiedy nie miała już pieniędzy. Natomiast Yvonne i Julienne, które podobnie jak O smagano codziennie, podobnie też jak O, zgodnie z przewidywaniami Noelle, chłosta była im wymierzana często parę razy dziennie, otóż Yvonne, Julienne i O były z własnej woli więźniarkami, takimi jak te, które znajdowały się w Wielkiej Klauzurze.

Kiedy minęło sześć tygodni, podczas których nie przestawała mimo codziennych rozczarowań oczekiwać przybycia Sir Stephena, O spostrzegła, że wielu członków Klubu przebywało w Roissy przez dłuższy czas lub pojawiała się przez kilka dni pod rząd; z klientami działo się podobnie. Można więc było dowiedzieć się, jakie są upodobania, lub przyzwyczajenia wielu z nich. Podobnie zresztą było też i z lokajami, do tego stopnia, że często w refektarzu ten sarn lokaj wybierał sobie tę samą dziewczynę: tak było też z O, którą Josè sadzał okrakiem na sobie, rękami trzymając ją za talię i pośladki, tak że gdy pochyliła się nieco, przypominała omdlewającą w objęciach Boga Sziwy kobietę z indyjskich statuetek.

O zauważyła, że Carl powraca coraz częściej, nie tyle dlatego, że niekiedy przyjeżdżał cztery dni pod rząd, zawsze zamawiając ją na wieczór około godziny dziewiątej, ale dlatego, że za każdym razem próbowała wyciągnąć od niego coś o Sir Stephenie. Rzadko zgadzał się na to, przy tym zawsze mówił jej o tym, co on, Carl powiedział Sir Stephenowi na temat O, niż o tym, co Sir Stephen odpowiedział. Ani razu nie zostawił O pieniędzy. Nie żeby nie znał tego zwyczaju. Pewnego wieczoru sprowadził razem z O inną dziewczynę, okazała się nią być Jeanne. Bardzo szybko odesłał ją i został z O, ale odesłał ją z rękami pełnymi banknotów. Dla O nie było nic. Dlatego nie rozumiała co się stało, kiedy pewnego październikowego wieczoru, zamiast iść sobie, jak a miał w zwyczaju, kazał jej się ubrać, poczekał, aż będzie gotowa i wręczył jej podłużne puzderko z błękitnej skóry. O otworzyła: w środku znajdował się pierścienek, naszyjnik i dwie bransolety z diamentów.

- Włóżysz je zamiast tych, które teraz nosisz - powiedział - kiedy cię stąd zabiorę.

- Zabiorę? - powiedziała O. - Dokąd? Przecież nie może mnie pan zabrać.

- Najpierw zabiorę cię do Afryki – odpowiedział - potem do Ameryki.

- Ale pan nie może tego zrobić - powtórzyła O. Carl machnął ręką, jakby chcąc ją uciszyć:
- Dogadam się z Sir Stephenem i zabiorę cię.
- Ale ja nie chcę - krzyknęła O, nagle zdjeta przerażeniem - nie chcę, nie chcę!
- Zechcesz - powiedział Carl

O pomyślała: „Ucieknę! Nie zniosę go, ucieknę”. Pudełeczko leżało otwarte na niepościelonym łóżku, klejnoty, których O nie mogła włożyć, lśniły we wzburzonych fałdach prześcieradła, warte były majątek. „Ucieknę z diamentami” - powiedziała do siebie w myśli i uśmiechnęła się do niego.

Nie wrócił. Dziesięć dni później, kiedy czekała, ubrana w żółtoszarą suknię, którą miała na sobie pierwszego dnia, aż służący otworzy jej małą kratę, by udać się do biblioteki, usłyszała pospieszne kroki z tyłu i odwróciło się. Była to Anne-Marie, w ręku miała gazetę, którą podała jej, była blada jak nigdy - "Spójrz", powiedziała - Serce podskoczyło w piersi O: na pierwszej stronie widniała zagubiona twarz, rozchylone usta, oczy patrzące na wprost: jej twarz Tytuł wydrukowany dużymi literami: „Zdjęcie nagiej kobiety w kieszeni ofiary”. Alpinisci trenujący wspinaczkę na skałkach w lasku Fontainebleau, zwabieni szczekaniem psa. Odkryli w wąwozie Franchard trupa mężczyzny zabitego strzałem w kark i ukrytego w krzakach. Nieznajomy jak informowała gazeta - wyglądał na cudzoziemca, Ale nie miał przy sobie żadnych dokumentów. Znalaziono przy nim tylko zdjęcie całkiem nagiej kobiety wsunięte za podszewkę marynarki do ukrytej kieszeni. Według pewnych poszlak była to najprawdopodobniej prostytutka, policja poszukuje jej. Dalej następował opis, który nie budził najmniejszej wątpliwości: był to Carl.

- Domyślasz się, kto to może być? - spytała AnneMarie.
- Och, tak - powiedziała O - nie można nic mówić, Sir Stephen...
- Musisz odpowiedzieć na pytania, jeżeli ktoś ci je zada - powiedziała Anne-Marie - ale nie musisz mówić, że to Sir Stephen przysłał go do ciebie. Istnieje jednak obawa, że dowiedzą się o tym sami.

Kiedy policja zjawiała się w Roissy, Carl został już zidentyfikowany przez krawca i obsługę z hotelu, w którym zamieszkiwał, na podstawie ubrania i znaków z pralni. O była przesłuchiwana tylko na marginesie śledztwa, wypytywano ją właśnie o Sir Stephena. Wiedzano, że miał jakieś stosunki z Carlem. Jakie? O nie wiedziała tego. Po trzech godzinach przesłuchania O nie powiedziała nic, stwierdziła tylko, że od dwóch miesięcy nie widziała Sir Stephena.

- Spytajcie jego samego! - wykrzyknęła wreszcie. - Nie rozumiesz, że to najprawdopodobniej twój przystojniaczek załatwił Belga?! Właśnie dlatego zniknął. Natomiast żeby to udowodnić...

Nigdy tego nie udowodniono. Przypuszczano, że Carl, o którym wiadomo było, że zajmuje się kopalniami metali ziem rzadkich w Afryce Środkowej, prowadził negocjacje nie mając do tego prawa. Dotyczyło to wysokich kwot (ich ślady odnaleziono w zapiskach dotyczących stanu jego kont w banku, ale wszystkie pieniądze zostały wycofane). Chodziło o koncesje lub produkty, owe negocjacje miały być rzekomo, prowadzone z zagranicznymi agentami - być może angielskimi, być może Sir Stephenem - wiedzano też, że miał zamiar wyjechać z Europy, przypuszczano, że owi agenci, kiedy zorientowali się, że oszukano ich i pozostali bez obrony prawnej, zemścili się. Natomiast co do tego, żeby schwytać Sir Stephena. stwierdzić, czy powróci kiedykolwiek...

- Teraz jesteś wolna. O - powiedziała Anne-Marie. - Można zdjąć twoje żelaza, obrożę, bransolety,

zatrzeć piętno. Masz diamenty, możesz wrócić do siebie.

O nie płakała, nie skarżyła się. Nie odpowiedziała Anne-Marie ani słowem.

- Ale jeśli chcesz - powiedziała jeszcze Anne-Marie - możesz zostać.

Koniec

POSŁOWIE

Kiedyś pewna zakochana dziewczyna powiedziała mężczyźnie, którego kochała: ja też mogłabym pisać takie historie Jakie lubisz... Tak myślisz? – zapytał

Spotykali się dwa czy trzy razy w tygodniu, ale nigdy w czasie wakacji, nigdy w soboty i niedziele. Każde z nich wykładało spędzany wspólnie czas rodzime i obowiązkowo zawodowym. W styczniowe i lutowe popołudnia, kiedy dni stają się dłuższe, a zachodzące słońce czerwono odbija się od fal Sekwany, przechadzali się oboje po nabrzeżach wzdłuż quai de Grands-Augustins i quai de la Tournelle, całowali się ukryci pod mostami. Jakiś kłozard krzyknął kiedyś do nich: Może wam zafundować hotel? Szukali schronienia w coraz to innych miejscach. Dziewczyna wozila ich oboje zdezelowanym samochodem do ZOO, gdzie przyglądali się żyrafom; do Bagatelle, gdzie na wiosnę kwitną irysy i powojniki, a na jesieni astrы. Zapisywała nazwy sinoblękitnych, fioletowych i bladoróżowych astrów. Po co, skoro wiedziała, że nigdy nie będzie miała ogródka, w którym mogłaby je posiać?

Jednak do Vincennes albo do lasu Bulońskiego jest za daleko. Poza tym w Lasku spotyka się znajomych. Rzeczywiście pozostawiały im pokoje na godziny. Czasami ten sam po-kój parę razy pod rząd. Czasem wciąż inne, zależnie od zrządzenia przypadku. Słabe światło lampki w dworcowym hotelu ma jakiś szczególny urok; nie bez wdzięku są też owe skromne i wygodne małżeńskie łóża, które wychodząc pozostawia się niezaścielone. Z czasem dźwięk słów i oddechów kojarzy się nieodłącznie z szumem ulicy i piskiem opon na zewnątrz.

Przez kilka lat działo się zwykle tak, że czułe ulotne chwile, które nadchodzą po miłości, chwile gdy zatrzymuje się czas i kochankowie leżą spleceni ze sobą w uścisku wypełnione były opowiadaniem, czy może raczej opowieściami, a ich treść zaczerpnięta była z przeczytanych książek. Świat książek był jedynym miejscem gdzie byli naprawdę wolni, ich wspólną ojczyzną i jedynym miejscem do którego podróżowali razem; wspólnie zamieszkiwali niektóre z nich tak, jak inni mieszkają w rodzinnej siedzibie. W książkach spotykali ludzi podobnych do nich, swoich braci: dla nich pisali poeci a niekiedy listy kochanków z zamierzchłych czasów docierały do nich torując sobie drogę poprzez nieznaną, obce języki, poprzez odmienne mody i obyczaje. Słowa odczytywane półgłosem rozbrzmiewały w anonimowym pokoju, w obskórnej i cudownej wieży opierającej się skutecznie przez kilka godzin atakom zgiełku panującego na zewnątrz. Nigdy nie spędzali razem nocy. O określonej porze trzeba było wstać i wyjść—zegarek pozostawiał cały czas na przegubie.

Każde z nieb musiało powrócić na swoją ulicę, do swojego domu, pokoju, łóżka. Do bliskich, z którymi łączy inny rodzaj miłości, do tych, którym oddał nas przypadek, miłość lub którym oddaliśmy się sami; nie wolno opuścić ich ani skrzywdzić, bo jest się fragmentem ich życia. On nie był sam w swoim pokoju, ona tak.

Któregoś dnia nastąpił ciąg dalszy owego „Tak myślisz?” Nie wiedząc jeszcze, że kiedyś znajdzie w kadrze nazwisko Reage i pozwoli sobie zapożyczyć imię od dwóch słynnych rozpustnic - Pauliny Borghese i Pauliny Roland - ta, w imieniu której dzisiaj przemawiam i czuję się w pełni do tego uprawniona, jako że o ile ja nie mam w sobie nic z jej osoby, to ona ma ze mnie wszystko, a przede wszystkim głos – otóż pewnego dnia ta dziewczyna, zamiast sięgnąć po książkę przed snem, ułożyła się zwinięta w kłębek na lewym boku, wzięła do ręki dobrze naostrzony ołówek i zaczęła pisać obiecaną historię.

Mijała wiosna. W parkach przekwitały ostatnie japońskie wiśnie, magnolie rosnące nad wodą, bzy porastające nasyp obwodnicy kolejowej. Dni były nieznośnie długie, poranne światło przenikało o zgoła niestosownej porze nawet przez czarne, zakurzone zasłony pozostałe jeszcze z czasów wojny i zaciemnienia. W świetle niewielkiej lampki ustawionej na stoliku nocnym dłoń trzymająca ołówek przebiegała kartki papieru nie zważając ani na promienie brzasku, ani na to, która jest godzina. Dziewczyna pisała tak, jak przemawia się w ciemności do kogoś, kogo się kocha, kiedy to zbyt długo nie wypowiedziane słowa miłości wybrzmiewają nareszcie. Pierwszy raz w życiu pisała bez wahania, bez zastanowienia, bez poprawek, skreśleń, pisała tak, jak się oddycha, tak jak się śni. Nieustanny hałas za oknem przycichał zwolna, nie dobiegało już trzaskanie drzwiczek samochodów. Paryż pogrążył się w milczeniu. Pisała jeszcze, kiedy pojawili się zamiatacze ulic i pisała aż do świtu. Pierwsza noc całkowicie nieprzespana, noc stracona, ale kto wie, może odzyskana? Przyszedł ranek. Schowała blok papieru na którym zapisane były dwa rozpoczęcia, które są Ci Czytelniku znane skoro czytasz te słowa. Zadałeś sobie trud przeczytania całej historii i wiesz teraz już dużo więcej niż ona w tamtej chwili. Teraz trzeba było wstać, umyć się, ubrać, uczesać i powrócić do codziennego kieratu; nałożyć na twarz codzienny uśmiech, codzienną niemą słodycz. Jutro, może pojutrze pokaże mu ten zeszyt.

Podawała mu go, gdy tylko wsiadł do samochodu w którym czekała na niego parę metrów od skrzyżowania, w małej uliczce blisko pewnej stacji metra i pewnego targu (nie szukajcie tej ulicy, jest dużo podobnych, zresztą to nie ma znaczenia). Nie ma mowy, żeby przeczytać to od razu. Zresztą spotkanie okazało się jednym z tych, na które przychodzi się, żeby powiedzieć, że się nie przychodzi — kiedy dowiadujemy się, że coś nam wypadło i jest już zbyt późno, żeby odwołać. I tak dobrze, że udało mu się urwać na chwilę. W przeciwnym wypadku czekałaby godzinę i powróciłaby następnego dnia w to samo miejsce, o tej samej porze - według odwiecznych reguł obowiązujących konspiratorów. Powiedział „urwać się”, bo oboje używali swoistego żargonu więźniów, którzy nie buntują się przeciw więzieniu; być może zdawali sobie sprawę z tego, że o ile znosili je źle, to uwolnieni czuliby się nielepiej, mając w dodatku poczucie winy. Świadomość tego, że trzeba wrócić, nadawała szczególną wartość czasowi, który) udało się wykraść: czasowi, który rozciągał się gdzieś poza zwykłym upływem godzin na kształt niezwyklej i wiecznej teraźniejszości.

W miarę jak mijały kolejne lata nie zmieniając nic w ich sytuacji, powinni może czuć się osaczeni przez te, które miały nadejść... ale nie. Przeszkody pojawiające się codziennie, co tydzień - okropne niedziele bez listów, bez telefonów, kiedy niemożliwe było choćby jedno słowo, jedno spojrzenie, straszliwe wyjazdy wakacyjne, po stokroć przekłete (zawsze znajdował się ktoś, kto pytał: O czym myślisz?) - starczało tego, aby wątpić i bezustannie obawiać się, że to drugie zmieni się. Nie oczekiwali od życia szczęścia, ale skoro już spotkali się, chcieli żeby to trwało, Boże, żeby to trwało... żeby nigdy nie było tak, że jedno z nich stanie się obce dla drugiego; żeby przetrwało nieoczekiwane poczucie braterstwa, rzadsze niż pożądanie, cenniejsze niż miłość - albo może to

właśnie jest miłością? Wszystko kryło w sobie załazek ryzyka: spotkanie, nowa sukienka, wyjazd, nieznany wiersz. Ryzyko było wszędzie, ale czemużby go nie podejmować? W tej chwili największym był ten zeszyt. A jeżeli jej fantazje wzbudzą wstręt ukochanego, albo — co gorsze — nudzą go, albo — co jeszcze gorsze — wydadzą mu się śmieszne? Nie dlatego, że były takie a nie inne, ale dlatego właśnie, że były jej, rzadko bowiem wybaczymy tym, których kochamy, to, co wybaczymy wszystkim innym. Obawiała się niesłusznie: Ach, pisz dalej -powiedział. - Co będzie dalej? Czy wiesz już? Wiedziała. Odkrywała to stopniowo. Przez cały koniec lata i całą jesień, na rozpalonej plaży i w ponurym uzdrowisku, a potem w wypłowiałym i wypalonym słońcem Paryżu pisała to, co jej się objawiło. Wysyłała mu na poste restante po dziesięć, pięć stron, czasem rozdział albo fragment rozdziału. Zawsze na kartkach tego samego formatu co początek, czasami zapisane ołówkiem, czasami długopisem albo piórem o cienkiej stalówce. Nie zostawiała sobie kopii ani brudnopisu, ale poczta okazała się godna zaufania. Historia nie była jeszcze zakończona, gdy nadeszła jesień; oboje powrócili do Paryża i znów zaczęli się spotykać. Wówczas on domagał się, aby ona czytała mu na głos nowopowstałe fragmenty: we wnętrzu czarnego samochodu zaparkowanego w jednej ze smutnych, zatłoczonych ulic trzynastej dzielnicy, gdzieś w pobliżu Butte-aux-Cailles, gdzie wszystko wygląda jakby żywcem przeniesione z ostatnich lat zeszłego wieku, albo nad brzegiem kanału Saint-Martin z niemal chińskimi mostami. Dziewczyna czytała i przerywała niekiedy, bo w ciszy można wymyślić niejedno, wymyślić i zapisać. Zupełnie jednak inaczej brzmi, gdy głośno odczytuje się to, co powstało w ciągu niekończących się nocy.

Pewnego dnia opowieść urwała się jednak. Przed O była już tylko śmierć, której w tajemniczy sposób poszukiwała ze wszystkich sił i która została jej przyznana w dwóch ostatnich liniach. Jeśli chodzi o to, w jaki sposób rękopis z jej historią znalazł się w rękach Jeana Paulhan, to obiecałam nie zdradzać tego sekretu, podobnie jak nie wyjawię prawdziwego nazwiska Pauliny Reage ufając, że ci, którym jest znane, okażą się dyskretni tak długo, jak długo będzie wydawało mi się niemożliwe złamanie tej obietnicy. Zresztą nie ma nic bardziej zwodniczego i zmiennego niż czyjaś tożsamość. Jeśli można wierzyć, tak jak wierzą w to setki milionów ludzi, że przeżywamy wiele różnych egzystencji, to czyż nie można wierzyć również w to, że w każdej z nieb spotykają się w nas rozliczne di4sze? Kimże w końcu jestem, powiada Paulina Reage, jeśli nie ukrywaną przez długi czas częścią kogoś, mocną i utajnioną częścią, która nigdy nie zdradziła się czynem, gestem ani nawet słowem, a objawia się w podziemiach wyobraźni przez marzenia, które są tak stare, jak świat? Skąd pochodzą owe obrazy, uparcie pojawiające się przed snem, zawsze te same., w których najczystsze i najbardziej nieopanowane uczucie usprawiedliwiała lub może nawet wymagało najokrutniejszego oddania, obrazy, w których naiwne wizje łańcuchów i pejczy uzupełniały zniewolenie o symbole zniewolenia - nie linem. Wiem tylko, że były dla mnie dobroczynne - w przeciwieństwie do obrazów racjonalnych, skupionych na dziennej stronie życia, próbujących zorganizować je i oswoić.

Nigdy nie umiałam oswoić mojego życia. Mimo to wszystko od-bywało się tak, jak gdyby te dziwne sny na jawie dopomagały mi jakoś, jakby przeżywając niemożliwe szaleń-stwa i rozkosze wyobraźnia opłacała rodzaj okupu: dni, które następowały były w tajemniczy sposób lżejsze; rozumne porządkowanie przyszłości i rozsądne przewidywanie zawsze obracane były w niwecz przez rzeczywi-stość. Bardzo szybko więc nauczyłam się, że nie należy zabudowywać pustych godzin nocy idealnymi siedzi-bami - nieistniejącymi, lecz możliwymi - w których krewni i przyjaciele żyją razem szczęśliwie (cóż za uroje-nie!), natomiast bez obaw można urządzić wyśnione pałace, o ile zaludni sieje zakochanymi kobietami, sprostytuowanymi z miłości i tryumfalnymi w swoich kajdanach. Zamki Sade'a, które odkryłam o wiele później niż zaczęłam w sekrecie konstruować moje własne, nie zaskoczyły mnie więc szczególnie, podobnie jak jego Przyjaciele Występku: miałam już swoje tajne stowarzyszenie, choć może niegroźne i niewielkie. Dzięki niemu jednak zrozumiałam, że wszyscy jesteśmy oprawcami i wszyscy jesteśmy więźniami w takim sensie, że zawsze jest w nas ktoś, kogo więzimy, zakuwany w kajdany, zmuszamy do milczenia. Poprzez prawdziwe zrządzenie losu zdarza się, że to samo więzienie otwiera się.

Kamienne mury celi, samotność, ale także noc, znowu samotność, ciepła pościel, milczenie uwalniają nieznajomego, któremu odmawiamy prawa do dziennego światła. Ucieka nam, ucieka bezustannie, przedostając się przez mury, dorosłość i zakazy. Pojawia się to tu, to tam, w różnych epokach i krajach, przybiera to czy inne nazwisko. Ci, którzy przemawiają w jego imieniu, są tylko tłumaczami, którym nie wiedzieć czemu (czemu właśnie oni, właśnie w tym czasie?) dane było uchwycić niektóre nitki odwiecznej pajęczyny zakazanych snów. A więc - oto właśnie mija piętnaście lat - dlaczegożby nie ja? Jego, mężczyznę dla którego pisałam tę historię - ciągnie dalej autorka — fascynowało to, w jaki sposób miała się ona do mojego własnego życia. Czy to możliwe, żeby była jego zdeformowanym -odwróconym obrazem? trudnym do rozpoznania cieniem przechodnia skurczonym iv południowym słońcu lub równie trudnym do rozpoznania cieniem diabolicznie wydłużonym jak ten, który kładzie się przed człowiekiem przechadzającym się po plaży nad brzegiem Atlantyku w ostatnich promieniach zachodzącego słońca? Pomiedzy tym, czym wydawałam się być a tym, co opowiadałam i wydawało mi się, że jest tworem wyobraźni, dostrzegałam tak wyraźny dystans i tak głębokie pokrewieństwo, że nie byłam w stanie się w tym zorientować. Być może tylko dlatego pogodziłam się z moim życiem wykazując taką cierpliwość (czy bierność, czy słabość), że zawsze kiedy chciałam, potrafiłam przenieść się do tej ukrytej sfery, która pomagała mi żyć; do której nikt się nie przyznaje, której nie dzieli się z nikim. Teraz oto dzięki temu, którego kochałam przyznałam się i byłam gotowa podzielić je z każdym kto zechce, równie sprostytuowana w anonimowości książki jak w książce ta dziewczyna bez twarzy, bez wieku, bez nazwiska i nawet bez imienia. Nigdy nie pytał o nią. Rozumiał, że była ucieleśnieniem myśli, czymś ulotnym, jakimś cierpieniem, zaprzeczeniem jakiegoś losu. Ale inni? René, Jacqueline, Sir Stephen, Anne-Marie? A miejsca, ulice, parki, domy, Paryż, Roissy? Okoliczności? To raczej wiedziałam. Na przykład René (imię, do którego mam sentyment) to wspomnienie, nie, ślad młodzieńczej miłości a raczej nadziei na miłość, która nigdy nie przybrała innej formy i René nigdy nawet nie podejrzewał, że mogłabym go kochać. Ale Jacqueline kochała go. A mnie przed nim. Mimo to z nią właśnie wiąże się wspomnienie mojego pierwszego zawodu miłosnego. Miałyśmy obie po piętnaście lat i przez cały rok szkolny chodziła ze mną skarżąc się na moją obojętność. Kiedy tylko wakacje oddaliły ją ode mnie, obojętność minęła, przebudziłam się z niej. Pisałam listy. Lipiec, sierpień, wrzesień, przez trzy miesiące na próżno wypatrywałam listonosza. Jednak pisałam dalej. Wszystko przepadło właśnie przez te listy. Rodzice Jacqueline zabronili jej spotykać się ze mną, przenieśli do innej klasy i to od niej dowiedziałam się że „ to był grzech”.

Co było grzechem? Co mi zarzucano? Nie było nic czystsze... Rosalindę i Celię wymyśliłam - z początku - zupełnie niewinnie. Pozostaje jeszcze dodać, że z Jacqueline, tej prawdziwej Jacqueline, znalazło się w tej historii tylko imię i jasne włosy. Ta, która pojawiła się w książce, jest raczej pewne aktorką o pogardliwym wyrazie malującym się na bladej twarzy, z którą kiedyś spotkałam się na obiedzie na ulicy d'Epe-ron. Stary człowiek, od którego dostała swoje klejnoty, stroje i samochód, brał mnie na świadka: „ Czyż ona nie jest piękna?” Owszem, była piękna. Nigdy więcej jej nie widziałam.

Czy gdybym była mężczyzną, to stałabym się kimś takim jak René? Oddanym komuś i zdolnym odstąpić wszystko, nawet nie zdając sobie sprawy z anachroniczności tego feudalnego poddaństwa? Boję się tego... Książkowa Jacqueline była w pełni obca i potrzebowałam sporo czasu, żeby uświadomić sobie, że jednak kiedyś podobna dziewczyna - którą rozpaczliwie podziwiałam - odebrała mi kochankę. Zemściłam się na niej wysyłając ją do Roissy, chociaż zawsze myślałam, że obca mi jest wszelka myśl o zemście; w dodatku nawet nie byłam w stanie uświadomić sobie tego. Wymyślanie historii to przedziwna pułapka. Sir Stephena widziałam na własne oczy. Mój ówczesny towarzysz, ten sam, o którym była mowa przed chwilą, pokazał mi go pewnego popołudnia w jednym z barów na Champs d'Elysees: na wpół opartego o ta-boret przy mahoniowym kontuarze, milczącego, spokojnego księcia o szarych oczach, które tak fascynują mło-dych mężczyzn i kobiety. Pokazał mi go i powiedział: „Nie rozumiem, dlaczego kobiety nie wolą mężczyzn ta-kich jak on od trzydziestolatków”. Nie powiedziałam mu, że owszem, wolą. Długo przyglądałam się

nieznajo-memu, on nie spojrział na mnie ani razu. Około pięćdziesiątki, na pewno Anglik. I co więcej? Nic. Jednak to, co w milczeniu działo się między moim towarzyszem a nim, między mną a nim, powróciło jak objawienie dzie-sięć lat później w świetle lampki nocnej i ręka zapisująca słowa na papierze przywołała to wydarzenie nadając mu nowe znaczenie, które pojawiło się zanim zdołałam je zrozumieć.

Zupełnie nie wiem, skąd wzięła się Anne-Marie. Jedna z moich przyjaciółek (którą szanuję, a niełatwo uzyskać mój szacunek) mogłaby nią być, gdyby nie była wcieleniem czystości i uczciwości: chcę przez to powiedzieć, że Anne-Marie mogła mieć po niej owe zdecydowanie i uporządkowanie, ową bezpośredniość i rzetelne podejście do wykonywanego zawodu. Prawdę mówiąc, nie znam zawodów, o których jest w książce mowa (zawód O, zawód Anne-Marie, prawdę mówiąc, to zawód kurwy i stręczycielki). Co prawda pewien wielki pisarz z oburzeniem komentował moją opowieść jako wspomnienia Piękności - tłumacząc się zarazem, że nie przeczytał jej. Myli się podwójnie, nie są to bowiem pamiętniki, a ja nie jestem Pięknością ani nocy ani dnia — powiedzmy, żeby sprawić mu przyjemność, że może minęłam się z powołaniem.

Czy po skróconej liście postaci należy, tak jak w teatrze, sprecyzować miejsca akcji? Są to miejsca, które są własnością ogółu: ulica Poitiers i gabinet w La Perouse, pokój w hoteliku na godziny blisko Bastylji (ten z lustrem na suficie), ulice dzielnicy Saint-Germain, osłonecznione nabrzeża Wyspy Świętego Ludwika, prowansalska wieś i surowe budowle z białego kamienia, wreszcie owo Roissy-en-France, które dostrzegłam podczas wiosennej wycieczki za miasto, niewiele więcej niż tylko nazwa na mapie, oczywiście nic nie jest zmyślone, nawet astry (mówiłam, że do nich jeszcze wrócę). Nie zmyśliłam też - raczej skradłam, proszę ją teraz o wybaczenie, ale to kradzież uzasadniona uwielbieniem - masek Leonor Fint. Podobno skradłam także salon pewnej damy, czyniąc z niego niegodny użytek: przekształcając go w salon Sir Stephena, proszę sobie wyobrazić! Sama mi to powiedziała, nie wiedząc z kim rozmawia (nigdy nie wiadomo z kim się rozmawia). Nigdy nie byłam w tym domu i nigdy nie widziałam tego salonu. Nigdy nie widziałam (i nie wiedziałam, że istnieje) domu ukrytego w dolinie, w którym dziewczyna, którą przypadkiem poznałam, odgrywała przed ukochanym mężczyzną widowisko, którego Sir Stephen żądał od O: oddawała się nieznanym, wybranym i narzuconym przez niego. Ściana ukrywała fałszywe lustro i mikrofon umożliwiając obserwację. Nie, nie spisałam jej historii; nie, moja historia nie była dla niej wzorcem. Jednak poza fantazją i uporczywym powracaniem pewnych motywów (bo nieustanne powtarzanie rozkoszy i okrucieństwa jest równie niezbędne jak absurdałne i niemożliwe) wszystko umiejscawia się w marzeniu lub w rzeczywistości, wszystko okazuje się być równo obdzielone tym samym szaleństwem. Jeśli zdołamy wyjść mu na-przeciw, to rzeczy straszne i cudowne, kłamstwa i marzenia - wszystko to staje się zaklęciem losu i wyzwoleniem.

Pauline Reage